

NRLF-1
MAIN

11, 1, 14, 13

6

GIEWONTOWY HUFIEC



CECYLJA KROPIWNICKA

GIEWONTOWY HUFIEC

OPOWIADANIE Z R. 1846



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — — — — — WARSZAWA

Printed in Warsaw

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA



CZŁONKAMI Drukarni Św. Wojciecha

I.

Czarna, grudniowa nocka drzemała jeszcze nad unurzanemi w mgłach szczytami, nad przepastnemi dolinami, nad grzbietami lasów sędziwych; przytulony do Tatr, drzemał w ciszy nadedniowej godziny Chocholów.

Powoli, powoli z ciemności posępnej jęły się odsłaniać ostre, groźne krawędzie, jęły się odcinać obnażone, strome, ścięte plecy skał od zawałonych bezmiernemi, niepokalanej białości śniegami, obłych, niższych grzbietów: zaczęło szarzeć.

Olbrzymie a znikome cielsko nocy przeciągnęło się leniwie, odetchnęło pierwszym zwiastującym powolne budzenie się oddechem, który wionął w doliny niespokojnym wiatru podmuchem. Nadleciał ten dech, tam, hen, z gardzieli doliny — jak lekki szum z początku, rozpędzał się, mocy nabierał, aż spadł na wieś, ni to rozhlukanych rumaków tabun.

Zawichrzył śniegami: wzniosły się z niskich dachów grzywy białe, rozwinęły się bujnie i rozsypały tumanem śnieżnym, — porwały się od pustych majdanów wiry — tanecznicze, zawiodły tan szalony i, ramiony się wspólnie oplótszy, przepadły w czarnym lesie smreków.

Rozhulał się wicher.

Starcowi, co z kosturem z góry się spuszcza ku dolinie, sypie w oczy zmarzłym ostrym pyłem, pod nogi mu wały śnieżne nagarnia, kaptur z głowy zrywa, białą gunią szamoce i pasmami siwych włosów targa.

Nic to, — dziad idzie śmiałym, pewnym krokiem. Oczy utkwił w szare, brzemienne burzą i śniegiem obłoki, na wściekłość wichru nie zważa.

„Wzywałem Pana chwalebne, a od nieprzyjaciół byłem wybawiony...” — modlitewnym głosem pieśń psalmu wiedzie.

Poprzez szum, chichot, wycie wichury przebijają się jękliwe jego słowa.

„Tedy się ziemia wzruszyła i zadrżała, a fundamenty gór zatrzęsły się...”

Załomotał huragan po skałach skrzydłem olbrzymiem, rozegrał się echem stokrotnem, jak grzmot zahuczał i zatrząsł granitowymi ścianami.

„A wsiadłszy na Cheruba, latał, latał na skrzydłach wiatrowych...”

„Uczył się z ciemności okrycie”...

A Cherub wichrowy wciąż szalał, i ciemności się jeszcze rozpierzchnąć nie chciały, a z nich szedł wciąż głos słów modlitewnych:

„Wyrwał mnie od mocnego nieprzyjaciela mego i od tych, którzy mnie mieli w niewiaści, choć byli mocniejszymi nad mnie”...

Z bezdroży górskich zszedł już staruch na szeroką, wiejską drogę.

Z poza tumanów śnieżnych przebiły się czerwone od światła szybki małych okienek, zamajaczyły szerniałe starością drewniane ściany kościółka i wyciągnięte nad nim olbrzymie, bezlistne ramiona lipy, co już dwa wieki w srogą twarz Tatr i w słodkie świętości domu Bożego patrzyła, — co nieustraszona słuchała nawałnicowych zmagani natury — i drżała drobnem liściem, gdy pierś ludu wezbrała hymnem: Święty Boże, Święty a nieśmiertelny...

Przyśpieszył dziad kroku i za chwilę dopadł kościoła.

Snać jeszcze dusza w nim wrzała od walki z wichurą, i usta gorącości psalmów królewskich pełne były, bo nie wszedł w święty przybytek, lecz boki o odrzwia się spariszy, stanął u wnijscia, głowę siwą na piersi schyliwszy. Uspokajał się powoli, cichł w sobie i gdy dzwonki rzesiste chwilę podniesienia oznajmiły, już w całej pokorze i uniżeniu bił czołem o próg kamienny.

A potem patrzył przez uchylone, ciężkie, ogromnemi ćwiekami nabite drzwi w głąb świątyni, gdzie jarkie światło świec odcinało się żółtym blaskiem od białawej szarości wczesnego poranku, gdzie kłębiły się dymy kadzideł, z parą ludzkich oddechów zmieszane, a wśród szerniałych starych malowideł migotały złota szat kapłańskich.

„Spuśćcie nam na ziemskie niwy
Zbawcę z Niebios, obłoki”...

zawłódił na chórze pełną tęsknoty pieśń ro-ratnią organista Andrusikiewicz.

Uśmiechnął się na dźwięk kochanej me-lodji starucha:

— Nigdzie ci tak, człowiecze, nie zaśpie-wają, jako tu w tem Chochołowie, jako owo ten nasz Jan kochany. Oj, dusza to!

Świt się robił tymczasem coraz mniej szary; wiatr przyczał się gdzieś w granito-wych szczytach i ucichł, natomiast rozpadał się śnieg gęsty wielkimi płatami.

Naród się począł sypać z kościoła, a czy młody czy stary, każdy witał stojącego przed progiem wędrowca radośnym uśmiechem i słowem serdecznem. On ścisnął wyciągnięte do siebie dłonie, kobiety w gościnę go za-praszające po licach gładził pomarszczoną, zgrzybiałą dłonią, o zdrowie wypytywał, lecz do żadnej nie przyłączył się gromadki; stał, na kogoś, widno, czekając.

Wyszedł już i stary Zych Wojciech, co najdłużej dosiadywać lubił i paciorki ofiaro-wywał po każdej Mszy św. za długi szereg duszyczek, co w ciągu jego dziewięćdziesięcio-letniego żywota z nim tu na ziemi w pokrewień-stwie lub w pobratymstwie żyły, a już się z cia-łem rozstały, a o których pamiętał starowina, dopraszając się równocześnie ich przyczyny na ową chwilę, gdy i jemu do wrót niebieskich zapukać przyjdzie.

— A nie dajcie mi długo pod Boskim progiem skomleć, o duszyczki błogosławione,

a warciutko św. Klucznikowi oznajmiajcie, jako Wojtek Zych z Chochołowa doprasza się do nieba, którego wam i sobie życzę. Amen — tak kończył codzienne modlitwy stary, pochylony Zych Wojciech.

Szła przy nim jego wnuczka po córce, Hanusia. Jak obrazek malowany, taka słodka, uśmiechnięta twarzyczka patrzała z pod czerwonej wełnianej chusty, jak skowronka głosik dźwięczny przemówił:

— Dziadusiu, o! stary nasz Jędrus stoi!

— A, Bóg nagodził gościa. Witajcie! Do chaty prosim, nie będziem tu na zimnie gadać — trzęsąc głową mówił Zych, ciągnąc dziada za cuchę.¹⁾

— Przyjdę, przyjdę, jeno się jegomościa doczekać muszę. — odkrzyknął Jędrzej starcowi w samo ucho, jako że ten był przygluchy.

— No, to dajcież, dziadusiu, tymczasem tę biblję, to wam zabiorę i poniosę — prosiła z przymileniem dziewczyna.

— A to i dobrze, Hanuś, jagódko, bom się i zmęczył dziś trocha, zdaleka idąc, a z wiatrem się mocując.

I wielką, w skórę oprawną księgę przełożył w ręce dziewczęcia, poczem podreptał naprzeciw wychodzącego ze drzwi zakrystji młodego księdza. Pokłonił mu się nisko czapą i ze czcią i miłością w łokieć ucałował.

¹⁾ Cucha lub gunia = sukienne okrycie.

— A, jak się macie, Jędrus? Bóg z wami! Radem jest, żeś wrócił, dziadu, przydasz się nam tutaj. Jakżeż w Czarnym Dunajcu, Witowie udało się? Jakież nowiny? A wiecie to, że powstanie w Polsce już za parę tygodni postanowione?

Ostatnie słowa dorzucił księżyna ściszo-
nym głosem, rzuciwszy wprzód bystro oczyma dokoła, czy niepotrzebnych świadków rozmowy niema.

Dziad kiwnął głową, a puszcżając księdza przodem wydeptanej w głębokim śniegu ścieżki, wyrzekł wesoło:

— Zaraz wam, jegomościuniu, prawić będę, jeno się z kumotrem powitam a wyściskam.

Zaraz też organistę, który drzwi zakry-
styjne kluczem właśnie zamykał, objął ramieniem za szyję i na brodatym policzku wycisnął mu głośny pocałunek.

— Jak się masz, Andrusikiewicz! Niech cię kule biją, takem leciał do Chochołowa, jak ptak z wichrem: tęskniło mi się do was.

Przystanęli w trójkę, do poufnej, ku sobie się nachylając, pogadanki, gdy ksiądz wskazał oczyma w stronę, gdzie na ganczku plebanji stała druga postać w su-
tannie, o czerwonej, szerokiej twarzy.

— Proboszcz wyszedł, nie mozem nic gadać teraz. Przyjdę do ciebie, Andrusikiewicz, po niesziporze, wieczorem. Zbierz naszych, to sobie pomówim spokojnie.

— Niech cię kule biją! — mruknął dziad niezadowolony.

Ksiądz się zwrócił ku plebanijce, a organista ze starym w uliczkę boczną skręcili, gdzie zaraz pierwsza z brzegu stała organistówka.

Małe „organiściaki”, jak je dziad zwykł nazywać, hałasując i wykrzykując z „dzia-dusiem” się witać poczęły, a organiścina zakrzatnęła się żwawo, by zdrożonego a miłego gościa nakarmić i czem najlepszem uraczyć. Nijak się było do dłuższej pogadanki zabrać, bo to i na godzinki niebawem organista się zabrał, a potem suma i nieszpór spory kęs czasu zajęły; a Jędrus i Zychów kochanych odwiedzać biegali.

Aż gdy się wymodlili przykładnie, a uśpiewali z całej duszy Bogu na chwałę, gdy się we wsi uciszyło i w chatach się ludziska pochowali, gdy zaświeciła pani Andrusikiewiczowa światło w co największym pokoiku, a zapuściła gęste, białe w oknach firaneczki, dopieroż stary Jędrus zasiadł w krześle, na stole swoją księgę rozłożył, a okulary, sznurkiem powiązane, na nos zasadził i żółte, stare karty przewracać począł, szukając, co to dziś ludziom stamtąd na pocieszenie serc uciśnionych a niepewnych dobędzie. Znalazłszy, wstążką wypłowiałą założył, zamknął grube okładki, a na organistę czekając, dobył z kieszeni fajeczkę i natkawszy, pykać począł w zamyśleniu.

Zaś powoli schodzić się poczęli do chaty sproszeni przez organistę znajomi, zaufani, z którymi organista i ksiądz sprawę powstania polskiego przygotowywali, a podhalańskie oddziały utworzyć z nich chcieli.

Raz wraz ktoś, przytupując nogami, otrząsał się w sionce ze śniegu, czapy obsypane strzepywał, wesóło zagadnął i Boga pochwaliwszy, do świetlicy wchodził i z dziadem się witał serdecznie.

Przyszedł więc przysiężny gminny, Wojtek Kois i Jan Zych, kował, syn dziewięćdziesięcioletniego Wojciecha z rodu sławnych sołtysów chochołowskich, i Walenty Piasek, i Jan Stercula, i z Witowa Maciej Jasioneł, i kupa młodych parobczaków, którymi przewodził Jaśko Wróbel. Dobit się też przez śniegi kochany Andrusikiewicza przyjaciel, Jan Woźny, z Czarnego Dunajca leśniczy, a znów z Suchej Góry od węgierskiej granicy strażnik od cła Wojciech Lebiocki, co sercem i duszą przyłgnął do sprawy ojczystej, a powstania, jakby wesela, czekał z niecierpliwością.

Organista, pokonczywszy interesy niedzielne, zasiadł też z nimi przy okrągłym stole i zaczęła się pogawędka żywa, lecz trochę ostrożna i przyciszona.

Niewiele tam srebrem starości siwych głów świeciło: Jędrusa jeno, a starego Piaska, a jeszcze paru innych; reszta, to w sile wieku tęgie, krzepkie postacie i młódź, której z oczu ogień tryska. Białe, naszyte

włóczką koszule i baranie wzorzyste serdaki pierś kryją męską i śmiałą, pasy szerokie około bioder błyszczą skówkami mosiężnymi, nogi w kierpcach, smukłe a silne, że na nich gnać choć na skraj świata. Chłop w chłop — gonny jak smrek, jak orzeł tatrzański śmiały, wartki jak Biały Potok, co z gór w doliny leci.

Jeden Andrusikiewicz między nimi niewielkiego był wzrostu, mieszczańską przyodzian czarną kapotą. Bujny włos z czoła szerokiego szesany, twarz bladawa, zarostem okolona ciemnym; oczy niebieskie, głęboko pod brwiami skryte, patrzą gołębiem, cichem, dobrem spojrzeniem, lub iskrą zapału błysną niespodzianie.

Wodzem on tu był w tej gromadzie i przewodnikiem, jako że od lat kilkunastu Chochółów go swoim nauczycielem w szkole, a organistą przy kościele miał, swoim bezinteresownym opiekunem przeciw zdzierstwom i niegodziwościom właściciela majątku, swoim doradcą we wszystkich biedach ciężkiego, chłopskiego żywota, krzewicielem światła i myśli, ponad szary pył ziemski wyższych.

— Przybierają się ku nam trochę ludziska, przybierają — rzecze organista, gdy się już aż ciasno w izbie od chłopca zrobiło. — Jędrus mi powiedział, że nawet niewiasty, słysząc cośniecoś, że się między narodem gotuje do wystąpienia, dopytują się niecierpliwie, kiedyż to już będzie, — bo niechby raz już

lżej człeku żyć było na świecie. Ze dwudziestu chłopów teraz nam zmówił Jędrus; jeno po jednym zachodzić tu będą, bo te Niemcy węższą jak psy. Sochor, leśniczy z Witowa — jako że jest mój kum i że ani mu się śni, bym ja się do sprawy powstania mieszał — wszystko mi wypowiedział, jak nas zewsząd pilnują, a o rebelji, jak to oni nazywają, dobrze wiedzą, że ma być. Musim się pilnować mocno, żeby nas nie wyłapali przedtem, nim co będzie, i do więzień nie popakowali.

— Bądźcie niewinnymi jako gołębie, a chytrymi jako węże! — wtrącił dziad z religijnem namaszczeniem.

— Takem sobie też poczynął chytry z Lasską, tym ze Suchej Góry, od cła. On tu często bywa, a tak oczami śledzi za wszystkim, że wypatrzył mój pałasz tam w kącie. A że to sobie teraz często rękę ćwiczę, bo od broni odwykła, to i rękojeść tak się błyszczała jak wyczyszczona. Ogląda tedy i pyta: „Ejże, panie Andrusikiewicz, czego to się wasz pałasz tak błyszczy, jakbyście nim codzień robili?” A wiercił mnie przytem oczyma jak świdrem. Wykręciłem się, żem synów w Nowym Targu odwiedzał, a że to w drodze trzeba zawsze mieć broń jakowąś, to i wtedy tak się rękojeść pałasza wytarła na czysto. Teraz ją zawsze po użytku octem, dla niepoznaki, pomażę.

— Domyślałem się — wyrzekł z uśmiechem młody Jasiek Wróbel — że i ten portret

cesarski tylko tak dla niemieckich oczu tu wisi, a Kościuszko biedny pomaszerował aż nad piec.

— Dobrześ odgadł, Jasieńku — odpart organista, klepiąc pięknego chłopaka po ramieniu. — Nie nowina to u ciebie, żeś sprytny, takiś już i w szkole bywał. Pocięgę zawsze miał z ciebie, a teraz jeszcze większą.

— Ej, żeby już raz się zaczęło, mój profesorze, bo tak dłonie świerzbią, że wytrzymać trudno. Boję się, że mi jaki Niemiec, psia dusza, z oczu wyczyta, co w sercu siedzi — z uśmiechem junackim odrzucił młodzieniec — bo jak którego zobaczę, to aż mnie mrówki przejdą i sam czuję, jak mi iskry z oczu skaczą.

— Jeszcze trochę cierpliwości, mój chłopcze. Był ci u mnie onegdaj ks. Głowacki i mówił, żeśmy już są bliscy chwili stanowczej, na luty bowiem powstanie naznaczone. Jenó się zbierać w sobie, a ludu jednać jak najwięcej. Każdy z nas niech ust nie żałuje, a przedkłada, tłumaczy, jako o dobrą sprawę chodzi. Mówić trza ludziom, że niechno swój rząd mieć będziemy, to się chłopu insze życie uśmiechnie: lasu dostaną a łąk, ile im trzeba, a sól potanieje i ustaną niemieckie zdzierstwa a udręki.

— Toż to jest najtrudniejsze, żeby ich przekonać, że to nie na chłopską krzywdę to wszystko się gotuje — odrzeknie stary Jędrus. — Niech kule biją, co ja się nagada!

Ktoś strachy po wsiach puszcza, co pany rżnąć chłopów będą. Prawie im na to: Niech was kule biją! A któż panom będzie robił, kiedy chłopów wyrżną? I jakożby to było, skoroć na jednego pana we wsi tyle chłopą, żeby go kapeluchami zarzucili. Oj! ciemnota jeszcze wszęda! Niech ich kule biją!

— Powiedzcież, paniczku, a cóż potem, jak Niemiaszków przepędzimy? Toć króla skąd wziąć, skoro potomków po dawnych niema? Dyćby drugiego Piasta nie obrali, a mieliby nam dać takiego podobnego, jak nasz baron był tutaj, to niema poco krwi sobie toczyć. Jakże mówicie, panie Andrusikiewicz? — zagadnął stary, siwy Piasek.

Niedawno on przystał do ochotnych ku sprawie, a że chłop był gospodarny, a układać sobie wszystko w porządku lubił, więc zaraz wiedzieć chciał, jakby te nowe rządy miały wyglądać, od góry do dołu.

— Hm, jakby tak poszukać, tobyśmy potomka znaleźli; gdzieś oni tam i są. A niechby nie — to i niekoniecznie musiałby naród koronowanej głowy słuchać. Niejedno państwo na świecie króla żadnego nie ma ani cesarza, ale rząd taki, co sobie samo obierze; a majestat królewski żaden tam nie błyszczy, jeno prezydent na czele państwa stoi. Tak mogłoby być i u nas, gazdowie kochani: mielibyśmy rzeczpospolitą.

— Tak to onoby mi się uwidziało — Piasek, z ukontentowaniem czuprynę sobie

gładząc, odpowiedział. — I myślę sobie, że naródby inaczej i nie chciał. To po sprawiedliwości. Obraliby ludziska swój rząd i tego tam prezydenta, to i niechby o narodzie myśleli i kłopotali się, coby mu dobrze było, a nie, to se idźcie z Panem Bogiem, a my se innych wybierzem. Na taką obietnicę to ludzie pójda, jak na miód. O, jej!

A z kąta, gdzie na stołku dotąd cicho w zamyśleniu siedział, podniósł się ogromny chłop o rysach jak z kamienia wykutych i wznosząc w górę dłoń szeroką, zawołał:

— Miły Boże, jakem te piki kuł, co tam w kościele za ołtarzem schowane, to ta ręka kowalska jeszcze nigdy z taką siłą młotem nie waliła jako wtedy, a dusza cała jako ten ogień w kuźni rozgorzała była. Czemuż dajecie sercu stygnąć, a myślom czarnym do głowy się nasuwać?!... Jak co ma być, niech będzie, bo się niejeden przez ten czas rozmyśli i od sprawy odpadnie. A choć się i trzyma, to mu serce omdleje i w nadziei a wierze osłabnie... jako i mnie dzisiaj. Nie pożałuję krwi swojej, ale dawnej nadziei już nie mam; tak mi jest, jakoby mi jakiś duch szepnął: Na nic to...

I zakrył rękami oczy, co jakby we śnie przez ciąg jego słów gdzieś w nieokreślonej przestrzeni błądziły.

— Bój się Boga, Janie! Nie kracz jak kruk i ducha nam nie odbieraj! — wykrzyknął Andrusikiewicz rozżalony.

Zerwał się z krzesła, co potrącone gwałtownie, z trzaskiem upadło, skoczył ku olbrzymiemu kowalowi i ledwie mu dłoni sięgając, zerwał je gwałtownie. Ukazała się twarz pobladła bolem i dwie łyzy ogromne spływające powoli po śniadych policzkach.

Taka głęboka cisza nastąpiła, jakby się tym spiskowcom, tym polskim „buntownikom” karta losu odwróciła, — jakby im krwawym palcem wypisano przed oczyma: krew, rozpacz, poniewierkę, lochów więziennych ciemnice, trud... daremny i mękę... zapoznaną.

A wtedy, w tę ciszę bolesną wnikł przytłumiony, drżący głos Jędrusów, z księgi ewangelji powoli, słowo po słowie, czytający:

„Odejmiście ten kamień — rzekł Jezus. Rzekła mu Marja: Panie! Jużci cuchnie, bo już cztery dni w grobie!

„Powiedział jej Jezus: Ażem ci nie rzekł, że jeśli uwierzysz, oglądasz chwałę Bożą?

„Odjęli tedy kamień, gdzie umarły był położony. A Jezus, podniósłszy oczy swe w górę, rzekł: Ojcze, dziękuję tobie, żeś mnie wysłuchał... i zawołał głosem wielkim:

„Łazarzu, Łazarzu, wynijdź sam!”

• • • • •

Zamknął dziad, chwilę trwał w zamyśleniu, kiwając siwą głową, poczem szeptem prawie dorzucił:

— Łazarza z grobu wskrzesił... i Polskę wskrzesi... Jenó uwierzcie Panu mocno!...

.

Nikt się nie poruszył, nie odezwał. Zastopieni w myślach nie słyszeli, że ktoś w sieni zatupotał, gadał parę słów głośnych, aż drzwi się otwały szeroko z rozmachem i wszedł ks. wikary Kmietowicz.

Pozdrowił wszystkich imieniem Chrystusowem, zatartł zmarznięte ręce i z zapytaniem w oczach spojrzał po zgromadzonych.

— Cóżście tak posowieli, bracia? Jakaś zmora spadła? Co? E, tylko się złym myślom nie dać! Sursum corda!

— Habemus ad Dominum — z uśmiechem już wesółym odpowiedział organista, ściskając w obu dłoniach wyciągniętą ku niemu rękę. — Dzięki Bogu, żeście przyszli, jegomościuniu; rażniej nam zaraz na sercu, bo istotnie jakaś ciężka nadleciała chwila.

W długiej, czarnej sutannie, szczupły, wychudzony „jegomościunio” wyższym się jeszcze wydawał, niż był w istocie. Jakoś rósł w oczach, że jakby mu za nisko pod powałą mieszkanka było. Błada jego, zmizerowana twarz uśmiechała się słodko i z miłością, na czole wybitnem, wysokiem świeciła myśl mądra i poważna; w oczach miał smutek, na ustach trochę gorzkości, — a nos orli suchy

nadawał tej pięknej twarzy cechę rzymskich bohaterów.

Gdy przycichł gwar powitań, ksiądz zasiadł w podsunętym mu ceratowym foteliku, rozgarnął palcami kasztanowate, przydługie włosy i zapytał:

— A no, Jędrus, teraz gadaj, coś sprawił? Jakże naród myśli, czy ruszy kupą z nami?

— Jegomościu kochany! ochota jest, zawziętość na Niemców, niech ich kule biją, straszna. Jam ewangelję świętą im czytał wszędy, żeby wiedzieli, że w imię Boże poczynamy, że to za prześladowaną pod Moskałem naszą wiarę świętą, za naszych braci, po więzieniach jęczących, sprawa. Głosiłem, że przychodzi czas, by się naród ruszył, tych psiawiarów wygnał, a sprawiedliwość sobie polską z niewoli podźwignął, dość łez i krwi czerwonej popłynęło. Ale musicie i wy tam, jegomościu, jeszcze iść do nich ze słowem swoim, a potwierdzić, a wyłożyć, jak to wy umiecie. Ludzie was miłują bardzo, w ogieńby poszli za wami, boście jak ojciec dla nich i opiekun dobry. Jak świętego was szanują.

— Pójdę, pójdę między nich. Utwierdzę i uspokoję w sumieniu, że nijakiej pomsty Bożej na siebie nie ściagną. Hej! miły Boże! widziałem się z Goslarem parę dni temu. Prawił mi szeroko, jak się wszędy brać nasza gotuje, a pordzewiałe ostrzy pałasze, by wroga wygnać z naszej ziemi uciśnionej

a biednej. Jakżeby tu stąd iść nie mieli potomki tych, co z Batorym Moskwę zwojowali srogą!

— Oj, jegomościu kochany! — rzecze strażnik Lebiocki — żeby to ludzie mieli w sercach więcej miłości do ojczyzny lubej! Mnieście między strażnikami namawiać kazali. Niewielem ja tam dotąd między nimi zyskał. Jak już ten mundur na grzbiecie nosi, to myśli, że mu Polakiem już być nie wolno. Jakby mu kto duszę przefarbował. A i tego każdy się boi, że w razie czego to służbę i kawałek pewnego chleba straci; a niejednego i żona za pole trzyma i nie puści do niczego, choćby chciał nawet. Na palcach policzyłbym tych, co z nami pójda.

— To też ja na nich niewiele liczyłem od początku. Tu na chłopie sprawa stoi. Gdy lud ławą ruszy, wtedy Polskę mieć będziemy.

— Haj, haj! Nie będzie dobrze na świecie, dopóki się czerniawa¹⁾ nie ruszy, tak już nasi starzy prawili ojcowie — z westchnieniem Piasek dorzucił.

— Jakaśmy z Woźnym, jegomościu, niedawno u was siedzieli i gadali wtedy, gdy to Goslar przyjechał — przypomniał Andrusikiewicz — to on przecie opowiadał, że Austrijaki nam pomogą i cesarskie wojska będą po naszej stronie. Teraz mi się przecie widzi, że to obiecanki jeno były na omamienie

¹⁾ Czerniawa = chłopskie pospolite ruszenie.

nasze, bo i pocóżby nas tak śledzili, a zgromadzeń zakazywali, a grozili?

— Na niczyją nam pomoc nie liczyć, jeno na siebie samych — odparł ksiądz, a machnąwszy ręką, dodał: — Dużo nam pomogły obietnice przyjaciół! Napoleonowi utoczyliśmy krwi z pod samego serca narodu, a co nam dał ten mocarz, który tak państwa i trony rozdawał naokoło, jak jabym nie mógł ani tych biednych groszy z mojej kieszeni rozdawać? Nikomu, nikomu nie zależy na tem, żeby Polska była, jeno nam samym. Dlatego ramionami się krzepko połączyć, a piersi tej własnej nastawić! Inaczej nic! I budzić naokoło wszystkich, niech wstają!... bo już świta... Lud... chłopów budzić!...

Wstał księżyna, przeszedł się po izbie szybkim krokiem; oczy mu się przymglily rozmarzeniem, policzki zaróżowiły zapalem. Przystanął, o ścianę się oparłszy, z rękami na piersiach skrzyżowanemi.

Zaczął ściszym sennym głosem, który w miarę słów gorętszych potężniał i jak dzwon się rozdźwięczał rozgłosny.

— Zawarte ciężkie wierzeje Giewontu, zawalone lawinami śnieżnemi, zakrzepłe lodami... A w czerwonym słońcu lśni wypukła pierś rycerza, i hełm się błyszczy nad czołem zmarszczonem. Spi olbrzym, spi wódz rycerzy, spi król narodu... A w ciemnych pieczarach, w grotach kamiennych, których wierzeje za-

warte, kędy się anioł ciszy jeno przechadza i czarnem skrzydłem noc wiecznie ciemną rozsiewa, śpią hufce rycerskie... W stalową zbroję zakute, miecze w prawicach dzierżą i nogę w strzemieniu trzymają. Gotowi...

Lecz oczy ich powieką snu przykryte, uszy nie słyszą jęku ojczyzny, pierś nie podnosi się życia oddechem...

...Zaśnione wojsko...

Ludu, ty zbudź ich!

Zleć z gór swoich podniebnych, ciupagę ściśnij w garści, stań jako hufiec Boży, taki biały, ogromny, — załomotaj w Giewontowe skaliska, zbudź Bolesławowe rycerstwo i na wrogie ruń zastępy, a wygnaj za granice odległe, za morza.

A gdy pękną łańcuchy, gdy z brzękiem opadną, gdy Polska piersią już wolną odetchnie, gdy ramiona otworzy szeroko, — toś ty jej zbawcą, mój ludu, i tyś najbliższy, najpierwszy w uścisku tej Matki, — syn jej najmilejszy!...

Uciszyli się słuchacze w sobie; twarze powagą się przyoblekły, czoła marsem groźnym nastroszyły, w oczach poryw zapалу świecił jasny.

— Och, cudnie mówicie, jegomościu! — po długiej chwili prawie szeptem się ozwał Kois Wojciech. — Na wasze słowa to się tak w sercu robi, jakby człek orłem był, a na tym Giewoncie kochanym mieszkanie miał i latał se wolny i pan całego świata.

I zatoczył góral rękami w powietrzu, niby skrzydłami.

— Żeby tak wszyscy, mości przysięzny, serce mieli, jak wy, otwarte i gorące, a szli za mojami słowami, to i niedługoby czekać, abyśmy naszą Polskę ciupagami wyrabali.

Tu zasłyszano, jak skrzypnęły drzwi w sieni, a jakiś głos męski wypytywał o coś Andrusikiewiczową, która podczas takich zebrań u męża pilne baczenie na wchodzących dawała.

— Oho! Pewnie jaki czujnos po nocy szpieguje — półgłosem wyrzekł organista, chwytając w rękę Poradnik Gospodarczy; a rozłożywszy go przed sobą, czytać na głos począł pierwszą lepszą stronicę, by się zda wało, że to na gospodarskie sprawy tak licznie doń ludzie się zeszli.

Każdy przybrał minę obojętną, oczy skrył powiekami, by się w nich tylko co wypowiedane myśli nie odzwierciedliły, i bokiem zerkał ku drzwiom, które się nareszcie otwarły, wpuszczając wysoką, dzielną postać górala. Z twarzy, zaczerwienionej mrozem, patrzyły siwe, pocziwe oczy i uśmiech ją rozweselał dobrotliwy. Na ciemnej guni, której nie zrzucił z siebie, i na białych sukiennych spodniach, aż powyżej kolan przymarzłe wisiały kulki śniegu, wskazujące, że się przez zasy prze bierał głębokie.

— A, Maciej kochany! — radośnie zawołał organista, zrywając się z siedzenia,

podwójnie kontent, że to i przyjaznego zobaczył człowieka i że przybraną na twarz i na duszę maskę fałszu odrzucić może. Wszystkim się też tak samo rozweseliły usta, bo każdy znał dobrze zacnego, poczciwego wójta z Witowa, co się zwał Maciej Ciuntak.

On zaś uchwycił najpierw dłoń księdza, całując ją kilkakrotnie z szczerą, a przytem chrześcijańską pokorną miłością, poczem z całą gromadą się po przyjacielsku a ojcowsku powitał.

— Panie Andrusikiewicz! Ja tu do was z interesem wstąpił. Z Nowego Targu wracam. O, miły Boże, cóż to za śniegi! Wczoraj się wybrał ja na piechotę, a dziś trudno do domu się dostać. Trochę mnie tam podwieźli, ale nimem się od krzyża tu dobił, jużem obmarzył cały.

— Kochany Macieju, jaki interes macie, przedłożcie głośno; myśmy tu sami przyjaciele, a ja nie mam dla nich tajemnic.

— Dobrze, powiem. Bo to nawet żadna tajemnica. I tak, niech dokonam, co to kazali, to i wszyscy wiedzieć będą, a wy mnie tymczasem powiedzcie i roztłumaczcie, co to w tem siedzi. Kazali ci nam wszystkim wójtom do becyrku się stawić na dzisiaj. Ano, była nas tam ćma. Tak i gada nam kreiskomisarz, jak owo nam teraz pod cesarzem dobrze żyć i jak jemu za to i wiernym być potrzeba, a każdego, coby ludzisków przeciw cesarzowi namawiał, trza związać i do cyrkułu zapro-

wadzić. Tam ci za niego po dwadzieścia papierków dadzą. Ja tam sobie zaraz pomyślał, co takiego handlu ja prowadził nie będę, kto inszy jako chce, ale mnie się to nie widzi, takie, jak judaszowskie, srebrniki brać. Ano, potem jeszcze dali nam nakaz we wszystkich wsiach, na każdym końcu wartę postawić. Ta ci warta musi dzień i noc pilnować, a jak jakiego, co bez paszportu idzie, przyłapie, duchem do dominji z nim. Niech będzie chłop, niech będzie pan i dziad, albo i baba. Za nich też zapłacone będzie. Powiedzcież mnie tedy, co to taki strach padł na Niemców — i jak to z temi nakazami robić, coby se człek chrześcijańskiej duszy nie zwał?

Szeroko pocziwemu wójtowi wyłożył i organista i ksiądz, czego to Niemcy tak pilnują, i że to tych, co do powstania naród budzą, wylapaćby chcieli.

— O, Jezusie kochany! jakoś to mnie natchnął szczęśliwie, że ja się tu poradzić przyszedł — zawołał chłop, wysłuchawszy wszystkiego. — Byłbym jako Judasz zaprzedawał najlepszych ludzi i rodzonej ziemi do wolności przeszkadzał. Nijakiej warty nie dam i jeszcze drugim zakazę, a rozpowiem, jaka jest rzecz. Niemieckie dusze! Tak to sprawiedliwych chrześcijan paskudzić chcą. Niech sobie sami pilnują!

Chwilę jeszcze gadali, ale że kukułka wykukała na zegarze dziesiątą już godzinę, poczęli się wraz wszyscy wybierać.

Dziad Jędrus pod kapotę świętą swoją księgę schował i z Janem Zychem, u którego gościnę miał, ku drzwiom się kierował, gdy doń się Jaśko Wróbel przysunął i przymilił:

— Dajcież, Jędrus, mnie tę bibliję, to wam poniosę i podprowadzę do chaty.

— Ehe, synku! Toć z Janem idę, to i opiekę mam dobrą, jakby tam jaki zdrajca mnie do becyrku prowadzić chciał, — a ta książeczka... to mi nie ciężka. Hale! niech cię kule biją! — i tu mrugnął jednym okiem filuternie do młodego — tybyś się chciał za tą bibliją tak wsunąć do chaty, w Hanusine oczka popatrzeć!

— Niech se patrzy, nikt mu ta bronił nie będzie. Najprzód Niemców wypędzim, a na wiosnę weselisko sprawim, aż po górach echo zagrzmie! Jenó się pilnuj, Jasiek, żeby ci Ewa oczu nie wydrapała z zazdrości! — zaśmiał się, poklepawszy olbrzymią dłonią chłopca po plecach, kował, którego smutne przeczucia gdzieś się już rozpierzchły.

Po chwili opustoszała organistówka, i uczestnicy wieczornego zebrania rozeszli się w różnych kierunkach.

Noc się wyiskrzyła gwiazdami. Świeżo spadły śnieg leżał puszysty i świecił brylantami od ostatnich promieni księżyca, co ponad zębatego, groźnego wisiał skałami i białe ich, ośnieżone ściany wysrebrzał blaskiem czarowym. Lasy, śnieżnym natrzęsione puchem, osędziały od lekkiej mgiełki — i, jak w gro-nostajach, dumne i królewskie stały wokoło.

Siarczysty wziął mroźnik; para z oddechu marzła w powietrzu, które było tak ciche, jakby wszystko w śnie jakimś odwiecznym skamieniało i zmartwiało.

Raźno szli drogą przez wieś: Zych, Jędrus stary i Jaśko.

— Był ci czas — rozgadał się Jędrus — że i mnie niejedne takie ślepki czarne, albo i siwe — niech je kule biją — aż przez żołnierski mundur zapadły do serca, ale, że to człek we wojsku służył, pod carewiczem Konstantym, a wiecznie jeno ćwiczenia, a parady miał na głowie, to i co się rozkochał, to wprędce zapomniał. Takem się już i zagnał aż powyżej czterdziestki. Ano, u mego majora służyła za pokojową Rózia, z którąśmy się często widzieli i tak pomału poznali, że się tak między nami ułożyło, abym ja z wojska wystąpił, to się i pobierzemy. Nie była już taka młoda sroka, ale trzydziestu jeszcze nie miała; a jako że porządna bardzo i uczciwa, to i młodo wyglądała i ładnie, żem za nią i świata nie widział. — Aż tu jednego razu powiadają: rewolucja! Hej, miły Boże, co się to działo wtedy! Niech kule biją! Całe Ujazdowskie Aleje, cały Mokotów: jeno wojsko, a wojsko. Stoimy: piechota jak mur! A tu carewicz nadjeżdża: Polaczki za mną! A nasz porucznik do mnie przypada, jako żem był w szeregu najbliższy, karabin wyrывa, w księcia mierzy... Nicem nie wiedział, co się działo, bo się ze mnie w jednej chwili jakby

bryła lodu zrobiła, — a i dziś mi tylko w pamięci stoi jeden strzał, drugi i trzeci, i w oczach widzę jeno zad książęcego konia, już daleko, za Belwederem. Niech go kule biją! Ucieki! — A w Warszawie powstanie! Radość, wesele takie, że człek nie wiedział, czy jeszcze na ziemi, czyli w niebie. Nimem się opamiętał i na chwilę z koszar wyprosił, już i tydzień minął. Biegnę do mojej Rózi, wása podkreścam z radości, że ją wycaluję ogniście a naopowiadam się różności, — aż tu patrzę, inna jakaś, nieznajoma w kuchni się przy kucharce kręci. Tak i opowiedzieli mi, że jak rewolucja wybuchła, mówił jej stróż, że nasz pułk tamtędy pójdzie, i ona zbiegła na ulicę, by na mnie popatrzeć i bodaj ręką kiwnąć na szczęśliwą drogę. A tu gdzieś strzelanina się zaczęła. Jakaś kulka się zabłąkała i w same piersi moją kochaną dziewczynę buchnęła! Anim jej już nie widział! Jeno się człek na mogiłki powlókł i popłakał. A teraz — ot samotny, jak palec, dziad ze mnie; kostur i ta książka, co mi po niej na pamiątkę została, to mój cały na świecie majątek.

I chlipnął dziadyga łzami, otartemi prędko rękawem kapoty.

— A nas to już nie liczycie za nic? — Jan Zych mu rzekł, nachylając się i zaglądając mu w twarz. — Toż, gdzie do której chaty przyjdziecie, wszędy was miłują, a dziadusiem kochanym nazywają.

— Hm. dobre i to, aleć zawsze swoja żonka, swoje dziatki, to największa pod słońcem szczęśliwość. E, niech kule biją! Żeby jeno swojej Polski wolnej się doczekać, to jeszczeby dość szczęścia dla serca było — choćby i głową za nią nałożyć.

— Doczekamy się, Jędrusie, a potem mi będziecie ojcować na weselu, jako że wiecie, iż ojca już nie mam — z wesołością w głowie przemówił Jaśko.

— Wiem, wiem, Jasuniu! Że się to takie musiało w lesie niecne drzewo trafić, że takiego chłopca szczerego, jak był twój ojciec, zabiło. Wieczna mu światłość niech świeci!

W milczeniu szli jeszcze nieduży kawalek i w ciszy, w której jeno dziad podśpiewywał sobie smutną melodję:

„Idzie żołnierz borem, lasem“...

Tak stanęli u wrótek Zychowego obejścia.

Od wieków tam na tem miejscu Zychy siedziały, z Batorego czasów jeszcze, kiedy to na Moskwę z królem chodzili, a w nagrodę przywileje dziedzicznego sołtystwa brali. Chata była piękna, duża, sadem ztyłu otoczona, co się dalej o las spierał smrekowy.

Z okien światło padało w podwórku, znacząc na śniegu jasne, długie smugi, a za szybami kręciły się cienie domowników. Na jutrzejszą świętą wigilię krzątano się jeszcze, a Hanuś kwiatki do obrazów wystrzygała z papierków kolorowych.

Zapłonila się dziewczyna, ujrawszy z poza pleców ogromnego swego brata, błyszczące radością oczy Jaśkowe.

— Gościam ci jeszcze na chwilę przywiódł, Hanuś. Kontentaś? Co? A no, to mnie pocałuj za to — i schylił się kowal nisko ku dziewczynie, co zawstydzona, zarumieniony policzek przytknęła mu do twarzy.

A rozweselony Jan podniósł ją jak piórko w górę i wycisnąwszy na jej białem czole głośny pocałunek, postawił znów na ziemię, mówiąc:

— Takem rad, że wy się z sobą kochacie, żebym nawet i ciebie, Jaśku, tak na rękach nosił. Ale ja to tak nieraz, jak moje dzieciśka śpią, to Anuszkę chwytam i noszę, bo mi tak czasem w piersiach coś wzbiera, że się nie może pomieścić. Wtedybym cały świat nosił na tych kowalskich rączyskach.

I wyciągnął żylaste, długie ramiona, a gdy mu się Jędrus pod nie nawinał, objął go niemi zamasyście i do piersi barczystej przycisnął.

— Ot, Jędrus, toby cię i syn rodzony lepiej nie utulił jak ja.

Wesoło się zrobiło w izbie i jakoś aż ciepło od miłości i dobroci tych ludzi.

— A ojciec kiedy wróci? — zapytał Hanki kowal.

— Późną nocką obiecywali wrócić, a może aż i jutro dopiero.

Cieślą bowiem wiejskim a wziętym bardzo był Hanczyn ojciec, więc i mało w domu.

bywał, jeżdżąc po całym Podhalu; a w zimie godził roboty na czas letni. Z radością na chwile wypoczynku do domu dążył, gdzie się śliczna jego córuchna Hanuś, po matce sierota, przy dziadkach i wujostwie chowała, a tak do Zychów przylgnął całą duszą, że się i ożenić po raz wtóry nie chciał i chował w pamięci swą słodką Annę, co życie dając pierwszej dziecinie, z rodzicielskiej, słonecznej się chaty na cmentarzyk, w cień świerków przeniósł.

Kowalowa żonka z Hanusią zastawiły szczodłą wieczerzę na białym stole i gwarzono sobie przy jedzeniu i szklaneczce węgierskiego cienkiego winka, serdecznie i wesoło.

A kiedy się Zychowa wymknęła do dzieciaków zajrzeć i do dziadusia starutkiego, wysunęła się gdzieś i Hanusia, a Jasiak wnet za nią.

Stanęli w podwórku przed progiem i chłopiec objął dziewczynę ramieniem.

— Hanuś, ty już jakby moja; dzisiaj mi to przy ludziach Jan rzekł, że niechno po naszej sprawie będzie, a pobierzem się zaraz. Nie potrzebuję się sromać, a chować przed ludźmi, bośmy już jak zmówieni ze sobą.

— Och, Jaśku, naprawdę? Jezusickowi dziękuję, bom się zawsze trocha w sercu bała, że mnie tobie dać nie zechcą. I jeszcze się o jedno strachała...

— O co? mów, Hanuś!

— Że... Ewę będziesz wolał lepiej nade mnie.

— Ewę! a, co się tobie śniło! Ani mnie na moment serce do niej nie pociągnęło — no, i wdowa.

— Wdowa, ale bogata — a przecież też tak młoda jak ja, a ładniejsza — i ciebie tak bardzo zabrać chce...

— E, nie praw mi o Ewie! Tyś dla mnie najładniejsza i jedna na świecie, Hanuś złota. Lubiszże mnie, powiedz, bardzo?

— Och, Jasiu...

— Lubisz? powiedz! — szeptał chłopiec, pochylając się nad nią ustami jak krew gorącymi i oczyma czarnymi w jej oczy spuszczone zaglądając.

— Och, lubię... Jaśku... lubię... — rozplynęły się w ciszy nocnej słowa dziewczyny, a resztę ich stłumił Jasiiek, szukając pocałunku ust kochanych i kochających.

Długo tak trwali w uścisku milczącym jak cisza, co nad światem tym, w górach i śniegach przepadłym, wisiała, — w uścisku gorącym, jak płomień krwi młodej, góralskiej, — mocnym, i bezpamiętnym, jak granitowy, odwieczny sen wiszących nad nimi złomów skalnych.

Aż się pierwsza ocknęła dziewczyna. Uchyliła głowę wtył, z pod ciężko opuszczonych powiek, napół sennym spojrzała, rozmarzonym wzrokiem i ustami, jeszcze obezwładnionymi, wyszeptała swą myśl, co ją, widno, z rozkosznego w pocałunku zatopienia obudziła:

— Jasiu — rzekła po chwili — do powstania gdy pójdziesz, a niech ci się co stanie, to moja śmierć! Jakbyś nie szedł, to i tak bez ciebieby ich dość było. —

— Ja... żebym nie szedł?! Hanuś — nie może to być i nie będzie. I ty nawet nie proś. Wszystko tobie na ofiarębym dał, cobyś jeno zechciała, jeno nie mój honor polski!

— Och, Jaśku, mnie strach...

— Czego? Czy to na wojence wszyscy ginąć mają? Niech ja się rozepnę jak ten dąbek w lesie, niech kosę w garść uchwycę, a w drugą strzelbiczkę, to Niemców tak rozmiotę przed sobą, jak ten wiatr halny, co się rozhuła na wiosnę!

— Boję się... aż serce w piersiach drętwieje...

— Żebym to nawet tak tej naszej polskiej ziemi nie kochał, to i takbym poszedł. Hanuś, ty nie wiesz, jaki to żal mnie piecze, a jaka zazdrość, gdy widzę, jak z tej dębowej skrzyni dziadulo twój stare dokumenty wyciąga, a królewskie podpisy pokazuje, a gładzi ręką, jakby dzieci najmilsze po licach. Wy... sołtysy chochołowskie, — a ja co? — ot sobie taki góral prosty; wy... sokoły, a ja Jasiek Wróbel — taki szary wróbel, co w prochu wyrósł ulicznym. Ale ja sobie dokumenty sam wypiszę krwią swoją czerwoną i wtedy przyjdę po ciebie, Hanuś złocista, — jak równy !...

Patrzało dziewczę roziskrzonemi, zachwyconemi oczyma w junacką, zapaleń rozgorzałą, i aż zuchwałą postać ukochanego, ale wnet przygasła jej twarzyczka od smutnych myśli, co uparcie wracały.

— Ty pójdziesz — i ojciec — i bracia... Och, Jezusie kochany! To mnie się w trumienkę naprzód trza położyć drewnianą, bo nie strzyma serce tego lęku... — i cała się aż skurczyła i zatrzęsła, jak to ptaszę małeńkie, biedniutkie, zastraszone w dłoni pso-tnego chłopaka.

— Hanuś, a toś ty nie czytała z książeczek, co nam nasz organista i profesor dawał, jak polskie matki, żony i dziewice same nawet wyprawiały swoich na wojenkę? Ej, Hanuś, przecieżeś Polka też, czegoż tak gołębie serce w tobie?

— Nie wiem, Jaśku, tak już od małości ze mnie się za to pośmiewają.

— Zbierz się w sobie na odwagę, Hanuś najdroższa, a nie strachaj się byle czego. No, ale mnie trza iść do dom. Późno. Teraz już śmiało do ciebie skoknąć mogę, jak jeno chwilkę czasu zachwyć. Jeno mi się nie trap, dziewczyno moja!

I poskoczył do chaty, na dobrą nocy tamtych pożegnać, a wyszedłszy, jeszcze raz ogarnął dziewczę mocno, aż rozkołysał w ramionach, a oczy i usta wycałował z całej mocy.

A w ciemno-błękitnym przestworze nieba migotliwe gwiazdy mrugały nieodgadnionemi złotemi oczyma...

Za chwilę już tylko kroki Jaśka skrzypiały ostrym, suchym chrzęstem po zmarzłym śniegu, — coraz się oddalające — i niknęła jego smukła postać w nocnych szarych cieniach.

II.

Po siarczyście mroźnym styczniu przysła w pierwszych dniach lutego odwilż. Ciężkie opary mgieł wisiały nad górami, rozwlekały swe leniwe ramiona po lasach, nareszcie objęły świat gęstą, nieprzeniknioną, jednolitą zasłoną. Dni stały się mroczne, bez blasku, nocy czarne, niewidne.

Aż przecież 4 lutego pod wieczór trochę przymarzło, mgły się uniosły i począł prosić drobny śnieżek. Ślizgawica się za to zrobiła taka, że się ludziska po drogach przewracali.

Wieś uśpiła się wcześniej; ledwie gdzieś niegdzie światło w okienkach jeszcze błyszczało.

Z Zychowej chaty tylko co się w ćmie nocnej rozeszli: organista, Kois i paru innych.

Termin powstania się zbliżał, więc się często tu lub ówdzie na narady zbierali, obliczając swe siły i udzielając sobie wzajem wieści stamtąd, z dołu: od Krakowa, Wadowic, od Bochni, Tarnowa, lub Sącza. Tu kogoś aresztowano, tam się chłopci gdzieś z kosami gotują, — to jakaś odezwa nadeszła cichaczem, nieznaną drogą, z jednych rąk pewnych w drugie podawana, to jakiś

nakaz z „becyrku”, niezrozumiały, spadał na gminy; — było więc o czem gadać.

Został jeszcze w izbie z domowymi Jasiek Wróbel. Chwilę siedział uśmiechnięty i zapatrzony w Hanczyne oczy, poczem ona spuściła głowę nad jakimś szyciem, a on wziął książkę i począł w głos czytać. Zychowa Maryna obok Hanki siedziała, dziecku koszułinę szyjąc, a kowal o piec się oparł swą wielką postacią i czytania słuchał.

Cały ten wesoły i jasny obrazek przez górne szybki okienek, bo dolne wzorzysta kryła firanka, widać jak najwyraźniej.

Patrzy nań też długo, długo z proga swojej chaty, co na pagóreczku naprzeciw stoi, wdowa Ewka.

Widzi wszystko: i gromadkę naradzających się nad wspólną sprawą, a jaką, — to jej już dawno z rozmów ludzkich wiadomo — i jak się potem rozchodzą, i jak Jasiek ze szczęśliwością w oczach z Hanusią rozmawia — i jak tam wszyscy razem w tej cichej izbie siedzą.

Zazdrość ją szarpie, gryzie w serce, jakby jastrząb dzióbem okrutnym żywe rwał ciało. Oczy zalewa chwilami jakaś mgła czerwona, od której żar bije na twarz jak od ognia. Nogi się uginają bezsilne, to znów w członki wstępuje moc dzika, rwąca do jakiejś drogi, do walki o tego najmilejszego chłopaka, którego

wybrała sobie z pośród wszystkich szaloną niepomamowaną miłością.

A tam się nareszcie Jaśko podnosi i żegnać poczyną. Zychowej w izbie na tę chwilę gdzieś niema, a dobrotliwy kowal, chcąc wiadać młodym pozwolić na uścisk, na całus niby ukradziony, a więc tem miłszy, bierze ze stołu książkę przez Jaśką przedtem czytaną i do szafy ją między inne chowając, filuternie się do siebie uśmiecha. Korzysta Janek z chwili, dziewczynę w ramiona chwyta, do piersi szybko utula i z ust mu skwapliwie podanych, pocałunek gorący bierze.

Ten pocałunek w samo serce Ewę ugodził.

Wszystko się w niej jakby wściekło odrazu.

Chustę z pleców na głowę zaciągnęła i nie oglądając się nawet na chałupę, której drzwi naścieżaj otwarte stały, pomknęła w ciemności.

— Pójdę! Już nie strzymam! Niech jemu koniec będzie i mnie! Jego do „areštu” zabiorą, a ja sobie z jakowej skały tę moją nie-szczesną głowinę rozbiję.

Gna między opłotki wiejskie, drogę wymijając, by się z nikim nie spotkać.

— Przez las obejdem, to i nikt mnie nie ujrzy. Na rano wrócę i już na wieczór całował jej nie będziesz. Oj nie!

— Do Dunajca niedaleko, żeby jeno ten pies Kulczycki był doma.

— A nie będziesz mnie, psie, nagradzał! Nie chcę! Nijakich twoich bratów na męża

mi nie obiecuj. Za darmo ci wszystkich dam i Jaśka z nimi. Mnie już nie potrzeba będzie nic.

Dopada lasu. Dróżki żadnej w ciemnicy nie widać. Naoślep idzie, macając rękami przed sobą, ślizgając się na gładko obmarzłym i stromym stoku, padając na kolana i podnosząc się znowu nawpół nieprzytomna.

Suche gałęzie świerków drogę jej tamują, kłują w oczy wyciągniętymi końcami; jakaś ostro ułamana delikatny policzek jej przecina poprzeczną szramą, i krew się ciepła leje po szyi aż na pierś, za koszulę. Nie czuje.

— Żeby się już więcej nie całowali... szepcą trzęsące się wargi.

— Wydam... przyjdą... okują ręce.. Nie będziesz więcej obejmował niemi... O Jezusiczku!... — jęczy w głos.

Z lodowatej, gładkiej dźwiga się powierzchni, paznokciami się wpija w stwardniałe wierzchem zasy, bo się nogi gdzieś zsuwają, oparcia nie znajdując.

— Hanka ci zemrze z żalości, — niech ta! Ni mój, ni jej nie będziesz.

Łzy z oczu lecą jak grochy, aż się zachłystuje tym słonym jadem. Chusta gdzieś na krzakach zaczepiona, przepadła; kosmyki czarnych włosów lepą do spoconego, mokrego czoła.

— Zabłądziłam widno. Rozum mi się miesza! Nie trafię chyba w tej ćmie!... A oni znów będą... wieczorem...

Zrywa się znowu. W las coraz głębszy się wnurza, ślizga się, zsuwa wtył zpowrotem, w zaspach się powyżej kolan zapada. Mota się między drzewami, w swoje własne ślady napowrót trafia.

Raptem las się z jednej strony urywa... przepaść.

A tam... tam niżej przez gmatwaninę śnieżnych płatków światełka się drobne iskrzą.

— O Jezu! Wilki...

I przed oczyma już Ewce białe migają zębiska... już ciało szarpia zdrętwiałe... A tamci znów się całują...

— O jej! O jej!

— Tam się obróć, w jenszą stronę.

Ale tu pod świerkiem coś przykućło: czarne... najeżone... Rusza się... o rusza... długie ręce wyciąga, chwyta, za gardło dusi...

— Puść!... mnie w drogę trza... puść!...

I włosy wstają na głowie strachem ogromnym, ciało się zimnym potem zlewa, lęk duszę z niego wypędza.

Puściło, — ale twarz, ręce zdrapało docna, spodniczynę zszarpało.

Jakieś wieżyce, jakieś domy, pałace, kościoły jakieś...

— Co to?

Ha! Mgła — zwodnica, wieś rodzoną przemienia na dziwy!

Oczy przeciera Ewka, po lesie kluczy znowu w ciemności, maca przed sobą, głową w dół wali się głęboko.

— O Jezusie, Panie najmilejszy! już
zemrę!...

Krzyk jakiś — tak blisko...

Biją...

Ludzkie głosy rozmaite, skłócone... ktoś
jęknął...

Szamocą się.

W biednej, poranionej głowie szepce coś
tak strasznie:

— Pewnie Jaśka biorą... biją... nie daje
się... o, znowu biją... o, po głowie, po tych
oczach cudnych, po plecach śmigłych, po rę-
kach... kuja pewnie... jęknął...

— O Jezu! nie bijcie! To nie — prawda!
On nie ... on nie buntownik... Nie... bijcie!...

— Zimno... o, jak zimno...

— Co to? Chałupa?... Pole?... Las?...

— Las przecie, las.

— Noc.

— Aha! A Jasiek?...

— Ale żeśmy mu wsunęli! Ha, ha, ha!

— Niech ma! Pilnować mu się chciało,
czy warta je.

— Wiesz, Józek, że jakby mnie kto mio-
dem pomaścił, takim kontent. Niemiec par-
szywy. Tyle już ludzi karę napłaciło za to,

że po nocy nie wartują. Hale, — czego wartować? Chcieliby naszych wylapać, a po aresztach pakować. Niedoczekanie ich!

— E, żeby nawet jednego, dwóch złapali, — to powstanie i tak będzie! Ale niechby tak wszędy tych czujnosów strzepali, jak my teraz tego, toby im się odniechciało szpiegowania.

— A jak się to, psiawiara, za chłopą pięknie przebrał!

— Aleśmy go zaraz poznali.

— A jak się zastawiał, co on z Kościelisk leśniczy, Szmid, i że my kościeliskie chiopy, to go musim znać. Ha, ha!

— Hale, — a ten mu Wojtek w gębę się śmieje: „Dyć leśniczy, to nie cham taki, jak ty, włóko, w pańskim surducie chodzi” — i wali jak w bęben.

— O, ja tam mu też od serca dołożył.

— A ja, myślisz, nie? Użył se człek raz na całe życie!

— Będzie ci on się lizał po tych naszych kulakach; z miesiąc wartować nad nami nie pójdzie!

— Patrzaj, jadą jakieś chłopcy.

— Hej, co wy?

— My do Chochołowa.

— To nasi, poznajesz, Józek? Makuch i Styrcula z Dunajca!

— A jakże, prawda!

— Bywajcie, z Bogiem!

— Jak się macie, bracia! Bóg z wami!

— A czego to tak gnacie szkapy?

— No, wam to możem powiedzieć, wy swoi ludzie. Ot bieda!

— No, jaka?

— Rewizję zrobili dziś u Woźnego. Jakiś obraz u jego matuli znaleźli, więcej nic. Ale i tak go wzięli, skuli ręce i do Nowego Targu powieźli.

— O Boże miłosierny! Żle! Ktoś zdradził chyba?

— Pewnie, że tak. I nawet domyśliwam się, kto ten Judasz niegodny. Bo kiedyś w styczniu jestem ci ja u naszego organisty w Dunajcu, aż tu Woźny przychodzi. Papier jakiś z kieszeni dobywa i czytać pocznie na głos wielki: „Ludzie! pracujcie od świtu do nocy“!... Na szczęście, w tej samej chwili Andrusikiewicz nadjechał i spojrzawszy, wyrywa ten papier i chowa. Potem mu za to w cichości nagadał, że to proklamacją czyta, a nie obejrzy się, kto w chałupie. A stał tam akuratnie jednego strażnika chłopiec, z tych, co na nas zawziętość mają okrutną.

— Toć mu się pewnie ten przysłużył.

— A no, i ja tak myślę.

— A wy tu z tem jedziecie umyślnie?

— Nas Woźnowa macierz wysłała czem skorzej na koniach, organistemu dać znać, bo jeno patrzeć, jak na niego te psiałowce spadną.

— Ja jechał jedną drogą, Styrcula drugą, i tu my się w lasu spotkali.

— A no, to jedźcie z Bogiem! Spieszcie, żeby co naszego Andrusikiewicza nie zaskoczyło, bobyśmy się zostali bez niego jak owce bez pasterza.

— Niech Bóg prowadzi!

— I wam Boże pomóż!

— My też do dom idziem spać, już nas dziś pilnować nikt nie przyjdzie.

.

Budzi się Ewka z odrętwienia, myśli zbiera...

— Kogoś wzięli... skuli... powieźli... bili kogoś...

— Kogoż to?

— O jej, nie wiem.

— Tak wszystko boli... o... głowa strasznie... strasznie.

— Ktoś zdradził...

— Zdradził?...

— Ja nie!... nie... jakiś Judasz...

— Tak, tak, mówili, że Judasz.

— Zdradził Jaśka?...

— Jaśka?... nie, nie, nie... kogoś innego...

— O jej!... kogoż to?...

— Ale nie Jaśka ... nie!

— O Jezu! Szczęście, że nie Jaśka!

— Ale Ewka go zdradzi... ha, ha, ha!... wyda... na bicie... na kajdany... na więzienie... w ciemnym lochu!...

— Och nie, Jaśku, nie!

— Nie wydam! Nie! Schowam, tam schowam w tej pieczarze głębokiej, pod Giewontem...

— A jak znajdą?...

— To wydrę... pazurami temi wydrę... piersiami zastawię... nie dam...

— Hance go dasz?

— Niech ta... dam.

— Aby jeno żył...

— Jaśku, Jaśku serdeczny!...

Roztrzęsa się pierś rozboleła, rozchwiała się głowa biedna, tłukąc z rozpaczą w twarde, zimne lodowiska, skurczyły się palce, włos szarpiąc czarny nad czołem.

I poleciał szloch, jęk okrutny ponad pola zaśnieżone, przez pomroki nocne, w czarne, leśne gęstwy, pod szare, nieprzebite obłoki.

III.

Urzędowe, umundurowane figury dwa dni już w Chochołowie siedziały, konskrypcję prowadząc. Andrusikiewicz, w zastępstwie proboszcza, pomagać im musiał i pocił się biedaczysko w trudzie przybierania chłodnej, obojętnej miny, gdy wewnątrz drżał cały od przelatujących ogni radosnego oczekiwania.

Boć to każdy w tym czasie, kto ciężką dłonią niewoli przyduszon ku cudnemu klejnotowi wolności i wyswobodzenia wzdychał, czuł się jak na wulkanie, wówczas, w on poczynający się rok 1846; — czuł w piersi swojej odbicie owego drżenia, co szło od zachodu, łonem Europy wstrząsając i grzmiąc hukiem podziemnym, burzę zwiastującym, — burzę, od której grozy pobladnąć miały twarze, te z pod złocistych, królewskich koron, a szczerwieniść się łuną krwi i pomsty te czarne oblicza bezimiennego bezwolnego a nieprzeliczonego tłumu; miały się uchylić dumne, diamentami sadzone, władcze berła przed twardą, osmoloną dłonią, co się po prawo, po wolność, po równość nieustępliwie wyciągnęła.

A już się luty po połowie przechylił i dzień każdy mógł przynieść hasło; — każdy dzwon,

spokojne „Anioł Pański” za duszyczki mruzcący, mógł się rozhulać głosem wielkim na święto bojowe.

To też serca wstrzymywały swe bicia w oczekiwaniu niespokojnem, słuch się w dal wyteżał, na ustach wisiało niewymówione pytanie:

— Czy już?...

Zmrok chmurny nad ziemią poczynął już zwisać, gdy szybkim krokiem ks. Kmietowicz do izby wszedł, gdzie właśnie papiery konspiracyjne składano, bo się mandatarjusz i oficerek, co do tej roboty wyznaczeni byli, na hulankę zapustną gdzieś wybierali.

Krew wszystka zbiegła organiście do serca, bo wiedział, że dla byle jakiej przyczyny, nie szedłby ksiądz między urzędowych jegomościów, których niecierpiał.

— Kochany panie Janie, dobrze, żem was tu zastał, bo prosi mnie w liście ks. Głowacki, abyście mu kancjonał i ruty zaraz odesłali, gdyż mu potrzebne bardzo; poślaniec czeka.

— A dobrze, dobrze, odeszłę mu zaraz — wyrzekł Andrusikiewicz, siłąc się, by drżenie głosu pohamować i udanem chrząknięciem pokryć.

„Odesłać ruty i kancjonał”... to umówione hasło, by się co tchu do Poronina stawić po ważne wiadomości.

Gdy się zatem Niemiaszki rozjechali, kował Zych zaprzął do saneczek i w trójkę pojechali, ciemnością mglistego wieczoru otuleni.

Zastali w Poroninie i ks. Janiczaka z Szaflar i długą, a ostatnią odbywszy naradę,nocką do dom wracali późną.

O, gdyby im wówczas w twarze było zajrzeć przez gęstą nocy zasłonę!...

Zych konia popędzał, ściskając cugle w garści tak mocno, że mu się paznokcie w dłoń wpijały, a w twarzy hardo wzniesionej i w oczach miał ten surowy, twardy wyraz chłopca, co grzbiet długo schylony naraz wyprostował i teraz już idzie o swoje i swoich krzywdy się upomnieć, groźny, nieubłagany — i nic go nie wstrzyma.

Ks. Kmietowiczowi pot uperlił czoło wysokie, z którego czapkę na tył głowy zsunął. Jak w cichą ciepłą noc letnią błyskawice zdala przebłyskują, bez echa grzmotu za sobą, zwiastujące tylko, że gdzieś tam zdala huczy burza, piorunami szalejąca, tak błada, wyrzeźbiona chudością twarz księdza rozbłyskała ogniami zapałów i przygasła coraz wewnętrznemi skrupułami wydelikaconego sumienia. W tej gorącej kapłańskiej duszy polskiej toczyła się w tej chwili ostatnia walka między najszerszem i najściślejszem pojęciem przykazania „Nie zabijaj!“ a tradycją, którą wieki w istotę społeczeństw wsączyły: że przemoc przemocą się jeno odpięra; — między nadzieją, że biały ptak królewski z okowów się wyrwie gniotących, a wolny i dumny w błękit pofrunie przejrzysty, — a ciężką zmorą trwogi, że się jeno te śniegi zmarzłe krwi napiją czerwonej,

że jeno łez i bólu przybędzie Ojczyźnie znękanej...

Andrusikiewicz zaś patrzył wzrokiem jasnym i pewnym, z któregobyś tylko zapał i wiarę wyczytał bezgraniczną. Dusza czysta i prosta, po manowcach zwątpień, ich kolicami nie zszarpana, miała przed sobą cel jasny, drogę jedną tylko i prostą: powstaje dziś polski naród, więc i on także i każdy co polskie imię nosi; poniosą bracia życie i krew, to i Andrusikiewicz swojej nie pożałuje. Niech jeno się dźwignie ta pani a królowa cudna i ubóstwiona, co koronę z osędziałyh Tatrów nade skronią nosi, a rączęta ma skute w trójchwytnie okowy! Niech się jeno dźwignie!... to co tam taki miechodmuch z Chochołowa znaczy!... Żeby i padł!... Pod krzyżykiemby sobie legł na tym cmentarzyku pocziwym wiejskim, a takby się rozparł szeroko jako swobodny człek w swojej wolnej ziemi; — a Tatryby mu się w same oczy śmiały. A synkowie jego szliby sobie poprzez kraj kochany: Hej! Teofilku, Romanku! A wasz ojciec kto?... Kto?... Andrusikiewicz! Chochołowski wódz!... Hej! Nie żal życia, nie!...

Tak w milczeniu, wśród majestatu nocy i majestatu przezierających przez jej osłonę gór podniebnych, snuli swoje myśli własne, które w majestat duszy polskiej zwolna rosły i tężały.

A gdy przed domem organisty zeszli i w próg jasnej izby wstąpili, już w tych czo-

łach ni zmierzchów ni upojeń nie było, ni namysłów ni bojaźni, lecz jeden twardy skryształizowany czyn!

Rozestali jeszcze po wsi za tymi, co najpotrzebniejsi i prawą im ręką byli od początku, by im plan wybuchu powstania przedstawić i objaśnić, a na wieczór dnia następnego termin oznaczyć.

Hej, dwudziesty pierwszy lutego! sobota owa, coś chmurnem patrzyła spojrzeniem na tę w górach zapadłą wiosczynę, gdzie tak mocno i niecierpliwie w tym dniu serca ludzkie biły; wiekiem się zdawałeś długim, ty dniu lutowy, nim zmrok twój padł i skrył te iskry gorące, co się z ocz zbyt jaskrawe sypały, zdolne się zdradzić przedwcześnie, iż płomieniem szerokim wybuchnąć się biorą.

Ponad strumykiem poprzez pół lodem ściętym, co poprzed Zychów obejście płynął, chłopcy ze szkoły bitwę na kule śnieżne toczyli zawziętą, w dwa obozy, gdy z chaty wypadł Janek i szybkim krokiem koło nich przechodząc, zatrzymał się na sekundę.

— Wal, bij! — zakrzyknął gromko. Jakieś mu słowa jeszcze na ustach zawisły, lecz je zatrzymał niedomówione, mazurka zagwizdał Dąbrowskiego, lecz znów go w pół nuty urwał — i mocno ręce w kieszeń zasunawszy, jakby mu to miało dopomóc do utrzymania się w milczeniu, obejrzał się jeszcze raz ku stojącej na progu Hanusi i pomknął jak strzała, znikając wkrótce w zapadającym zmroku wieczornym.

A Hanuś, oczy za nim wypatrując, rękę na sercu — jak gołąb przelekty się trzepoczącem — trzymała, mozoląc się nad pytaniami, co jej w głowie szumiały:

— Czemu Jasiek dziś taki dziwny, taki niecierpliwy?... Czemu całował tak mocno, tak strasznie mocno, że się policzek plamą jeszcze czerwieni gorącą, — czemu te oczy czarne tak się iskrzyły, jako dwa żarzące węgielki w ciemności?... Czy może to już?... O Jezusiczku!... Zmiłuj się!...

I lzy zaczęły się lać palące, niepowstrzymane lzy, co są jękiem i błaganiem — i rozpaczą i nadzieją — i ulgą i zmorą ciężką, co za piersi chyła i dusi, aż i tchu braknie.

A Jasiek tymczasem organistówki drzwi dopadł i w nich zniknął.

A gdy się ciemność nade światem rozciągnęła zupełna, chmurna i bezgwiezdna, wtedy z domku kilkadziesiąt wyszło postaci krzepkich i dziarskich, pod guniami broń rozmaitą skrywających. Ścisnęli sobie mocno dłonie i po kilku i kilkunastu w różne się strony rozeszli.

Milczenie poszło za nimi; ogarnęła ich cicha moc ducha, co się z wielkiej chwili dziejowej narodził, jej dorósł i z nią się zespolił.

W największej gromadzie ks. Kmietowicz z Andrusikiewiczem szli przodem. Księdzu z pod płaszcza biała widniała komża, i stuka błyskała złotem haftu, gdy poprzód jakie świe-

tliste okna szybkim chodem się przemykali. Organiście szabla raz wraz o kamień brzękła, lub po zmarzłym śniegu zazgrzytła; góral każdy to pikę, to kosę wyproszczoną dzierżył, w przód wyciągniętą, lub się nią ni to pastorałem swego rycerskiego dostojenstwa podpierał.

Prawie że w pośrodku wsi straż finansowa w osobnym domku się mieściła.

Szablę pod pachą ścisnąwszy, spokojnie wszedł tam organista, niby na zwykłe, wieczorne odwiedziny i po przywitaniu zagadnął:

— No, panowie; powstanie dzisiaj w Polsce; wiecie o tem?

— Powstanie? Już dzisiaj? Słyszeliśmy, że ma być, ale że już dziś, to nam nie wiadomo.

— Ej, psiakrew, i z nasby niejeden poszedł, żeby już tak naprawdę i żeby się wszyscy ruszyli — młodzieutki zawołał strażnik Bilecki.

I przyskoczył do Andrusikiewicza i za guzy czamary go chwycił.

— Takąbym, panie Andrusikiewicz, czamare na grzbiet zamiast tego munduru włożył, a jeszcze rogatywkę ze srebrnym orzelkiem, — ej, bilibyśmy się!

Przy tem szarpnięciu szabla się zsunęła organiście z pod ramienia i o podłogę zabrzękła, a on, nie dawszy zdziwionym strażnikom ani czasu zapytać, coby to uzbrojenie znaczyć miało, otworzył szybko drzwi, blisko których ciągle się trzymał.

W ten moment, jakby z pod ziemi, wyrosło kilkanaście góralskich, smukłych postaci, aż się niemi zappełniła duża izba. Szybciej niż myśl zdumiona, niż odruch ośmiu strażników gwałtowniej, wyciągnęły się muskularne ramiona po broń, w porządku na ścianach wiszącą. Ani jeden karabin nie ostał się na kołku, — zniknęły ze ścian białych długie, wygięte linje szabel wojskowych, — pistolety, za chłopskie szerokie pasy wetknięte, patrzyły czarnemi lufek otworkami w wytrzeszczone oczy swych poprzednich właścicieli.

Między gromadką oniemiałych zdumieniem i nagłością napadu, a porażką osowiałych strażników, a promieniejącymi pierwszym triumfem góralami stał uśmiechnięty ks. Kmietowicz, krzyż w dłoni wyciągniętej trzymając, i obaj z Andrusikiewiczem przekonywali bezsilnych przeciwników o słuszności i zarazem konieczności swego postąpienia. Marszczyli się tamci i głośno przeciw przemocy oponowali, bo też im wstyd było niezmiernie, iż ich tak ubezwładniono odrazu i możność wszelką odporu odebrano.

— Toż dla nas wojskowych wstyd i hańba, księżel! — wołał najgorętszy z nich Bilecki, mundur na sobie szarpiąc w bezsilnym gniewie. — Co nam teraz? Ani się jak przed władzą wytłumaczyć, bo nam powiedzą: „Ciury jesteście, niewarte szabli u boku nosić!” Wstyd, wstyd!

— Przejdźcie do nas, to i po wstydzie, Polacy jesteście, więc obowiązek wasz tam! gdzie Ojczyzna woła — rzekł mu Kmietowicz gorąco. — To najprostsza droga Polaka!

— Ej, Polaczki! Wy się jeno wciąż buntujecie! Czy to może wam pod cesarzem naszym jaka krzywda się dzieje? Dziś wy nam broń zabrali, ale jutro my was pokujem i popędzim przed sobą! Buntowniki! — łamana z niemiecka, lichą polszczyzną, pieniać się wściekłym gniewem, jeden butny Niemczyk wykrzykiwał.

— Nim tak się stanie, to ty sobie, Niemiaszku, poleżysz tę nockę związany; żebyś się mniej sierdził, chłopczyku! — pokpiwał zeń z dobrodusznym uśmiechem Andrusikiewicz, wskazawszy go palcem chłopom, co tylko rozkazu czekali, łakomie na młodzika spoglądając.

I nim się ramieniem zdołał zasłonić, już leżał ze związanymi wtył rękami, a żyłaste ręce góralskie kończyły jakiś misterny nie do rozplątania węzeł grubego postronka.

Zostawiwszy paru uzbrojonych górali na straży, powstańcy kierowali się ku drzwiom, gdy strażnik Bilecki rozerwał mundur gwałtownie, cisnął nim w kąt i tak przed Kmietowiczem stając, zawołał:

— Ja z wami! Niech się dzieje, co chce! Skórę niemiecką z siebie zrzuciłem, terazem wolny!

— Bywaj, bracie! — chłosem mu odkrzyknęła gromada, a Wojtek Kois cuche ze siebie góralską ściągnął i na plecy nowemu ochotnikowi zarzucił, przyciskając go serdecznie do piersi.

— Terazese nasz — góral sprawiedliwy!

— A no, żem wasz, to wasz, sercem i duszą! No, zaczynam: na dobry początek!

I, że byli już na progu u wyjścia, sięgnął Bilecki ręką w górę, gdzie nade drzwiami przybity orzeł austriacki wisiał, szarpnął mocno, z hakiem wyrwał, aż mu się gruz za kołnierz posypał, szablicą, któremuś góralowi z dłoni wyrwaną, machnął z całej siły — i na poły blachę i żółto-czarnego ptaka przeplatał.

Tak, o jednego zwiększona i pierwszą pomyślną próbą rozgrzana, ruszyła gromada ku Suchej-Górze, gdzie się komora celna austriacko-węgierska znajdowała i gdzie urzędował wróg wszystkiego co polskie i na polskie zamiary „rebelji” się wściekający poborca Lasska.

Po drodze przystąpił i Lebiocki strażnik i paru jeszcze chłopów, i tak ochoczo, lecz rozgwaru i przedwczesnego alarmu unikając, doszli do komory.

Zapukał do drzwi Lebiocki, a z wewnątrz głos samego poborca się odezwał:

— A kto tam — i czego po nocy?

— Postaniec z Romanji od komisarza. Papiery niosę.

Otworzył Lasska, a stojąc ze świecą w sieni, zaniemówił ze zdziwienia, ujrawszy księdza w komży i z krzyżem w ręce i organistę przy nim. Bez słowa protestu przepuścił ich do domu oraz hurmę górali, co wtłoczywszy się za nimi, jak mur stanęła dokoła.

— Co to? co to? — wyjęknął nareszcie, blado i niepewnie się uśmiechając — przyszliście mi pogrzeb sprawić?

— E, z weselem my, nie ze smutkiem idziemy — ks. Kmietowicz mu odparł. — Czyż to ksiądz już tylko grzebać umie? Akurat, panie Lasska, do zmartwychwstania z grobu dopomagam dzisiaj moją osobą; nie grześć, jeno kamień grobowy odwalać będziemy.

— Bo to powstanie w Polsce; nic to pan nie wiesz o tem? — dodał Andrusikiewicz.

— Tu u mnie powstania robić niema z kim, dajcie mi spokój!

— To też panu damy spokój i niczego się pan obawiać nie potrzebujesz, tylko nam pieniądze celne wydać musisz, — popychając go zlekka przed sobą do pokoju, mówił organista.

— Żebym i nie chciał, to widzę, że mnie do tego zmusicie — odparł skrzywiony poborca — kiedy was taka gromada ogromna, a ja sam jeden.

— A no, sam pan widzisz, że niema rady. Dlatego taką kupą idziemy, aby oporu nie napotkać i nie potrzebować nikogo ukrzywdzić.

— Ale mi pokwitować musicie, bo czem się u góry wykażę?

— Pewno, pewno; przeliczymy, pokwitujemy ładnie, pięknie, bo to nie rozbój, panie poborco, ale porządne, prawidłowe powstanie — przystępując do ogromnego stołu, podrwiwał organista z uśmiechem.

— Powstanie, powstanie! — pieniał się wściekły urzędnik. — Tfu, panie Andrusikiewicz, — takeś się to przede mną zawsze składał, że o niczem nie wiesz, żem oberkomisarzowi Molitorowi za was ręczył, żeście człowiek spokojny.

— Ja też do was, panie poborco, całkiem spokojnie przyszedł i spokojnie o pieniądze proszę, tylko trochę przynaglam, bo nas jeszcze dużo roboty czeka.

Przygryzając wąsa ze złości, wyciągnął poborca klucze i otworzył zamczystą szufladę, gdy się nowy rozruch wszczął w sieni, jakby kupa ludzi nowych nadeszła.

Lasska zatrzasnął czem prędzej szufladę napowrót i aż nowe życie poczuł w sobie, myśląc z uciechą, że jakaś niespodziewana odsiecz nadchodzi i wkrótce będzie mógł sobie zadrzeć z tych polskich wojowników. Wyciągnął głowę ponad ramiona otaczających go ludzi i z ożywieniem w oczach i z chytro-złośliwym uśmiechem czekał, aż się drzwi nareszcie otworzą.

Wnet jednak przeciągnęła mu się twarz i zzieleniała, bo oto silnym ruchem pchnięte

drzwi rozskoczyły się, i ciżba ludu tłoczyć się poczęła. Wysoka postać sucho-górskiego wójta poprowadziła owe kilkadziesiąt chłopów.

— My wam do pomocy, bracia! Pomożem wam policzyć tę naszą polską krwawicę — wyrzekł wójt, przeciskając się przez tłum aż do stołu.

— Dobrze, wójcie kochany. Chwała Bogu, żeście są.

I poczęło się liczenie drobnych miedziaków i srebra, poczem Kmietowicz z Andrusikiewiczem przejrżeli rejestra, by opłaty węgierskie w kasie pozostawić, a zabrać tylko polskie.

— Słuchajcie, bracia, jaką to sprawiedliwość wam świadczą urzędy: my na polskiej stronie cztery razy tyle cła płacimy co Węgry. Sześćset guldenów naszej opłaty, a sto pięćdziesiąt jeno węgierskiej! Nie krzywdąż to nam wierutna? — zwrócił się Andrusikiewicz do górali, podnosząc w ręce wysoko spory woreczek przeliczonej i zabranej monety.

— To też my idziem tych naszych krzywd sobie szukać — odpowiedział mu któryś z tłumu.

— O tak, tak, dosyć już tego niemieckiego panowania! — dorzucił drugi.

— Węgierskie pieniądze pozostawiamy nie-
tknięte — przemówił ksiądz do poborcy, który chmurnem i gniewnem okiem śledził czynność powstańców, a teraz o brzeg stołu stał oparty, ręce na piersiach założywszy. — A tu zaraz kwit napiszemy.

I wzięwszy półarkusz papieru, szybkim na nim nakreślił pismem:

— Na rozkaz Naczelnika powstania obwodu sandeckiego zabierają niżej podpisani 600 flor. do skarbu na potrzeby Ojczyzny.

Położył swój podpis, położył go i organista, i poczęli się wybierać, zostawiając straż z kilku górali, aby udaremnić Lassce możliwość doniesienia gdziekolwiek o tem, co zaszło.

Wychodząc, czuli pod stopami chrzęszczące odłamki blachy, którą tymczasem ktoś z nade drzwi oderwał i potrzaskał, dla nienawistnych na niej namalowanych emblematów niemiłosiernej, obcej przemocy.

Teraz wypadło przez Chocholów wracać, by się do Witowa przedostać i broń, gdzie się tylko da, odebrać.

Organista, że się niedość ciepło wybrał w drogę, przemarzył trochę, zwłaszcza że go wraz z księdzem wsadził Zych na sanki.

— Ej, panowie dowódcy, nie umiecie wy tak chodzić milami, jako my górale — mówił im pocziwy olbrzym z dobrodusznym uśmiechem. — Pomęczycie się nam, zanim jeszcze do bitki jakiej przyjdzie, to i co bez was potem poczniesz? Was jegomościuniu powieziem do domu i ostawim; prześpijcie się trochę do rana, bo jutro święta niedziela: księdzem i wojownikiem wam być wypadnie, a z was taki chudziaczek — niebożatko.

— Dobrze radzi Zych — potwierdził Andrusikiewicz — my się już sprawim bez was, księżę, idźcie spocząć.

— Ej, Janie Kanty, — jął mu ksiądz grozić z żartobliwym uśmiechem — już widzę, chcesz mnie się pozbyć koniecznie, samemu całą chwałę wziąć dla się!

— Księżuniu kochany, wy wiecie o tem, że i gdyby się z nas każdy w dziesięcioro mógł mnożyć, jeszczeby dla każdego roboty starczyło! A chwała!?... Nielatwo o chwale marzyć na ziemi tej, co miała swoich Żółkiewskich, Rejtanów, Kościuszków i innych legion! Czy mówi o chwale cichy grób powstańczy na Sybirze, gdzie wielkie, męczeńskie bohaterstwo śpi wśród śniegów i lodów północy? — odparł organista ze smętym uśmiechem.

— Druhu kochany! Kryształowa duszo! — wyszeptał ksiądz rozczulony.

Po chwili, gdy dojeżdżali przed organistówkę, księżyna zadecydował ostatecznie, że istotnie cokolwiek mu przed dniem jutrzejszym spocząć potrzeba, zwłaszcza że obecność jego nieodzowną nie jest.

Zeskoczył tedy organista przed swoim mieszkankiem, by jakieś cieplejsze przyodzianie na grzbiet zarzucić.

Z okna alkierzyka biło migotliwe, czerwone światelko.

Kmietowicz podniósł się z siedzenia, by wyjść ze sanek. Rzuciwszy przypadkiem okiem

w oświetlone okienko, uśmiechnął się smętnie i rzewnie.

Tam bowiem, w tej niewielkiej, białej izbie, gdzie nietknięte dziś łóżko męża stało przy ścianie, — gdzie w kołysce cichutkie, lęku nieświadome, najmłodsze spało dzieciątko, — gdzie się na ścianie starutki Częstochowskiej Matki czernił obrazek i widniała żółta smuzką woskowa gromnica, — tam krzyżem na podłodze leżała postać niewieścia.

Drobne jej kształty czarna kryła suknia — i tylko splot złotego warkocza jasną się plamą odcinał w różowawym półmroku, i tylko dwie białe dłonie, nieruchomo wyciągnięte, chorobliwą bladością się rysowały. Z czołem u ziemi, w błaganiu kornem, cichem, bezmownem pograżona, nie ocknęła się organiścina na drzwi stuknięcie, ani na kroki męża, który przez próg zajrzawszy, uśmiechnął się smętnym półuśmiechem — i bez słowa, na palcach stąpając, dom opuścił w tej chwili.

I znowu cisza objęła małe pokoiki — i tylko lampka oliwna migotała różowem światłem, to jaśniejszy rzucając blask na szczerbate w starym obrazku rysy Matki Bolesci, to przygasając, by skryć wszystko dokoła w swem niepewnem przyćmieniu.

— O Matko Polsko! Ileż cór twoich tak dzisiaj boleść ofiary krzyżuje! — wyszeptał ks. Kmietowicz, gdy się doń Andrusikiewicz przybliżył, jakiś poważniejszy i bardziej skupiony.

Objął go ksiądz za szyję, czując, iż w tej chwili to dzielne, męskie serce wyzuwa się ostatecznie ze wszystkich ziemskich ukochań, że czyni ofiarę ze wszystkiego, co się na ziemi szczęściem nazywa, — że wszystko to teraz na całopalnym goreje ołtarzu tego Bóstwa, co się Ojczyzną, co się zwie Polską!...

Poszedł ks. Kmietowicz powoli do siebie, a oni tymczasem pomknęli znów w ciemną, cichą przestrzeń ku Witowu, gdzie miał się z nimi spotkać Jaśko Wróbel.

On bo uprosił sobie samodzielną do leśniczówki kościeliskiej wyprawę.

Sam jeden, drogą, czyli raczej bezdrożem, przez górki obłe, brnął śniegami, przeskakiwał wąwozy lekkie, zwinny jak kozica górską. Znał te przestrzenie doskonale, bo tu leżały chłopskie działki pól, tu zdeptał każdą piędź ziemi, schylony nad pługiem, tu złote owsy siewną dłonią sypał, tu w rosiste, błękitne poranki, rozmachany przy kosie, pogwizdywał od serca.

— Hej — niechno wypędzim tych Niemców, a swoją wolną Polskę odzyszczem, to i chłopu raj się otworzy! Grunta swoje mieć będziem i te polany zielone, i lasu szumiącego kawał; na swoim robić będziemy, nie na pańskim. O, Jezusiczku, daj, by się powiodło!

I podniecony świetlistymi obrazami przyszłości bliskiej, które mu na tle nocnej ciemności aż oczy olśniewały, szedł coraz szybciej.

w górę, z głową podniesioną, sam jeden w obliczu groźnych szczytów i nocy.

— Z Hanušką pójdziemy se niedzielą tędy, a kłosa się od wiatru chybotać będą, a maki kraśne i bławaty wezmą się uśmiechać i dziękować: „Tyś to, Jašku, sprawił, że my się tak w słońce wesoło dziś patrzymy, wolneśmy kwiatuszki, z wolnej polskiej ziemi wyrosłe...”

— Maki kraśne... czerwone... jak krew...

— O! tu jeden... na białym rozkwitł śniegu... ogromny... jak krew czerwony...

Przeciera Jasiek oczy...

— Ejże, maki mi się zwidują! Maki... czy krew?...

— A może i krew! Jutro jej się coś trochę poleje! Jakżeby inaczej? Jak wojna, to i krew. A skaleczą trochę, to się zagoi... coby tam się nie miało zagoić! Człek mocny, hej, jak ten niedźwiedź w lesie, ani mu i kulka niemiecka rady nie da! —

I rozprężył ramiona szeroko, ciupagą młyńca wywinął, a z piersi, radością życia wezbranej, wykrzyknął:

— Hej, hej!

Echo poleciało dźwięczne, hen, popod zbocz skalistą i ni to piłka w trzykrotnym podskoku, do stóp mu, mocy od granitu nabrawszy, wróciło.

W Kościeliskach stanął przed małą, w śniegu do połowy zagrzebaną chatą, i trzy razy w boczne, ciemne okienko zastukał. W chacie ktoś się poruszył, klamką klapnął

i zaraz się z drzwi wchodowych wynurzył młodziutki góralik z ciupagą w ręce.

— Gotóweś, Józek?

— Gotów.

— No, to idźmy!

I we dwóch teraz ku leśniczówce podążyli.

— Tu stań pod oknem, aby cię widać było — rzekł Jasiek towarzyszowi — ja jeno sam wejde, uwinę się w mig: ale jakby ciężko szło, to skocz na pomoc!

Istotnie Józek stanął przy oknie na straży. Przylepił nos do szyby i wpatrzył się w szerokie bary leśniczego. Aż mu oskoma szła, bo sobie przypomniał, jak to niedawno pięścią po tych plecach Szmida walił z serdeczną ochotą, odwodziąc mu się wraz z innymi za rozmaite zdzierstwa i ukrzywdzenia ludu i za szpiegowanie nakazanych z urzędu wart.

— O, gdyby tak jeszcze raz powtórzyć! Cicho, nikogo niema, udałoby się! E, nie, — nie można, co powstanie, to nie nocna bitka.

Więc się tylko wyprostował, ciupagę wpół mocno ujął i bacznie śledził, jak się tam Jasiek sprawi i czy mu pomocy dać nie trza będzie.

A tam Jasiek obszedł dom od tyłu, lekko drzwi z sieni do izby otworzył i w swych miękkich kierpcach parę kroków przeszedłszy, sięgnął ku ścianie, gdzie kilka strzelb doskonałych wisi.

W tej chwili leśniczy głowę obrócił i obcego spostrzegłszy, od stołu się zerwał gwałtownie.

Już jednak Jasiek strzelby w ramionach trzymał, a w zwinności swojej zaufany, chcąc zresztą przedsięwzięcie swoje mniej ławem uczynić, czarny, góralski kapelusik z głowy zdjął i ukłon wdzięczny i uniżony składając, wyrzekł pędko:

— Powstanie dzisiaj, panie leśniczy, strzelby trza dać, później zapłacimy.

I, jak ryś młody a gibki, jednym skokiem znalazł się na dworze, a nim się Szmid sam siebie zapytać zdołał: Sen li czy jawa?... już dwa szybko nogie chłopaki wysoko górą przełykały się między drzewami lasu, drogą ku Witowu.

Tam się do leśniczówki dobiwszy, z gromadą się całą złączyli.

— A gdzie nasz Andrusikiewicz? — zapytał Jasiek kowala Zycha, nie widząc organisty na czele pochodu.

— Sam poszedł do Sochora, z nim się rozprawić, bo się bał, że chłopcy okrutną na niego zawziętość mają. Gotówby który nie strzymał, a jego poturbował, toby i nieładnie było.

— A no, to czekajmy.

— Pokaż, strzelbeczki ładne masz! Jakże poszło?

— Ee, co tam! Ani gadać warto. Co mi taka wojna! Każdy na ciebie oczy wy-

trzeszczy i gębę otworzy — tobyś nie strzelbę z kołka, ale grosze z kieszeni mógł mu wyjąć nawet, nimby się ruszył i ręką machnął.

— Czekaj jutra, będziesz się bił. A z czemże było iść na Niemców? z gołą pięścią a ciupagą, a żeby nawet i z kosą, kiedybyś nawet nie przystąpił, a kulka już w pierśsiach!

— Jabyś ta im i zdaleka ciupagą młyńca wywinął, ażby niejedna głowa trzasła! Ale niema gadania, że ze strzelbą lepiej.

I spojrzął Jasiek na zdobyte strzelby tak słodko, jakby na gładkie Hanusine liczko, i ręką je poglaskał pieszczotliwie.

Po chwili wyszedł organista z leśniczówki i wkładając znów jeszcze parę strzelb i innej broni trochę do sanek, zarządził, by się każdy do dom wracał odpocząć, a jutro rano hurmą do kościoła się stawił, kto żyje.

IV.

— Cóż się tam dzisiaj tak rozdzwonili! Jakby na Boże Narodzenie, albo na Wielkanoc. Idźno tam, panie Janie, do tych chłopaków, niech już przestaną — mówił proboszcz do organisty, gdy po rannej cichej Mszy św. Andrusikiewicz na plebanję wstąpił.

— Dzwonią, księżę proboszczu, na wielkie święto: chochołowskie i polskie.

— Hm? Co pan gadasz?

— To ksiądz proboszcz níc nie wie, że w Polsce dziś powstanie?

— Powstanie?

— A no tak.

— A co wam tutaj do tego? Że tam parę tysięcy durniów chce rebelję robić, z motyką na słońce się porywać, to w Chochołowie mają na to dzwonić!?

— Nietylko dzwonią, ale do powstania idą chochołowskie chłopcy!

— Co, co? Nie pozwalam! Tu u mnie powstania żadnego nie będzie, żeby mi potem mandatary z rewizjami na łeb spadły, i żeby mnie starego gdzie tam z wami ciągaliby po więzieniach! Nie chcę, niepotrzebny to rozlew

krwil — coraz głośniej krzyczał stary pleban i kładł już wyszarzaną czapę na głowę, by przed dom z gromami wypaść, gdy mu u drzwi zastąpił organista.

— Na nic to, księże proboszczu! Początek zrobiony, nie strzymacie narodu. A mogliby też łącznie księdza jakim słowem ukrzywdzić, że im wpoprzek stojecie. Lud jest gorący! Proszę, niech ksiądz da spokój! Ja wiem, że się to powstanie z przekonaniem starszych księży nie zgadza, ale młodzi idą z ludem, i ich naród słucha. Zresztą, jak mówię, początek zrobiony!

— Jaki początek?

— Ano, tej nocy rozbroiliśmy straż finansową naokoło, leśniczych Niemców, wzięliśmy pieniądze na cło, mamy więc grosze i broń; a to wszystko spokojnie, bez hałasu się stało, bez najmniejszej krzywdy nikomu.

— Hm, grosze i broń... Niemcy mają ich więcej; zobaczycie, że to się źle skończy, ale ja umyвам ręce, sami wypijcie piwo, któreście nawarzyli, — zasapany i ciągle zły mruczał proboszcz, drepcąc po pokoju. Nareszcie rzucił się na starą, ceratową kanapę, — co wraz z dwoma kulawymi fotelami i stołem, szarą, haczykowej roboty serwetą przykrytym, rolę salonowego umeblowania spełniała, — grzmotnął w stół tłustą pięścią i wyrzekł:

— Niemcy to potęga; oj, źle się to skończy! bądź pan zdrow!

Skłonił mu się lekko organista i z uśmiechem plebanję opuściwszy, na cmentarz kościelny wyszedł, gdzie już ćma ludu grupkami stała, podając sobie nowiny, opowiadając nocne wyprawy, śmiejąc się z ogłupienia, jakie wszędzie swem zjawieniem się górale wywoływali, i wróżąc sobie dalsze powodzenie po tak pomyślnym początku.

A dzwony biły i biły... na chochołowskie święto... na „poruseństwo” podhalańskie!

— Hej, miły Boże! Jak się tam od tych dzwonów rozkołysanych i fantazja rozhulała ludzka!

Już tam i Niemców precz do jednego wymietli i Polskę odbudowali, jak długa i szeroka, i urządzili ją sobie pięknie, jak gazdostwo dostatnie, a swemu „jegomościuniowi” młodemu i Andrusikiewiczowi mało że nie soltystwo w tej dziedzinie kochanej oddali.

Aż oto od wikarjówki jegomościunio nadzedł szybkim krokiem, z twarzą jasną od pogodnego uśmiechu i z oczyma, z których jakby się siały promienie, pełne miłości ku temu pięknemu, dorodnemu ludowi, co go ujrawszy, tłoczyć się począł ku niemu, iż się zdawało, że go tam, to „chudziatko nieboże”, stłoczą i uduszą.

— Bogu się pomodlić! Bogu się pomodlić! — mówił prędko księżyna, przeciskając się przez tłum zwarty, przytrzymywany za poły płaszcza, całowany po rękach, w ramionach chłopskich prawie niesiony, wśród błogosta-

wieństw serdecznych tego ludu i nieustającego huku dzwonów.

Aż trzeszczały stare, drewniane ściany kościółka, gdy się naród nacisnął, choć go jeszcze połowa nazewnątrz pozostała i obległa szerniałą świątynię szerokim, różnobarwnym pierścieniem.

....Toż to nabożeństwo było dnia tego! O ludzie! Do śmierci nie zapomnieć!

Złocista monstrancja na ołtarzu świeciła jako gwiazda najpiękniejsza! A świec się paliło jak na Boże Ciało! — i w cichości, co się rozsypała po kościele, toś jeno słyszał, jak pryska i syczy żółty wosk na nich, a na mosiężne kapie podstawki.

A jak ci na to najświętsze Podniesienie naród nie jęknie jednym głosem, jak nie załomocze pięścią w tę pierś chłopską, rozmodloną!

— O Jezu!

Tak to wszystko leżało jak snopy zżęte, a czołem biło w podłogę, zmiłowania żebrząc Boskiego.

Organista kochany przy szabli, a z pistoletem u pasa na chórek wlaź, a grał, miły Boże! — jakby jakieś anielskie palce po strunach harf biegały — tak cudnie!

A już gdy wikary na ambonę wyszedł wysoko, gdy jak św. Jan Złotousty zagadał, gdy rozpowiedział, jak to za świętą wiarę naszych braci katują, jak ojcowiznę naszą sławną na kawałki szarpią, ni to ową szatę Chrystusową, — jak wznosił ręce do nieba, a

błogosławieństwa Boskiego zebrał, a jak wziął odpust na śmierci godzinę głosić, a chwałę w niebie i pamięć świętą u ludzi obiecywać, — to się już naród rozsłochał bez pamięci, a każdy poczuł w piersiach jakoby serce męczeńskie, na wszelki ból — i duszny i cielesny — gotowe, a mężne, jako tych pierwszych chrześcijan i apostołów Pańskich!

A jak się potem one kosy a piki, one szable a karabiny w górę nie podniosą! A ksiądz se idzie pomiędzy naród, a wodą święconą kropi, a błogosławi; a z kadzielnicy jałowiec i pachnąca żywica jeno obłokami buchają, że się i wszystko w onych dymach skryło, — a tyś, człoczko, myślał wtedy, że to one hufce niebieskie Bóg posłał Swoje, aby owe wrogi, owe Filistyny bezbożne przez nie mocą Swoją porazić!...

A gdy się echo Suplikacyj świętych aż hen — w Tatrach zagubiło, to się naród rozsypał po domach, a co z dalszych wsi byli, gnali wartko, żeby to tę milkę jedną i drugą ubiec, a sprawiwszy co trzeba, na odwieczersz jeszcze do Chochołowa powrócić, a gromadę złożyć wielką i zbrojną, podhalańskie wojsko polskie, ono z pod Giewontu, co zaślone czekało przez wieki!...

Poszły tedy dymy z chałup, gdzie kobiety placki wypiekały chłopom na drogę, a rozczervenily się przygaszone przez święto ogniska kowalskie, a rozzdzwoniły się młoty, przekuwające kosy na prosto, a poczęły gó-

rale naciągać kierzce nowe na nogi, a serdaki i gunie na plecy, a w torbę pakować, coby pilnie pod ręką potrzebne było, a ruszać ku wikarjówce, gdzie naprzeciw niej, w jednym domu, na noc kwaterować mieli.

Chociaż na wieczór z Witowa, Dzianisza i innych dalszych stron zdążyć jeszcze nie mogli, ale samych chochołowskich, z co bliższymi sąsiadami naszło się przed nocą już parę setek takiego luda, żeś patrząc, jeno się radował i dziwił: człowiek to, czy smrek leśny, gonny a prosty, a krzepki?

Podeszły tam i baby za swoimi Wojtkami, Jaśkami i Maćkami.

Patrzała Hanusia za swym Jaśkiem rozpaczniemi, wylękłemi oczyma, z których lżyły się jedna za drugą po zbłądłej nieruchomej twarzyczce, — patrzyła niejedna zaturbowana srodze matula za swym sokolem — jedynakiem; patrzyły też i niewiasty, co serca na wzór mężczyznom odważne miały i rosły z dumy, że ich chłopcy na wojenkę se idą, wolę zdobywać i wyganiać tych Niemców psiaduszów.

Taką to była Zychowa Maryna, żonka kowalowa. Bo, kiedy organista odprawiał kołbiety do domów, jako że nic tam po nich było, ona swego ogromnego męża po rękach całowała, żegnając a zachęcając jeszcze:

— A spraw się dobrze, Janie! Niechaj wiedzą, coś ty z chochołowskich sołtysów, sprawiedliwy Zych! O dzieciska się nie bój nic, i o mnie także się nie trap!

— Ej, Maryno, — odrzekł jej organista — już ci Jana napominać nie trza. On taki, jako drugi Bartosz z pod Racławic; nie nastraszy go nic! Jeszcze o nim książki wspominać będą!

A kobiecina promieniała z dumy, wodząc oczyma, jak brylanty roziskrzonemi po swoich smutnych i strwożonych towarzyszkach.

Nocka się ciemniuteńka zrobiła, żeś o dwa kroki przed sobą nie widział. Postął organista na zwiady poza wieś, czy się też skąd na jakąś napaść nie zbiera; lecz cisza była taka, jakby się cały świat dokoła w śnie głębokim pograżył, jakby się nikt wokóło o „zbuntowany” Chocholów nie troszczył.

Jednakoż czaty naokoło wsi postawiono, które przez noc czuwać miały, a skoro się z postronnych okolic wszystkie gromady poschodzą, to przed świtem ruszyć uradzono porządnym szykiem na Czarny Dunajec i, dobierając wszędy po drodze co się da chętnego luda, ku Wadowicom sunąć, a Niemców pchać przed sobą i pędzić precz z lubego kraju.

Tak się zarządziwszy, poszedł ksiądz i Andrusikiewicz do siebie spocząć trochę, zezwoliwszy też co bliższym, do domów się rozejść na snu godzinę, bo się w ciasnocie tak wielka, kilkasetna kupa pomieścić nie mogła.

Jeszcze się mało kto na wezgłowie skłonił, a tu lecą strażę a znać dają, a za sznury u dzwonicy ciągną, na trwogę w dzwony biją

W czarnej ćmie nocy pode wsią samą ni to las wyrósł raptem i posuwa się szybko i czaty spędza, na Chochółów spada jak burza.

Fiutowski to, komisarz z Nowego Targu, i Kulczycki, czarno-dunajecki mandatarjusz, ze strażnikami i z chłopami, co się ich podburzeniu uwieść dali, a urzędowej posłuchali powagi.

Sypią się z chałup górale, biegnie ksiądz, co nie spał jeszcze, a w pośpiechu plaszcz jeno na bieliznę narzucił i pistolet w rękę uchwycił. Zwołuje za sobą ludzi, kierując się ku domowi, gdzie straż celna mieszka, bo tam się obie kupy ze sobą zetknęły i prawie ramię o ramię się starły.

Gwar się robi i zamieszanie w ciemności okrutne.

— Kto idzie? — pytają z wrogiej gromady.

— Ksiądz jestem! A pocóż to waszmościowie na Chochółów po nocy spadacie?

— Eche, ksiądz... pal w niego!...

I nim Kmietowicz swego zapytania dokończył, nim w bok uskoczyć zdołał, huk pierwszego strzału się rozlega, i księżyna cały nabój śrutu w ramię prawe dostaje... Schyla się, bo mu pistolet z ręki wypadł ubezwładnionej, a już mu strzał drugi dłoń i palce rozrywa, a trzeci schylonemu ponad głowę przełatuje...

Gęsta ćma nocna nie daje rozpoznać: swój li czy wróg, toż się potrocha strzy-

mują, zwłaszcza, że chochołowianom i wodza zbrakło na chwilę, gdy się ksiądz do chałupy schronił krew tamować, co mu z ramienia i z dłoni strumieniem uchodziła.

Ale w minut parę Andrusikiewicz z swoimi nadbiega, gromkim głosem szyk sprawia, w strzelców prosto z kupą junaków wali, szablą podniesioną znak do ataku daje.

Fiutowski mu drogę szablą zastawia.

Zadźwiękła stal, sypią się iskry czerwone, a raz po raz miasto zgrzytu... żelazo cichutko w ciało zapada, albo po czaszce stuknie, szramę znacząc głęboką.

Wysuwają się bagnety austriackie naprzeciw kos wyproszczonych, lgną w piersiach jedne i drugie, — aż sykną z bólu usta, aż się jęk w gardle rozcharczy.

Buchnie strzał ze strzelby, rozświetli jednym błyskiem walczącą kupę, i znów się wszystko w ciemności jeszcze grubszej skrywa.

Aliści urywa się wszystko naraz...

Pustka się robi dokoła, ustępują napastnicy, zostawiając swego komisarza na ziemi we krwi. Samych, bez dowódcy, strach ogarnia, bo i Kulczycki gdzieś zniknął, stchórzył, — wreszcie i żal się w niejednym budzi, tak przeciw bratu góralowi nastawać: pierzchają!

Ten i ów chochołowiak rozsierzdzony jeszcze a rozpalony starciem, nie po rycersku, ale chłopskiem zawzięciem bitwę pojmując, leżącemu wrogowi rad jeszcze dołożyć i pię-

ścią mało co żywych, albo i martwych dusi a łomoce.

— Psiawiara! nie będziesz to Niemcom służył!

— Przestań; to ja, Andrusikiewicz!

— O jej, toć organista! Myślał ja, że to jaki z tamtych.

— Daj mi rękę, pomóż wstać! Jeszcze mnie tak ze wszystkim nie zmógł.

Siada Andrusikiewicz na ziemi, dłonią po głowie maca... oho! — jedno cięcie głębokie i drugie, krew kroplami z włosów kapie za kark, z czoła się zlewa na wąsy. Jest i w boku dziura niezgorsza od bagnetu, jeno że płytka, wnętrzości nie ruszyła.

— Tymczasem chustką przewiążę; to nic! A wy tu światła dawajcie, ludzi trzeba opatrzyć a poprzenosić.

Za chwilę robi się jasno od latarni.

— Ej, Jasionkowi z Witowa pogrzebek jeno już sprawim! Szkoda! Dzieciska drobne zostały!

— No, a temu strażnikowi — myślicie — nie? Ani dychnie.

— Aa... komisarz Fiutowski!

— Komisarz?... Janie Zychu, wy go dźwignijcie i na organistówkę z nim, do mego łóżka położyć. W głowę go rąbnąłem dokumentnie.

I szuka dalej organista po pobojowisku.

— A to który? Świećno tu!

Nachylił się ktoś z latarnią.

...Leży sobie góral cudny, jako ten obraz malowany; twarz jak oplątek, ręce szeroko na ziemi rozpostarte. Koszula na piersiach biała, jeno taki czerwony po niej sznureczek... a na śniegu, na zimnym, na białym, taka plama krwi ogromna...

Blask leżącemu w oczy zaświecił, aż się zlekka odchyliły powieki, zamykając się zaraz napowrót, a przez twarz mu uśmiech pogodny przemknął, ni to promień słoneczka Bożego w mglisty, szary poranek.

— Boże miłosierny! Toć Jasiek... — i załamał ręce organista.

— No Jasiek, pewnie że Jasiek jestem... A któż to wołał?... Aha, Hanuśka...

...Słonko świeci tak jasno, aż oczy razi... Przez pole se idą oboje z Hanusią... owsy takie piękne... od wiatru się chybocą... a wśród nich maki kraśne, czerwone... Hanka, patrzaj... mnie się kłaniają, dziękują... za wolną ziemię dziękują maki czerwone!... O, jeden taki ogromny... tu... widzisz?... jak plama krwi na śniegu... krwi plama?... nie, toć mak... I dokumenty mam... Hanuś, o, tu... na piersi... krwią, krwią pisane... O! jak słodko!... jak dobrze... cicho... Hanuś jedyna... tak ci... cho!...

.

Hejże! Sądny dzień się zaczął w Chochołowie w ów poniedziałek okrutny!

Wodze porąbane, postrzelane, — ledwie który żyw, tyle im krwi spłynęło, a nikomu opatrzyć nie było. Niema komu chochołowskiem wojskiem przewodzić, na Wadowice prowadzić! Hej! niema!

A z Cerchlicy, gdzie widok jest precz daleki, pędzi góral z wieścią, że się ćma ludu zbliża: strażniki, a chłopcy podczerwieńskie, a dunajeckie, a jeszcze inne.

— Jezusiczku miłosierny! A cóż my z wami zrobim, jegomościu kochany, a organista nasz pocziwy! Kędy to was schować, by was nie pochwytali, a gdzie nie powlekli do turmy!... Do Cichego, w Tatry powieziem!...

I na sanie wsadzają, a poprzez śniegi, przez zasy Andykiewicza wywożą, w Cichem, w chałupie składają.

Lecz jegomość się brać nie daje.

— Zostanę — powiada — jeden musi tu być, żebyście całkiem bez głowy nie zostali.

A tu już tłum we wsi srogi, rozpojony, dyszący... bagnety strażników połyskują, a lufy czarne jeno pociągnięcia cynglem czekają, — a Kulczycki, jak wilk, ostre szczerzy zębiska, a kłaki smolne, dymiące prawie, pod dachy podkłada, a ryczy:

— Poddać się! Poddać się!

— Poddać się! — radzi jegomość. — Nie dacie rady, ludkowie kochani. Niema komu pokierować, prowadzić, rozproszone owce po-

zbierać, boć pasterze pobite! A tu wam na karku przemoc siedzi, wieś spali, luda wymorduje, że jeno klęska większa, a krzywda wasza cięższa! Poddać się, ludku kochany!

...Poddać się?... Miły Boże!... A gdzież swobody wywalczone?... Gdzie swoja dola a ziemia?... Gdzie Polska wolna, rozkuta?... A gdzież ona sława chochołowska?...

...Hej! niema!

...A ty się poddaj! Poddaj się wojsko podhalańskie! Hufcu Giewontowy!

...Serce ci bolem skowyczy — krwawemi łzami oczy płaczą — ale się poddaj!

...Siwy, stary Piasku, na kosę swoją, co na niej wczorajszej krwi rąbek przyschnięty, — ty białą zatknij chustę, a idź przed te kupy zbrojne, a poddaj się!...

...O jej! Na cóż ci to przyszło, Chochołowie dumny, oriów tatrzańskich siedzibo?!...

.

Rozegrała się Grajgóra,*) rozegrała!

...Zgrzytem zardzewiałych zamków, brzękiem niewolniczych okowów, jękiem katuszy, tęsknoty wzdychaniem, pięścią przemocy dławioną zwrotką: Nie zginęła!...

...Idą chochołowskie bohaterzy... wytarzane po lochach sądeckich, po lwowskich więzieniach, — oplwane, spoliczkowane, porozbi-

*) Grajgóra cz. Spielberg koło Berna, na Morawach, straszne więzienie dla przestępców politycznych, a potem i zwykłych.

jane po głębokich schodach kamiennych, — z mroków piwnicznych wybladłe, z głodu wynędzniałe, opuchłe z wilgoci i zimna, — idą kościotrupy, cienie ludzkie, — łachmany zgniłego odzienia na sobie obciążają, kajdany na nogach wloką dziesięciofuntowe.

...Idą... za zbrodnię umiłowania Ojczyzny pokutować.

.

...Czyż ci nie lepiej, niż onym, Jasieńku?!

...Na chochołowskim cmentarzyku leżysz, pod runią zieloną, — gdzie ci się śnią owsy złociste, a maki czerwone, — gdzie ci się Tatrów wierchy o zachodzie purpurą królewską pyszną, a smreki staremi głowami chwieją i o wolności dumę ci szumią, — gdzie Hanuś... Hanuś szalona... między grobkami chodzi, a kwiatki zbiera i ślubny wianek plecie, a mogiłkę twoją całuje i tuli w ramionach, a słodkie słowa szepce.



OPOWIEŚĆ O PŁANETNIKU

WŁADYSŁAW ORKAN

OPOWIEŚĆ O PŁANETNIKU

WYBÓR NOWEL



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

TŁCZONE W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ PAPIERNI „MALTA”

JUZYNA.

Śródwieczarz. Słonko za górę się już skryło, nie widać go. Cień tylko, na przeciwległy las padający, mówi, że nie zaszło... I nie wnet jeszcze zajdzie, co cień dopiero za potokiem, a na całej uboczy białość wielka usiadła i nie myśli ustąpić i nie i nie...

— Tak pomalutku idzie ten cień! — skarży się cicho pasterz mały, pasący owce na tej stronie, gdzie słonko nie świeci. — Tak pomalutku się podnosi!... A tu się cnie... Czy mi też wyniesą juzynę¹⁾, czy nie? Obiecali na pewno, skoro przydzie śródwieczarz. A tu śródwieczarz przyszedł i nic...

Poziera ku wierchowi na tłok wydeptany, którego się owce na odwieczarz wygania. Wie, że tamtędy musi iść, kto idzie — wie, że od chałup indziej nie chadzają... Ale nie widać i nie i nie!

Nieraz, gdy się wpatruje uporczywie długo, zdaje mu się, że widzi wychylającą się z poza wierchu głowę — serce poczyną mu z uciechy skakać — ale cóż? Przekonywa się, przetarłszy oczy, że to jałowiec... Kto mu hań kazał rósć na samym wierchu? Żeby ludzi zwodził daremno? Jak słońce go oświecili z tamtej strony, kiedy się

¹⁾ Juzyna — (niem. Jause) podwieczorek.

z dołu w niego patrzy, to nic, ino gazda i gazda... Te same pomierzwione nad uszami włosy, ten sam kapelusz na kudłatej głowie... Gazda i gazda.

— Obiecali mi jużynę... Pewnie, że oniby mi sami nie wynieśli. Kazaliby Zośce, abo Marynie... Choć, kto wie! Chadzają tędy do wrębu, do lasu — mogliby zawziąć... Nie zerwaliby sie kawałkiem placka... A upiekli! Wiem, że upiekli... Nie po darmo tarli wczora na młynku! Musieli piec...

Ażeby skrócić czas oczekiwania i przymusić niejako to, co ma przyjść, ażebym nadeszło w czasie, ograniczonym jego wolą — poczał rachować najpierw do dziesięciu, potem do pięćdziesięciu i stu...

A skoro widział daremność rachowania cyfr w pamięci swojej, poczał rachować kroki, chodząc po ugorze, pośród jałowców oddalonych.

— Jak dojdę — myślał — do tego jałowca, nie... do tamtego, to już przyjdzie ktoś...

Ale doszedł do niego i wrócił napowrót, a tu nikogo nie widać i nie...

Ażeby się już nie zawieść ostatni raz, pomyślał sobie położenie swoje, jak mógł najgorzej — to znaczy: że gospodyni wyjęła dopiero placki z pieca i poukładała na ławie. Jeszcze są ciepłe.

— Tak... I odtąd trzeba dopiero rachować czas powolusieńku, a samo przyjdzie bez czekania. Mój placek, już wiem, który — ten na samym końcu ławy, poskrobek. Teraz gospodyni obraca się do gazdy, mówiąc: „Trzeby Józkowi posłać jużynę, bo mu sie tam cnie... Gazda poziera w okno: „O, dyć jeszcze czas... Do wieczora daleko“... A w duchu sobie myśli: „Dałby ja ci jużynę, hyclu, za to zboże, coś mi kiedyś tak owca-

mi spaś!“ A gospodyni, nie wiedząc, co on se tam pocichu myśli, bierze mój placek, ociera zapaską i wynosi do sieni na chłód... „Zosiu, Zosiu!“ — powiada, wracając do izby — „abo ty, Maryś! Weź-no łoktuse, zaodziej sie, bo trza mu zanieść tę juzynę... Niech ma. Niech se nie krzywdzi“. Gazda coś mruknął, wyszedł na osiedle, boi się widać gospodyni, choć tak umie kłąć, jak wójt. Maryna zaodziewa chustkę, ale jej niesporo... „Kto wie, kany on tam pasie!“ — powiada. — „Ty go tam znajdziesz, ino idź!“ — mówi gospodyni — „a wracaj sie wartko, nie siedź, nie ozglądaj sie po ugorach!... Juzynę mu weź“... Maryna poszła, idzie, idzie... Już jest nad chałupą... Już na ugorach... Jak pomalutku schodzi ten czas!

Poszedł za owcami, żeby je pozganiać w jeden kerdel, zanim Maryna przyniesie juzynę. Ujrzy na własne oczy, jak mu się owce pasą, opowie potem w chałupie i będą z niego strasznie radzi, ze umie dobrze paść...

Pozganiał je wszyściuteńkie w dolinę i czeka.

— Teraz już powinna dochodzić do wierchu. Za niedużą chwilę będzie tu...

Ta chwila przeszła i druga i trzecia, a nikogusieńko nie widać...

Patrzy na cień.

A cień już wyszedł do połowy lasu i sunie zwolna po wierzchołkach drzew.

— Jak dojdzie do tej jedli starej, co sie hań od wiatru chwieruta, to ona już będzie tu... Abo nie. Jak cień dogoni tego smreka przy samej polanie, to ona wtedy przyjdzie... Abo jeszcze nie! Jak cień doleci do tych pniaków, co sie hań we wrębie czerwienia!

— To już będzie wieczór! — szepnęła mu obawa.

O mało, że się nie rozplakał. Poczęły mu już kółka latać przed oczyma, lecz chlipnął parę łez i połknął je. A reszta mu gorzkością osiadła na sercu i zaczęło mu być duszno i ciężko.

Pocieszał się tem, że może za wcześniej upiekły się mu w myślach jego placki. Może jeszcze nie wyjęli z pieca. Abo się chłódzą... Maryna jeszcze nie wyszła z chałupy — to jakże miała przyjść?

Począł się modlić. Najpierw o to, żeby Stróż Anioł dopilnował placków, co by się jak najrychlej upiekły... Potem o to, żeby Duch Święty natchnął gospodynię, co by nie zabaczyła o nim i poskrobek wyniesła na chłód, zanim się insze ostudzą... Na koniec o to, żeby też Matka Najświętsza przyczyniła się za nim i uprosiła Pana Jezusa, synaczka swojego najmilszego, co by mu już wynieśli tę juczynę, bo się cnie... Oj, cnie się! W niebie ani o tem nie wiedzą, jak się cnie.

Obchodził owce dookoła, zganiał je w dolinę i modlił się tak szczerze, jak na świecie nikt.

Zmówił wszystkie pacierze, jakie umiał napamiętać — a tu nie widać i nie i nie... Nikoguteńko! Żywej duszy! Pustka i pustka, więcej nic.

Chodzi pośród jałowców, a owce się pasą, a dzwonki drobne turlikają wciąż...

Cień ponad las już przemknął i wyszedł do wrębu i ku wierchowi zwolna się posuwa. Niedługo dojdzie na sam szczyt...

— I amen! — szepnął sobie. — Daremne czekanie... o Jezus! Jezus!

Począł cicho łkać.

Lecz wnet otarł lzy rękawem, przybaczył sobie, że niedaleko stąd, przy samiuteńkich ugorach jest posadzony czyjś zagon ziemniaków...

-- Możeby iść? — pomyślał — i wygrzebać pare...

Ciekawy był zresztą, dużo podrosły od tego czasu, kiedy ostatni raz na nie zazierał. Wtedy jeszcze wodne były, nie do jedzenia.

— Możeby się już dały upiec...

Ale zbaczył se w tej minucie, że pośród rządów był i groch. Ten już musiał urósć na pewno. Dojrzał, ino go ni ma kto oberwać...

— Trzaby iść, przekonać się na miejscu...

Postąpił naprzód parę kroków, ale uczuł zaraz, że go coś wstrzymuje i coś go szarpie za rękaw płócienny, szeptaając bezustanku: „Nie chodź!“ Co się ruszy, to słyszy poza sobą: „Nie chodź, Józek, powiadam ci, bo bedziesz widział!“ O, nie śpasy, poczyną go już straszyć. Obziera się dookoła... nikogusieńko!

Zastanowił się i przebaczył sobie, jak mu to samo raz mówiło: „Nie chodź!“ — a on nie usłuchnął, ale poszedł i natargał strączków do kapelusza... Miał już odchodzić, kiedy wypadł chłop znienacka, (musiał się już na niego oddawna przysstrzegać), puścił się za nim — a on w ucieki!... ale dopadł go na tłoku i wycombrzył za uszy. Jedno go jeszcze do dzisiejsza boli, bo mu je w złości wielkiej poderwał. O uszy mniejsza, ino o kapelusz! Kapelusz zabrał chłop i nie chciał oddać, choć go zdaleka o to pięknie prosił. Zabrał razem ze strączkami grochu i poszedł. Przygania Józek owce do chałupy, wchodzi do izby płaczący — pytają się: „Kanyś podział kapelusz?“ Gazda

już i nie czekał końca opowieści, ale mu dał parę pięści, które haw do dzisiednia za łopatką czuje. Siedzą mu tak, jak żeby dwa ostre kamienie przyłożył, i czasami nawet koła, jak się za owcami ulata.

To mu wszystko stanęło nagle przed oczami, a to wszystko z powodu tego, że nie posłuchał wtedy głosu, co mu powiadał: „Nie chodź!” Nie posłuchał i poszedł, i tyle miał z tego. Nawet i strączka grochu nie zjadł... małego strączusia! Tyle miał z tego.

Może być, że teraz nie spotkałoby go to nie-szczęście. Może i chłop zabaczył o nim doznaku... Trudno miałby się codziennie przystrzegać! Roboty jest dość, pewnie przy chałupie siedzi, nie wyrzy...

Ale jak mu tymczasem jużynę wyniosą... co wtedy będzie? Owce się porozchodzą... i pasterza nima... zobaczą, jak on pasie, powiedzą w chałupie... Dostanie on wtedy jużynę! Jezu Chryste, ratuj! Kto jaki święty...

Jeszcze mu nie wywietrzał z pamięci ten wieczór, kiedy z płaczem przygnał parę owiec, powiadając, że reszty nima... Straciły się kanyś, poszły pomiędzy jałowce — a tu wieczór i odnaleźć bieda, bo nie widzi pociemku, co tam stoi: owca, czy jałowiec?... Tak opowiadał prosto, narzekając i rzewnie płakał. Wtedy mu kazali iść i szukać, a jak nie znajdzie, to nie ma poco wracać do chałupy... To mu pedzieli — więcej nic. Wieczerzę jedli sami, a on u progu stał... I poszedł potem na ugory, bez czucia, w strachu wielkim, bo wszędy czarna była noc... Chodził i płakał i wołał tych owiec... wołał na każdą po imieniu, głośno, ale

żadna się nie odezwała... Jeno sowa odpowiadała mu z lasu, podrzeźniając, i śmiała się tak z niego, że się aż bał.

Wzdrygnął się na samo przypomnienie tej chwili i pobiegł za owcami, które go odeszły. Nie myślał już o grochu, ani o ziemniakach.

— Może jeszcze juzynę wyniesą...

Nie tracił nadziei. Paśł owce, nawracał je i starał się narazie o niczem nie myśleć, nic nie przypominać, bo wszystko było złe i strasznie smutne, co dotąd przeżył.

A życie swoje rachował od czasu, kiedy go matka zaodziała pacześną łoktusą i powiedziała: „Pódź! pódziem na służbę“... Nie rozumiał wtedy, co te słowa znaczą, a potem... ho! Co on już od tego czasu przeżył! Mój Boże! Mógłby się niejednemu pochwalić... Powiadają, że długo trzeba żyć na świecie, nim człowiek przywyknie. On przywyknał odrazu, ino mu się cnie... Żeby tak ludzie pamiętali o nim, jak on o ich bydło pamiętał, toby mu na świecie niczego nie trza było. Nawet by mu się nie cnęło tak bardzo, a może i nic... Ale oni są strasznie niepamiętni, jak przyjdzie komu co dać... Zasługę nieraz już mu ukrócili, wytrącając szkody przerozmaite. A na to żadnej nie było uwagi, że on świtaniem, kiedy jeszcze spali, bydło wypuszczał i na paszę gnał... Nieraz, bywało, zabaczyli o nim, nikt mu śniadania nie wyniósł — on paśł... Potem przyganiał dobrze na pasione. Ale oni są strasznie niepamiętni na czyje dobro. I nie miarkują nigdy, jak się to cnie. Musiało im się nigdy w życiu nie cnać, abo...

Już sam nie wiedział, co ma o tem myśleć, że z tą juzyną nie widać i nie.

— Musieli se o mnie zabaczyć, musieli! — począł cicho lamentować. — Nie wiedzą pewnie, czy jest na świecie jaki Józek...

Żal mu się zrobiło samego siebie. On musi boskem za owcami chodzić, skórę już poodbijał doznaku na piętach... Nikt nie pomyśli, żeby kierzce kupić. Żeby choć nie obiecywali, jak przypomina gaździe — na nic! daremno! Obiecuja tylko, jak zawdy. Żeby choć nie obiecowali, jak ni mają chęci kupić, toby już było lżej... Bo człek nie wyzierałby z takim utęsknieniem — napróżno...

— Jak i dziś. Potrzebno im to było mówić, że mi wyniesą juczynę, kie nie mieli chęci? Mogliby ino pedzieć: „Paś, nie puszczaj na zboże, bo to twoja psia powinność, hychu!” — i nic więcej... Ale oni mi powiadają: „Paśże, paś! A jak dobrze bedziesz paś, nie puścisz na zboże, to ci tam ktoś wyniesie juczynę”... Dyć dobrze pasę, bo ani kłóseczka nie urwała owca bez caluteńki odwieczerz... A juczyny nima i nima... Nikto nie wyniesie... ani pies!

Gorycz kroplami padała na serce i tak jej dużo spłynęło, że się uczuł złym.

— Cygaństwo świata! — myślał — i nic więcej... Naobiecują, naschlebiają, a potem, to nic...

Ale cóż złość poradzi przeciwko niemocy! Poczuł to sam, gdy puścił się za owcą siwą, chcąc ją dogonić i ukarać za to, że na zboże poszła, kiedy on dumał.

— Ja cie tu przecie raz... cygański siwcu...

Biegł, co miał sił, ale owca jeszcze prędeje. Nie mógł jej dogonić — ustał i padł i począł ciężko dyszeć... daremna złość! Nic nie poradzi przeciwko niemocy... Uczuł to sam.

Owce się rozbuchały; ta przodownica siwa pobuntowała insze tak, że poczęły gonić po ugorach, jakby djabeł w każdą wstąpił i opętał ją.

Nie czuł już w sobie siły zganiać je w dolinę. Złość go osłabiła doreszty. Wodził tylko za niem i oczyma, leżąc, by wiedział, jak się ze ziemi zbierze, kany którądy która poszła, by następnie widziały, że on patrzy na nie, i nie ważyły się wobec tego na cudzą szkodę iść.

Widział, jak się ustanowiły na chwilę, i podzielone, gromadkami rozchodziły się i traciły między jałowcami.

Światła czerwone koło wierchu zgasły. Cień się posunął do samego szczytu — potem się oparł na niebie i znikł...

— Słonko już pewnie zaszło... Trzaby gnać...

Ale w nim, gdy tak leżał, zastało się wszystko. To, że musiałby się podźwignąć ze ziemi, już mu sprawiało ból.

— Niech ta — pomyślał — Niech zaszło! Ja tyle czasy czekał, zanim zajdzie. Musiało przecie zajść... Teraz już daremno! I czekać nima co... Juzyny nikto nie wyniesie... Ktoby po nocy niósł?

Ostatnia już nadzieja mroczna się rozwiała — i wszystko naraz w oczach pociemniało.

— Amen i koniec.

Podniósł się na rękę, ale nie powstał, jeno siadł. Przysunął się do jałowca, nogi skurczył, palce poza nie zaplótł i brodę oparł na kolanach.

— Niech sie, co chce, dzieje — nie pódę... nie ruszę sie i co mi kto zrobi. Na despet nie pożenę do chałupy... Niech sie tróbuja. Niech sie

ta boją, że mi owce zajęni, abo je wilk pozjadał... Niech sie ta boją.

Zganiał myśli odporne i zacinał się w sercu swoim — a żal go zwolna ogarniał całego, coraz to większy żal... Opór, zalany łzami, gasł — podnosiło się łkanie głośne i krzyczało mu serce oskarżeniem żałością na cały boży świat.

— Nie wynieśli juzyny! Nie wynieśli!

I nie wyniesą. Wiedział o tem, że już nie wyniesą.

Poczęło go coś dławić w gardle. Cały potok słonej, gryzącej serce gorzkości pienił się i podnosił do ocz, aż nareszcie przepełnił się i trysnął, jak to źródło narodzone w skale, bijące prosto w górę białą strugą, która się rozpryskuje w świetlane kropelki, w cichy i nieustannie spadający deszcz...

Nie mógł nijakim światem ustanowić łez. Stały się siwe krople — jedna za drugą — i coraz prędzej, coraz szybciej, aż się poczęły doganiać wzajemnie i cióreckiem lecieć — białą nitką — prościutko na ziemię...

I długo, długo w tej pustaci nie słyszeć było nic — jeno z oddali przychodzące turlikanie owiec i płacz serdeczny ich pasterza, odchodzący w dal...

A mrok już z dołu wyszedł, z potoka, gdzie spał przez cały dzień w smrekowym cieniu — wyciągnął długie łapy, kudłate i czarne i przyczajony, zaczął się czołgać po uboczu stromej pod rdzawy, szarzejący wierch...

Nastala cisza.

Płacz, zmordowany, ucichnął doznaku.

Owce się potraciły. Dzwonków już nie słyszeć. Nie słyszeć nic.

Daleko, tylko, kędyś poza lasem, śpiewają.
echa, coś przedziwnie gra...

Jakieś znajome dolatują głosy...

Skąd one przyszły i skąd on je zna?

Pamięta dobrze...

„Husiaj mi sie, husiaj“ ---

.

To samo kiedyś śpiewował mu ktoś... Czyby nie matka?... Któż wie, może ona... Pewnie, że ona... śpiewała mu... pamięta dobrze...

Ale to już tak dawno, tak strasznie dawno!...

Wtedy jeszcze nie służył i nie pasł... Tak, pasł dwie owce... Ale ino dwie... Strasznie były potulne... Chodziły za nim, jak dwa psy... Dawał im z ręki sól... pamięta dobrze... Co się z nimi stało, to już nie wie... Musiał je pewnie wilk porwać, abo co... Ale to już wilków nima... może wtedy były? Przypomniiał sobie, ale nie zbaczył, żeby widział jakiego, choć nieraz na odwieczerz wyganiał za górę, kany chałup nie było, ani żywej duszy, ino jedcn las i jałowce, ino jeden las.. Nie cnęło mu się przecie nigdy, bo miał kto o nim pamiętać na świecie... A teraz... mocny Boże! Nikogo nima... nikogusieńko na całym świecie!... Sam jeden i Stróż Anioł, co mu owce nawraca...

Poczęło mu się śnić... Pasł owce po ugorach pomiędzy jałowcami bez caluteńki odwieczerz... Obiecali mu juzynę, obiecali na pewno, jak będzie dobrze pasł... Nie puszczał je na zboże, ani razu nie puścił, pilnował bardzo i czekał i pasł... Śród-wieczierz nadszedł — juzyny nie widać... Obiecali na pewno, jak będzie dobrze pasł. Czekał i czekał, rychło mu wyniesą, a tu nie widać i nie

i nie!... Słoneczko zaszło — cień poza wierchem się schował — robi się wieczór i zmrok... A tu się owce potraciły między jałowcami, poszły daleko, ani ich nie słyszeć... Nie słyszeć nic... A jużyny nie wynieśli... Nikto nie wyniósł...

— Kto wie, kany te owce? — tróbował się we śnie — Czy na zboże nie poszły? Aniele Strózu mój! — począł się modlić... ale wnet urwał, zbaczył sobie, bo pamiętał o tem i we śnie, że mu jużyny nie wynieśli. — Niechta! Niech idą, kany chcą, niech idą...

Cóż to? Z potoka jakieś dzwonki słyszeć... Patrzy... Wychodzą jedna za drugą... siwe i czarne i białe jagnięta... Cały ich kerdel... Musiał je kto zająć ze zboża... Ale nie! Prościutko idą uboczą do góry... Prosto ku niemu... Ktoby je tu gnał... Patrzy i widzi i oczom nie wierzy... Sam Stróż Anioł je żenie... Sam Anioł Stróż!

— O ty mój aniele słodki — szepce pocihu — jaki on biały, bielusienki... Jaki on dobry... jaki on strasznie dobry! Jak mu sie tam chciało iść po nie?... I pozganiał wszyściuteńkie i żenie do góry... Może nawet i jużynę niesie... Kto wie! Może i niesie... Jak po obiedzie wyszedł z nieba, to jeszcze sam nie zjadł... Ino kto wie, czy im w niebie jużynę dają?... Może mu jaki drugi anioł wyniósł na odwieczarz jużynę... pewnie jeszcze sam nie zjadł... ni miałby serca sam jeść, skoro bez cały odwieczarz stał koło mnie i widział, jak mi sie cnęło... A może on skądinąd idzie i po drodze idący nawrócił mi owce... Ale jużynę musi przecie mieć... ostało mu i la mnie, bo sam niedużo je... przecie to anioł! Ciekawym, co oni tam w niebie jadają. Ujrzę niezadługo na swoje oczy...

może chlebuś bieluteńki, pachnący bardzo... Żenie już żenie, już jest niedaleko! Jeszcze przez te jałowce... Już wiem, co mi powie... Powie mi tak: „Naści juzynę, boś tak długo czekał... Niech ci się nie cnie... Weź i jedz“...

Nagle sen prysnął — a on uczuł w strachu wielkim, że go coś porwało za włosy... Ktoś mu nad uchem wrzasnął:

— Tuś mi! psiakrew sobacza...

I dostał znów juzynę, o jakiej nie śnił...

BŁAŻKOWA ŁYSINA.

Błażkowej babie nigdy się nie cnęło. Zawdy miała coś do mówienia; gadała też wciąż i bezustanku, bojąc się, by się jej zuchwy nie zastały. Byłaby to najgorsza bieda! Lękała się tego bardzo, najbardziej ze wszystkiego. Wolałaby oślepnąć, wolałaby nie wiem co, żeby jej tylko mowy nie zabrakło, broń Boże... A raz już w chorobie wielkiej, pamięta, o mało, że się jej to nie przytrafiło... Obudziła się rano, patrzy i widzi: zaspana Maryna wsypuje oskrobane ziemniaki do garnka, w którym się zwykle świnom gotuje. Chce zawołać na nią po imieniu — nie może... Szczęki się zacięły mocno, jak drzwi na mrozie, i ani rusz... „Bedziesz ta! — pomyślała — to już widać koniec. Amen już, amen!“ Poczęła w sercu lamentować głośno, ale się sama nie słyszała i nikt jej nie słyszał. Ziemniaki będą się warzyć w świńskim garnku — nic nie pomoże. Szczęściem djabli nadnieśli Błażka. Wszedł i spojrzał boczawo na wyrek, czy „piekło drzemie, czy śpi...“ Zobaczył oczy, wylupione ku garnkom, i zęby ścięte w jeden rząd. „Wieczne odpoczywanie!“ — szepnął. — „Wyjmij z półki gromnicę i zaświeć!“ — zwrócił się do Maryny. W te razy baba zerwała się na siedzącko dziwną jakąś mocą, zęby

też same odskoczyły, i wypadło jedno słowo, które się na nich zatrzymało było: „Psiaduszo!“ Błażek zmartwiał z radości, że baba ożyła, Maryna musiała zjeść przed śniadaniem niemało diablów, a Błażkowa już odtąd nie zamykała gęby, lękając się, i słusznie, zamrożenia szczęk.

Słuchać ją było wszędy — w izbie i na osiedlu, poza osiedlem i w całej wsi.

Jak nie miała z kim gadać, gadała ze sobą: ale najbardziej to już lubiała gadać ze starą Łysiną, bo ta wyrozumiała wszystko, co jej kto powiedział, i wszystkiego słuchała z jednakim spokojem, jak zwyczajnie krowina dobrze wychowana na cudzej koniczynie i na cudzem zbożu. Bo swojego nie tknęła nigdy, co jej się chwaliło przy każdym podoju, a nawet częściej, po każdym powrocie do obory.

— Napasła się Łysinka? — mówiła Błażkowa zdobniale, a zawdy z pewnem uszanowaniem, przez trzecią osobę. — Napasła się, teraz będzie nynać... O co Łysinka ryczy? o co? O wodę może, o wodę!... Zaraz, zaraz, my cię tu napoimy... Ino trza poczkać chwilę, malutką chwilusię... Maryna! — wychylała się z obory do sieni. — Czemuś tu, suko, wody nie przyniesła? To ja ci codzień będę przypominać? Nie widzisz, że Łysinka czeka? pić jej się chce... A mlekobyś jadła, ty spychaczu dziadowski! Bier konewki zaraz, bo jak póde...

Maryna, mrucząc pocichu, brała konewki obie i szła po wodę dla Łysiny. Łysina piła, obracając wielkie załzawione oczy po oborze. Te oczy zdawały się pytać i odpowiadać — rozumne oczy. Błażkowa już nieraz, patrząc w nie, gdy się jej

zdawały smutne, pytała się: „Co ci to brakuje?”... I wnet znajdowała sama za nią odpowiedź, która trafiała zawdy do krowiego serca, do krowiej chęci. W tych chęciach objawiała się cała jej zwierzęca dusza, wszystkie jej myśli. Ale myśleć musiała, nawet nieźle, skoro się tak z Błażkową dobrze rozumiały. Kłóży zaś jej towarzyszcze zarzucił brak duszy? Więc oczy za nią mówiły zawdy: chcę. Gdy niedość silnie wyrażały jej wolę, pragnienie, wówczas prosiła, jak umiała, rycząc. Mowy tej używała w ostateczności, gdy już w chałupie Błażkowej nie było, bo przy niej to niczego chęciom jej nie zbrakło. Miała wszystkiego (po uszy — trudno powiedzieć, ale) po kolana. Sypiała na ogryzinach, wyżutych ze żłobu. Miętko jej było. Jeden dzień odróżniała w tygodniu — piątek, kiedy Błażkowa poszła do kościoła do świętej spowiedzi i na mszę. Naryczała się wtedy po próżnicy, aż ją zuchwy bolały. Zato popołudnie tego dnia było dla niej świętem. Błażkowa, chcąc jej wynagrodzić postny dopołudeń, pasła ją podwójnie i poila słoną wodą, głaszcząc dłonią popadaną jej miękką sierść. Łysina znosiła głaskanie to gwoili jadła, skóra tylko na niej drżała, bo była cliwą.

— Nie dali jeść mojej Łysince, nie dali! — żałowała Błażkowa. — Umorzyćby chcieli moją Łysinkę, wierutne katy!... Czekaście, hycle, dam ja wam na wieczerek suchą miskę oblizać! Będziecie wiedzieć, jak to dobrze mieć próżniuteńki żłób.

Naoscymała jej do ucha, wymyślając przytem chłopca i Marynę — i Łysina była rada. Tak się przynajmniej Błażkowej zdawało. Doiła ją

zawdy sama, nie mogąc się na nikogo spuścić. Bo też doła kunsztownie, jak nikt. Tajemnice przytem miała swoje, jeszcze od matki. A pochlebstwami więcej mleka wyciąga, niż krowa mogła dać.

— Widzisz — mówiła do niej — jakaś ty cacana... Inszaby już dawno przestała dawać, a Łysinka się doi, nie ustaje. Zato będzie mieć drobniotkie siano za drabinką, jak przyjdzie z pola. Nasza Łysinka, nasza... No, jeszcze kapeczkę! Choć po wyźnie obrączki... Tak.

Miewali czasem i dwie krowy, jak się Błażek na lato wspomógł. Ale do żadnej nie przywykła tak Błażkowa, jak do tej. Bo też od maleńkości ją chowała. Pamięta ją małą cieliczką, zabeczaną, potem jałówką większą, strasznie chytką, a wreszcie krową stateczną już od siedmiu lat. Tamte były i przeszły, sprzedać je musieli ku zimie, bo chować niezawdy było czem, a ta się jakoś dzierży w chałupie, jak ta komornica, którą się przyjmie do rodziny i trudno ją oddalić, kiedy już „swoja“. Z kimżeby zresztą Błażkowa gała? Zaczęłoby się jej na piękne, jakby Łysiny czego Boże nie daj, zbrakło w chałupie. Tak jest przecie ozrywka, i jest do kogo czasem uczciwe słowo przemówić, na ten przykład. Bo z ludźmi nie poradzi, nie. Błażkowa dawno z nimi już zerwała. Nawet własnego, rodzzonego chłopca „djabłami“ codzien pasła. To też schudł, jak ten święty Marcin w ołtarzu, co tam stoi od niepamiętnych czasów. Łysina zato była tłusta. Pasła ją sama Błażkowa i wodziła poza płoty, gdzie i którądy, wie sam Bóg, na którego się odwoływała, gdy jej kto niechcący zarzucił szkodę.

— On ta widzi, On patrzy, choć On ta wysoko.

Trudno było fantować szkodę, skoro samo oko Boskie chodziło za Łysiną. Z Błażkową nikt jeszcze rzędu nie doszedł.

— Niech ją tam sądzi sam Bóg — powiadali — skoro to widzi...

Złość wielka na Błażkową i na jej Łysinę ustępowała miejsca niemałej ucieście, gdy je słyszano gadające ze sobą, jak dwie kumoszki.

— Patrzcie no się! — wołano w osiedlu — Błażkowa krowę żenie bez ulicę...

Na to każdy, choć najpilniejszą miał robotę, przypadał do okna — i widać było przez zadytmione szyby stosy głów, mniejszych i większych, ułożone na sobie, i roześmiane śniade twarze.

A ona gnała prosto na ugory, nie widząc nic; tak była w sobie zamyślona i zagadana z krową.

— Bola cię nożeczki, bola?... Hm.. Mocny Boże! Co ja ci poradzę? I mnie haw niebardzo letko iść, a muszę... Nic nie pomoże! Darmo! Tak już trzeba tę biedę nosić po tej ziemi na wieki wieków. Łysince lepiej niż mnie, bo przecie obuta... Raciłce się nie zedną... A mnie się kierpce zdarły doznaku i nima za co kupić. Tak. Trzebaby soli nie kupować bez dwa jarmarki. Musiałaby się Łysinka obejść niesłoną wodą. To lepiej niech już ja boskem chodzę. Na wieki wieków! — rzuciła na bok, gdy kto idący pochwalił Boga, i gnała dalej na ugory.

— Kanyż ty idziesz? — pytała się Łysiny — tam trawy nima... Szkoda nawet zębów. Wróćno sie, wróć!

I Łysina się wracała chętnie i szła powoli przed nią, na popas. Wiedziała, że ją Błażkowa na tłok nie zawiedzie, gdzie ino osty same i skale. Ona tam codzień coś nowego wynajdzie, kany jeszcze nie bywały dawniej. Nie myliło ją przecucie i tego razu.

— Pójdziemy se na miedzę — mówiła Błażkowa — do jednostronki... Tam jeszcze nikt nie wypasł. Trawa, jak to zboże, wysoka. Bedzie Łysinka mieć uciechę, ino trza słuchać, tędy iść, którądy ja powiem, bo tam ciasno. Nie wiem, jako się obie pomieścimy. Pamiętasz? Ale, toś nie ty była, nie ty, ino ta kupna, co my ją przedali łońskiego roku na jadvencie. Uwodziła mię też po tej miedzy, że mię krzyże bez caluteńką zimę bolały. To był smok, nie krowa, judasz cygański! Przedaliśmy ją za to na mięso. Niech ma. Tybyś mnie tak nie ukrzywdziła? Co to przytykać! No, no, nie markoć, że cię posadziła niechcący... Na prawo, tu, koło płotu. Kanyż tam idziesz? Ozgniewała się na piękne, moi mili... Kanyż tam idziesz? powiedz! Udobruchała się przecie, no! Chwalaż Bogu.

Zaszły obie do jednostronki, przelazły przez płot; naprzód Łysina, za nią Błażkowa poganiając.

— Paśże sie, paś... Ino zboża nie skub! Skoro trawy masz dość. Usłuchnij, bo ci na złe nie chcę.

Ale Łysina słuchała jednem uchem, przyskubując zboża dla omasty, i nie dziw! Sama trawa się przyje, trzaby co ku temu. Przy jednej sperce i kot zdechnie — każdy wie o tem.

— Ludzie sie patrzą, bój sie Boga — mówiła Błażkowa. — Uważaj na się. I na mnie uwazuj

przecie, bo jak dojrzą, to będzie piekło. Co ja już diabłów skróny ciebie zjadła — to ani, ani... Zawiedłach cię do najpiękniejszej trawy — jeszcze ci mało? Nie wszystko twoje, co oczy widzą. Bo kaźby sie uczciwość podziela? Tak, moja Łysinko, tak. Jak się ma dość wszystkiego i można być uczciwym na świecie — to czemu nie być? Insze, jak bieda zmusza... Mocny Boże! Jak ono też będzie i z nami na tamtym świecie?... Paśże sie, paś... Darmo nie pozieraj ku chałupie, bo jeszcze daleko do południa. Widzisz, kany to słoneczko na niebie, kany to cień... Daremno z tobą gadać, boś nieusłuchliwa.

Gadała jednak wciąż. Łysina jadła trawę, zachwytyjąc zboże, i schodził czas, cień się umniejszał co godzinę, aż wreszcie i południe nadeszło.

— Trzaby gnać... Kto wie, czy Maryna uskrobała ziemniaków na obiad. Ale ba! Zabaczyłach im ostawić kluczy od komory, a mleko tam. No, mogą się raz przepościć. Nie zawadzi. Nie bede im tak dogadzać boby się zwydrzyli na piekne... Paśże sie, paś... O ratuneczku! Jak my to starały zboże — ale niechta, kiedy nie nasze. Może już pójdziemy do chałupy... Jeszcze ci mało? To jedz, ino mleka nie żałuj! Bo już tak skrupulatnie udzielasz, jak pasierbicy. Wstydziłabyś się przecie! Na taką paszę, jaką ty masz, inszaby na ten przykład dała ze dwa skopce... Ale „na ten przykład“ mówię, to sie niemasz o co złościć. Paśże sie, paś...

Łysinie się już boki zaokrągliły. Z oszczędności jednak łykała trawę, przegryzioną wpół. Bo kto wie, co jutro może wypaść? Zawdy i na przyszłość trza mieć wzgląd.

Daleko słońce przechyliło się od południa, kiedy Błażkowa gnała krowę nadół w osiedle. Rada była bardzo, że się Łysina tak napasła, aż jej się oczy śmiały zdaleka. Zbaczyła sobie wreszcie, widząc dom, że sama jest bez obiadu.

— A niechta! Łysina się zato napasła.

W chałupie oczekują pewnie i, wygłodniali, pozierają z okna, czy żenie.

— Bedą widzieć na własne oczy, jaka Łysina objedzona. Łysinka nasza łysa... Poco tak lecisz? Ja cię nie dogonię, bo widzisz, skóra sie poodbijała na piętach. Pomałuże, pomału, zaczekaj mnie... Chce ci sie pić? Kto wie, czy ta „suka“ przystroiła wody... No, lećże, leć!

Łysina się pośpieszyła, widząc oborę, a Błażkowa szła za nią przez osiedle, kulejąc na obie nogi, na palcach szła. I gadała sobie dalej, co Łysinie miała powiedzieć. Wiecznie gadała. Błażkową była od ślubu, Łysina zaś od urodzenia Błażkowa była. Zdały się ku sobie, jak to mówią, i nie cnęło im się razem nigdy, przenigdy.

WOJTUSIOWE LATO.

I.

Na stromem zboczu, pod garbem grzbietowym napół wysokości góry (Turbaczyka) świeca się z ciemnych wrębów nieduża polana, na północ otwarta, najbliższa wsi — widać też z niej całą dziedzinę, wszystkie osiedla, jak na dłoni.

Na tej polance, niewiada czemu Płoszczaną nazwanej, pał woły swego ojca Wojtuś, czternaście lato poczynający.

Wygnał wczas rano, jak co dnia. Woły, wygłodniałe przez noc, łakomie strzygły trawę, mokrą jeszcze od rosy, a Wojtuś stał nad niemi, z zadowoleniem pozierał, jak skraja przykładnie szorstkimi ozorami zawijały paszę, i rozpatrywał się po świecie.

Rano było pogodne. Słońce już oświecało prawie całą dziedzinę — w uboczy, schylonej pod pać, jeszcze trwał cień. Tem wyraźniej malowały się i przybliżały oczom pasterza: osiedla, w dole leżące, trawniki pod domami, płaty zbóż. Inów, koniczyn, światłem poobsypane.

Wojtuś, pełen krzepkiej w sercu radości, jaką darzy pogodny ranek, wodził oczyma po słonecznej dziedzinie, uważał, jako syn gospodarski,

o ile się zboża zapolały a lny rozkwitły, śledził z zajęciem, gdzie już dymy z nad chałup się rozeszły, a gdzie dopiero na śniadanie palą, gdzie bydło na ugory wygnali, a gdzie dopiero ulicami od chałup wyganają.

Najczęściej jednak wracał oczami ku jednemu osiedlu. I ani się postrzegł, jak się tu z częstym nawrotem znajdował. Najpilniej też ze znaków miarkował, co w osiedlu tem ludzie robią, zwłaszcza w chałupie skraja od ulicy.

— Dym się rozniósł z nad dachu. Musieli pośniadać. To teraz pewnie stroją się do pola...

Obszedł oczami po dziedzinie, postął przy inszych osiedlach, poobzierał się nawet daleko, jak widok się odsłaniał, i znowu wrócił.

— Nie widać jeszcze... Może dopiero śniadają?

Począł odnowa rozpatrywać się po dolinie. Z trawników, nakrapianych żółtymi jaskrami i siwymi pałkami ząbru, przechodził na przybielałe zagony jęczmion i orkiszów, na ciemne płaty koniczyn, na błękitne pólka lnów, wędrował głowami nierówno stykających się różnozielonych kawałków, włóczył się dookoła młak i młaczek, miękką porośniętą trawą, rachował miedze w jednym rzędzie, zatrzymywał się przy kępach, przy każdym spotkaniem drzewie, szedł z pasterzami, wyganającymi z jednego osiedla bydło, przez całą wygonną ulicę aż ku pastwisku i bawił wśród nich dłużej, niż zajęcie radziło — wreszcie, miarkując, że już dość czasu stracił, wrócił oczyma ku „swojemu“ osiedlu.

— Czemuż ona nie wygania? — pozłóścił się już w niecierpliwem sercu. Całą nakazującą wolę

wział w oczy, wpatrzył się ostro w osiedle i powtórzył parokrotnie, niby zakłęcie mocne:

— Wyżeńże! Wyżeń! Wyżeń!...

Ale zakłęcie nie poskutkowało. Nikt się z chałupy nie ukazał.

Wojtuś już przecie nie oderwał się oczami. Przyczaił się w ulicy, można rzec: przywarował u wyjścia z osiedla i czekał. Postanowił już czekać cierpliwie. Drętwiał w ciele, nudził się i niecierpliwił, jakby w rzeczy tam stał koło płotu.

Minęła chwila jedna — druga — czas dłuższy mu się niepomiernie. Nareszcie!... Z osiedla, jak dwa światła, wyszły łyse woły — za nimi Kasia...

Poznał ją zdaleka i aż drgnął cały z radośnego wzruszenia. Przywarł odrazu oczami do jasnej jej postaci i prowadził ją przez całą ulicę i dalszą wygonną drogę aż ku stokom, póki jej schylenie lesiste wraz z wołmi nie przesłoniło.

Teraz począł w niecierpliwości serca i oczu pacierzami rachować, rychło się z wołmi we wrębie ukaże. Miał już odrachowaną miarę (nieraz ją sprawdzał!), wiedział też, że Kasia musi gnać jedyną drogą wrębem poprzez ubocz, bliską, bo jeno potokiem dzieloną, i schyloną ku stronie, na której on stał z wołmi.

Szeptał „Zdrowaś Marja“ i odliczając zmówione na palcach, modlił się zarazem gorąco o łaskę ujrzenia Kasi. Do Matki Boskiej miał zaufanie zupełne, większe, niż do własnej matki. Zwierzał się Jej ze wszystkim. Ona też nie odmawiała nigdy jego prośbom.

Niezadługo na przechyleniu zaświeciły białe czoła wołów (jak on je kochał! jak im rad był zawsze!). Wychyliły się wnet całe, czerwone

i okazało, a za niemi w zapasce czerwonej, w chustce niebieskiej — Kasia...

Wojtuś wiernemi oczami przypadł ku niej i już jej nie odstąpił. Wierzył, że musi widzieć abo czuć te jego oczy z oddali, tak strasznie przysługujące. Modlił się ku niej całę nieznana mową, która niewiada skąd się rodziła. I patrzył — patrzył — już nie oczami, ale duszą. Czuł, jak krew odeszła mu z twarzy, jak serce nierówno się tłucze, jak nogi słabnieją pod nim — nie oderwałby przecie oczu, choćby omgleć padło.

A Kasia gnała woły zakosami, przegibując się i mieniając barwami stroju. Zdawało mu się, że często zwraca twarz jasną ku niemu, że nawet patrzy z utęsknieniem ku Płoszczanie. Nie przysięgłby na to przecie, bo mgłą i łzami zachodziły mu źrenice. W połowie zbocza, naprzeciw prawie, rozwiedła głos i zaśpiewała:

„Kalina sie kali
W kalinowym lesie —
Siwy koń, siwy koń
Siodełeczko niesie...”

Zadźwięczało przeczyście po wrębie — po lesie — i poniosło się dołu... A Wojtusiowi jakby sto ptaków rajskich zadzwoniło. Osłabł doznaku sercem. Już męką patrzył na nią, gdy podnosiła się z wołmi — ku wierchu. Stamtąd, już z góry, puściła rozwodny głos w dolinę:

„Ka sie popodziały —
Co ładnie śpiewały?
Powydawały sie —
Pozabacowały...”

I gasła zwolna w gibrzynach wysokich. Cza-sem chustka jej mignęła jeszcze z poza smreczków, jak skrawek nieba — hań u wierchu.

Wojtusiowi zdało się, że dzień się chmurzy, że słońko zachodzi. I wreszcie tam — za wierchem — zaszło jego słońko, radość oczu. Wnetby był płakał. Bezwiednie prawie zajął woły i gnać je począł ku wierchowi. Nieodparcie ciągnęło go coś za nią.

Osatał się dopiero na wyżniej polance. Przypomniawszy sobie, jak mu ojciec ostro przykazywał, aby się z Płoszczany nie ruszał z wołami, aby nie gnał za wierch ku pasterzom.

— Pamiętaj, żebyś mi się krokiem z polanki nie ruszył. Tu se paś, tu trawa jest, to się woły najedzą. Tam ino figle z pasterzami, bezeceństwa, a woły, zganiane w jedno miejsce, ino się rogami sernują.

Raz nie posłuchał, pognął z pasterzami, i o mało że paskiem nie dostał wieczerzy. Wtedy jeszcze miał na obronę to, że słota trwała, zimno było, a tam pasterze w kolebach palili — bo tego, że mu się samemu cnęło paść, ojciec nie chciał wziąć nijak na uwagę.

Cóżby teraz powiedział? Jakby się usprawiedliwił? Dzień pogodny, słoneczny, aż powietrze drga — trawy dla wołów nie brak... Świat widno dookoła — ludzi pełno po polach — wesoło... Tak ojcu może się przedstawiać. Nieraz, jak się Wojtuś skarżył przed nim, że mu się cnie samemu, powiadał:

— Jaby se za raj uważał, jakbych mógł tak ślebobnie przy wołach wypocząć. Cóż ci się tam dzieje? Widok masz — głód ci nie dokucza —

a żeś sam... Ho! ho! dziecko! Chciałbyś ty kiedyś sam pobyć — jak ci ludzie dopieką...

A powie ojcu, że go coś gwałtem za wierch ku pasterzom ciągnęło? — Tego ojciec nie pojmie. Pocznie się wypytywać, jak sędzia surowy: „Jak? co? gadaj tu zaraz! Figle pewnie i letkomyślnictwa?”

A Bóg świadkiem, Stróż Anioł, co go na krok nie odstępuje, i Matka Boska, która w jego serce czyste patrzy, że o nic mu innego nie idzie, ino o to, żeby na Kasię patrzeć choć zdaleka i słyszeć jej śmiech dźwięczny... Ale tego ojcu by nie zdradził, za nic w świecie! Raczejby wołał, żeby go o najgorsze posądzali...

To rozważywszy w myśli, zawrócił woły i z ciężkiem sercem zegnał je nazad na Płoszanę.

Przywitała go nuda znajomego aż nadto miejsca. Ta polanka, która wydawała mu się kątkiem raj, kiedy pierwszy raz na nią wygnał woły, teraz wydała mu się jak więzienny plac, murem ojcowskiego zakazu otoczony. Miał swobodę, a nie miał.

Ten poniewolny przymus ciążył mu srodzej, niż najprzykrzejsza słota. Gorzył się w sercu i na ojca i na to, że musi sam paść i że nie jest panem swoim — wszystko go gniewało, na co pojrzał — na jedne woły, pozierał z miłością: widział, że one jedne rozumieją jego strapienie serdeczne, i co chwila obracają ku niemu swoje dobre, wilgotne, współczujące oczy.

Zajął je i podegnał ku większej trawie na skraj wrębu. Niechajże se użyją za to przywiązanie. Nawetby im trawy w sadzie nie żałował.

A sam dalej gryzł gorycz przymusu. Jak pomyślał, że cały dzień, aż do wieczora tak tu musi po tej polance znajomej z wołmi samo-we-tróji swijać, to ażę łzy mu w oczach świdrowały. Ledwo że się opanował i że płaczem szczerem nie wybuchnął.

O nic mu nie szło — tyle dni dawniej sam tu spędzał w swobodzie serca, śpiewający, i ani mu się nie zaczęło — ino, że Kasia tam pognęła, a on tu musi paść... Jaka to niesprawiedliwość!

Od czasu, jak ją ujrzał w uboczy, gnającą za wierch, poczęła się ta jego męka... Leciwała za nią myśl sama, ani jej wolą powstrzymać — jak i oczy, urokiem nieprzepartym rwane...

„Kiedych cie uwidział
W zielonej ubocy —
Hej!... zamięłowały się
W tobie moje ocy...”

Zanucił sobie cichutko samemu, i jeszcze smutniej mu się uczyniło.

Słońce wyszło ponad wierch i oświeciło zboże. Zapaliły się we wrębie różowe pola zakwitłej gibrzyny, wszeleniejakie trawy podniosły się jakoby ze ziemi, każda swoistą ożywioną krasą, że różność była w strojach jak w weselu; z wierchołków, wieńcami w skrajach wrębu lub po polankach kępami stojących smreczków, poczęło się światło siać na niższe rozczapierzone gałęzie i odstające gałązki, padając na odsłonięte pnie, na ziemię — z ozłoconych szpilek; cud się dokoła czynił.

A Wojtusowi nic to wesela w serce nie przydało — gdy dawniej radośnie witał nigdy nie-

spowszedniały cud słońca. Patrzał, bo patrzał, ale jakoby w śpiączce, a cały myślą stał za wierchem — tam mu słońce grało, tam świat mu się uśmiechał...

— Co to w tem?... — stawiał sobie pytanie, osatawszy się nieco. — Czy urok?

Nie wierzył jednak w uroki. Coś przecie musi być. Spodziewał się już tego oddawna. Tęsknił za tem. Tyle tęsknoty, westchnieniami, śpiewem w powietrze posyłanej... Aże ją ujrział... w tej uboczy... Dlaczego wtedy?

Znał ją przecie oddawna. Jakże — strykowa Kasia... Ojciec jej w rzeczy nie był jego strykiem, ale tak go już zmała nazywał, jak nazywał chrzesny-ojcami wszystkich na osiedlu gazdów.

Kasia była dużo od niego starsza, cosi o lat dziesięć, abo więcej. Temu też równą mu się zdała: — zrozumie jego tę wielką tęsknotę... Na rówieśne dziewczęta abo młodsze nie zwracał uwagi, jako na głupie jeszcze, nierozumiejące. W niej zaś wszystko było mądre: te oczy — niebo samo, te włosy, jak pasma z promieni słońca, ta chustka nawet (taka powinna być). A najmądrzejszym był jej uśmiech, już nie do opisanie! Kiedy się śmiała, świat cały musiał się cieszyć. I w tem ta mądrość była, że radością, weselem, szczęściem, rajem niewoliła świat...

Wojtuś wierzył, że niemądrość w niej miejsca mieć nie może. I nie masz w niej grzechu, ni najmniejszego błędu. Wszystko najdoskonalsze. I jak ktoś śmiałby jej uwagi czynić, słowem obrażać, kiedy ona naokoło obdarza — śmiechem samym, spojrzeniem. I jest w niej coś — niewiadome —

ku czemu tęsknota, z dna serca oderwana, z głębin najtajniejszej, wyrывa się...

W chłopięcem śnieniu o kobiecie najdującemu się — zjawiała się w uboczy — i poszły za nią oczy jego... Odtąd już jeno czekał tych chwil, kiedy woły wygania, by ją zdaleka widzieć. Och, gdyby cały dzień gnała przez tę ubocz! Ale jeno chwilkę — i zachodzi... Zachodzi za wierch codzień z rana... A dzień taki długi! Nieporada się wieczora doczekać. Oto jest cnienie prawdziwe, jakiego dawniej nie zaznał.

Chcąc bronić się przed tem gniotącym uczuciem, zażywał różnych sposobów: dzielił dzień podług posuwania się cienia słońca, jak podług wskazówek zegara, na małe i mniejsze kwadry, i wypełniał je najrozmaiciej, jak mu jeno prze-myślność poddała. Najgorzej mu się było ocknać, gdy ją tracił z oczu. Potem już świat żywy i myśli nadpływające łącniej zajmowały głowę.

Tak i teraz. Ledwo osatał się w sobie. Rozpatrzył się po świecie, jak z ciężkiego snu zbudzony. Widząc, że ma dzień przed sobą, bo dopiero śródpołui był, zaczął się namyslać, co z telim czasem zrobić...

Postanowił obejść z wołmi dokoła polanę, trzymając się cienia, aby woły mogły się paść. W dniu upalnym najczęściej tak robił. Każdy przykładny pasterz nie postąpiłby inaczej.

Przywrócił przeto woły ku krajowi i pomykał się za nimi w miarę, jak się pasęcy posuwały. Staral się nie myśleć o niczem, jeno o tem, by woły się napasły, nim upał się wzmoże: bowiem wtedy ślepcie i baki najzajadlej tną, woły jeno

w las patrza, gzią się za każdym bzyknięciem, i ani gwary o pasieniu.

Pozierał przytem w stronę swojego osiedla, choć nie widno go było: pagór zasłaniał. Spodziewał się, że ojciec wyrzy, obaczy i będzie rad, że on tak przykładnie pasie. Tem większego zaufania nabierze do jego pasterskiej cnoty, nie będzie już tak dawał pozioru, zwłaszcza, jak roboty przyjdą, i może uda mu się w który dzień niepostrzeżenie przegnać woły za wierch.

Ale ojciec od chałup nie wyrzał. Zapewne wyrzałby akurat wtedy, jakby Wojtuś pognął ku pasterzom. Złe bowiem wtedy się trafia, jak się go najbardziej nie chce.

Wojtuś zabobonnym był, wierzył w różne złe i tajne moce. Aby je unieszkodliwić, nie opuszczał rano i wieczór pacierza, żegnał się przed każdym przedsięwzięciem, a po śniadaniu, nim wygnał, kiedy woły z obory wypuszczono, gotowy do wygnania, z biczyskiem w ręku wpadał do izdebki i przed obrazem Matki Boskiej zmówił zawsze „Zdrowaś Marja“.

I był na dzień, jaki bądź przyjdzie, spokojny. Pewnym był w sercu, że mu się nic nie może stać złego.

Ten obraz najbardziej ze wszystkich lubiał. Święta Barbara, co nad oknem wisiała, zdawała mu się jakąś wielką panią, święta Katarzyna znowu wolowatą, święty Franciszek zaś całkiem był podobny do braciszka, co po kweście chadzał i tabakę co chwila do nosa zapychał. A Matka Boska na tym obrazie tak była ślicznie udana, że aż serce tajało na jej widok. Wysmukła była i w niebieskiej sukni, białą wstęgą przepasana,

stała stopkami na okrągłej ziemi, a u stópek jej wił się smok — trzymała na lewem ręku małego Panajezusa, który miał znowu w ręce krzyżyk, o długiej bardzo lasce, ostro zakończonej — tę laskę ze swawolnym uśmiechem wbijał w oko smoka. Ale to jeszcze nic. Najcudniejsza ze wszystkiego była twarz Matki Boskiej, tak piękna, jakiej na ziemi Wojtuś nie przypuszczał, wierzył, że z nieba być na pewno musi — i oczy, takie dobre i tak patrzące prosto w serce, że nicbyś już przed nimi nie skrył. I gdzieś się obrócił, to patrzyła za tobą. Te oczy Wojtuś wszędzie na sobie czuł. Tym oczom oddawał się w opiekę. Wiedział, że go wszędzie będą strzec i chronić od nieszczęścia.

Raz doznał na sobie ich cudu... Było to przed paru rokami w sierpniu. Już na polanach trawy posiekli, i tam miał Wojtuś gnać. Jak zwyczajnie codzień z rana, zebrał się, wypuścił woły i wbiegł do izdebki na „Zdrowaś Marja“. Potem zajął woły i pognał.

Dzień był posępny, szary, w uboczy mgła leżała. Wojtuś, że to smutno mu było w sercu przy takiej pogodzie, przygwizdywał sobie drogą i nucił różne śpiewki, ale skoro wygnał do uboczy i z polany najbliższej słyszał już pasterzy, (przez mgłę ich dojrzeć nie mógł) postanowił gnać cicho, aby tem większa uciecha była, jak go ujrzą.

Woły szły drogą w parze, powrozem za rogi powiązane, aby się nie rozchodziły, a Wojtuś pobok nich, krajem drogi. Las wtedy niedawno ścięto w tej uboczy, popode drogę pełno było złomów, gałęzi i zajazienia. Gdzieś tam w górze,

przy wierchu ktoś tłukł się — słyhać było odgłosy dragów i fólg: spychano docięte drzewa. Widzieć nic się nie dało, bo mgła leżała do ziemi.

Wojtuś prawie gnał woły zakrętem pod najbardziej stromem schyleniem uboczy. Nade drogą rozeznał przez mgłę kupę zepchniętych drzew, ze skóry olupionych, napoprzek leżących nad dwoma pniami. Naraz usłyszał w górze w uboczy dudnienie — za chwilę przeciągłe: „Waruj!“ Potem głośnie już dudnienie. Pojrzał do góry i zmiertwiał. Obaczył we mgle, podskakujące wysoko nad ziemią napoprzek pędzące drzewo... Prosto na niego... Wiedział, że kupę drzew przeskoczy — na drogę spadnie... Ale już ani czasu do ratunku. Wiedział, że zginąć musi. Jeden moment. I, w pół tego momentu, jak ptak przelatujący poprzec oczy, migło mu życie całe od kolebki... W drugim mgnieniu — jedna myśl — polecenie się w opiekę: — „Marjo!...“

Co się z nim stało potem, nijak nie może przybaczyć. Musiał jednak ostatkiem przytomności krzyknąć i skoczył strasznie wdół. Albo też siła go jakaś odniosła... Bo pasterze, skoro usłyszeli krzyk jego i przybiegli co tchu, znaleźli go w łonach pode drogą — mocno skaleczonego po twarzy i rękach, ale zdrowego w ciele. Drzewo padło na drogę w to miejsce, gdzie stał, wołu jednego skwasilo na piękne, a drugiego poraniło... Tych wołów strasznie mu było żal potem, jak się obaczył.

Pozierał teraz na tę ubocz — ku temu miejscu nieszczęsnemu — tam bowiem najwyraźniej i najdokładniej cień oznaczał czas, jako że to schylenie było ku północy. A po cieniu miarkował

godziny. Widział, że już nadchodzi południe: cień prosto nadół padał.

Z wołmi obszedł dopiero pół polanki. Woły też, czując czas przypołudnia, poczęły postawać i już nie miały woli się paść. Zajął je i popędził ku studzience, którą sam był rękami wyrobił. Naprzód sam się napił, a potem je po jednemu napoił. Z lubością patrzył na nie, jak, wypragnione, piły i nozdrzami oddmuchiwały suche liście buczyny, spadłe na powierzchnię. Czuł dla nich przyjaźń serdeczną, rozumiał je, miał czas je poznać, bo już od kilku lat je pasał; widział ich rozum, dobroć, przywiązanie, a nawet odwagę. Często stawało mu w pamięci zdarzenie, które go najbardziej z niemi sprzyjało.

Paśł w jedno lato z pasterzami, już po skoszeniu łąk — na spalonym. A że to daleko było, nocowywał tam z wołmi w kolebie, albo woły zawierał do koszar z inszemi, a sam z towarzyszami schodził po żywność do domu.

Na jedną noc ojciec kazał mu woły zająć do chałupy, bo na drugi dzień mieli zwozić z pola. Zbiórki były.

Więc pod wieczór odłączył je od innych i pognał. Zmrok już był gęsty, kiedy przygnał na Turbaczyk. Z Turbaczyka droga wiodła na polanę niższą, siodłem grzbietowem przez las — jeszcze wówczas niewycięty. Skoro więc w ten las zegnał i już był w połowie, usłyszał raptem tupot i trzask gałęzi przed sobą. W ciemności dojrzeć nie mógł — ale zaraz z odgłosu poznał, że dzik przepędził poprzód woły. Zmierał ze strachu.

W te razy jak się jeden wół, Kwiaton, puścił w las nadół po uboczy — to ino dudnienie straszne było słyhać i trzask łamanych złomów — tak gnał za dzikiem ku roztoce...

Wojtuś popędził drugiego, który został, i wyszedł z nim na polanę. Tu na otwartem miejscu w brzasku od zorzy zachodu zatrzymali się.

Wtedy tamten na dole zaryczał — a ten mu rykiem odpowiedział.

Za chwilę dość niemałą wyszedł z kraju lasu Kwiaton, ciężko dyszący. Radośnie przywitani się. I Wojtuś je zająwszy, pognał.

Odtąd byłby z nimi puścił się do najdalszej roztoki — po nocy — o każdym czasie — pewniejszym przy nich się czuł, niż przy dwóch śmiałych towarzyszach.

Dbał też o nie. Nieraz im pokryjomu przed ojcem siana za drabinę nakładł, soli podał, a bicz nigdy nie ośmielił się na nie podnieść. Gdy raz ojciec, nagniewany, pobił Kwiatonia, to płakał ze żalu.

Więc napoiwszy je dosyta, zajął je i podegnał do cienia ku gęstwinie smreczków, aby im baki nie tak dokuczały.

Woły, napasione i napojone, poległy zaraz, ciężko postępując, i poczęły żwiekować. A Wojtuś dumał teraz, co ma ze sobą począć. Południe — trzeba by jaki obiad ustroić — miał ze sobą ziemniaki do pieczenia, ale, że upał był, nie chciało mu się parzyć przy ogniu. Wolał już nie obiadować.

Przyszło mu na myśl, że w Groniu, nad polanką widział kiedyś agrest leśny. Jeszcze zielony był. Nateraz może już dojrzał.

Poszedł wrębem ku górze i wyspinał się po skałach i kłodach butwiejących aż pod sam wierch.

Znalazł więcej, niż się spodziewał, bo prócz agrestu jeszcze parę krzaków porzeczek leśnych. Cierpkie były — ale w tym wieku smak nie przebiera.

Rwał kosmate owoce agrestu i czerwone jagody porzeczek i wysysał z nich smaki łakomie. Dumał jeszcze urwać ponadto i zanieść bratom młodszemu do chałupy.

Naraz odskoczył z przestachem: obaczył koło krzaka czarną z łańcuszkiem na grzbiecie żmiję, wyciągającą ku niemu pyszczek z widelkowatym języczkiem.

Już go odeszła ochota na agrest. Zabrał się z powrotem i zeszedł nadół, ku polance.

Woły jeszcze żwiewowały. Więc położył się opodał w cieniu i odpoczywał.

Słońce przechyliło się z południa — upał w powietrzu był wielki, tak, iż go włada w członkach odchodziła.

Leżąc nawznak na trawie, przymknął znużone światłem oczy i dumał, że uśnie na chwilę. Ale wyobraźnia nosiła go, jak piórko lekkie, wiatrem porywane. Najczęściej zalatywał za wierch — na polany. Widział pasterzy, baraszkujących w skwarze przypołudnia, i Kasię wśród nich jak słonko rozśmianą, darzącą szczęściem każdego, kto się w bliskości jej miał łaskę znaleźć. Żywo stanęła mu na oczach. Zdało mu się, że znajduje się ciałem tam między pasterzami i patrzy w nią, a błogość serce mu przepełnia. Śmiała mu się twarz cała, jakby istnie tam był.

Bał się myślał oderwać, aby nie stracić tej rozkosznej złudy. Tu się prawie że nie czuł — całą uwagę tam przeniósł, chcąc jak najwięcej rzeczywistości wydobyć z marzenia. Wodził się z pasterzami rówieśnymi, starszym docinał ukaśliwymi słowami, a co chwila twarz ku niej obracał, po dary oczu i uśmiechów.

I tak się w tem marzeniu zapomniał, iż ani spostrzegł, jak czas ubiegł. Ocknął się dopiero, skoro uczuł w bliskości sapanie i gorący oddech wołu na twarzy. Kwiaton, widząc go już tak długo bez poruszenia leżącego, przyszedł zaniepokojony obaczyć, co mu się stało.

Wojtuś ze zdziwieniem zmiarkował po słońcu, że już śródmieczarz. Zdawało mu się, że chwilę jeno tam za wierchem bawił. Ze smutkiem stwierdził, że to ino złudzenie było, nie istność. Ale choć z tego rad był, że sporo dnia tymczasem ubyło, i że już prędzej do wieczora zejdzie.

Popędził woły na środek polanki, bo już upału nie było się co obawiać. Usiadł wyżej nad niemi, i rozglądał się po świecie.

Teraz cała dziedzina, rozłożona w dole, która rano radosną krzepkością jaśniała, była — rzecz można — objęta sennem zleniwieniem, zrozumiałem po skwarze południa; lecz już chłodny cień odwieczora trzeźwił ją i przywracał krzepką żywość polom. W wyrazie jej jednak miast radości przebijała się poprzez rumieńce powaga, która szerzyła się zczasem i rosła w surowość, im bliżej zdawał się, po lasach jeszcze z mrokami przygarbionemi sunący, wieczorny chłód.

Powaga pół wieczorna udzieliła się i myślom Wojtusia. Popadł w zadumę — w odczucia nie-

jasne, nieokreślone słowami. Wstawała w nim — jak już nieraz — tęsknota za czemś, co gdzieś jest — być musi — inne, a rzeczywistsze, niż wszystko, co dotąd na ziemi poznał. Serce mu o tem szeptało. W chwilach podobnie świętych wsłuchiwał się w ten szept, ale było to jakby nieme tykanie zegara o wieczności. Nie mógł ani na włos zmiarkować. Czuł jeno, że w tych niemych znakach zakłęta jakaś wieść o skarbie, którego nawet pojąć: życiem-li, czy zatrata dla tego, kto go znajdzie? I stał trwoga, a zarazem ciekawość większa od trwogi — nieraz prawdziwą tęsknotą wstająca... Musi coś być — dumał — ku czemu straszną miał wolę. I dziw — przeczuwał, pewnym był w przeczuciu, że dojdzie — dojść musi! Ani cieniem niewiary nie wątpił. Dróg nie znał. Jedno wiedział: że musi przejść przez „świat“.

Teraz oto, idąc za spadem wód ku północy, oparł wzrok o ostatnie, w sreżodze słonecznej tonące góry. Potąd, po widnokrąg znalazł oczyma kraj. Dalej myślą wybiegał na pola — i niewiadomo, czy pola — nieznane. Czuł, że tam jest ten „świat“. Miał o nim bardzo niejasne pojęcie. Słyszał, że ludzie idą „we świat“, wracają „ze świata“. Nie wiedział jak się tam dostać, jakim cudem — ale ani chwili nie zawątpił, że może do tego „świata“ nie dojść. Więcej — wierzył, że cały ten „świat“ nieznany przejdzie. Tak mu szeptała tęsknota.

Światła, bijące z zachodu, pociągnęły ku sobie wzrok Wojtusia. Z radosnem zdziwieniem ujrzał, jak mu chwile odwieczerza prędko zleciały. Słonko stało już nad Babią Górą i poczęło się zaczer-

wieniać. Cuda przedziwne były, gdy zaszło za smugę mgły. Oto rąbek chmurki zapalił się szczerem, przejaśnie świecącym złotem, a ku ziemi wystrzeliły z poza niej świetliste miotły i rozpuściły pył słoneczny po dolinach. Trwało tak chwilę.

Wojtusowi tej radości jeszcze brak było, że nikomu nie mógł tego zjawiska pokazać, że sam się ino temu cudował oczami.

Wreszcie promienie poczęły się tracić, ognie na brzeżkach chmurki gasły — słońce wychyliło się, ale już mocno czerwone, i widziało się większe, a tak obrane z blasku, że można było czytać w nie patrzeć.

Patrzył też w nie Wojtuś, a co na ziemię wzrok przeniósł, to wszędzie widział słońca, jeno różne: czerwone, żółte, zielone, liljowe... Bawił się niemi, jak dziecko szkiełkami.

Niezaślugo słońce sparło się już na krawędzi ziemi. I wyglądało jak ognista kula, której od dołu zaczęło ubywać... Wnet stało się, jak ognista kopuła... Potem, jak ognisko na widnokręgu... I zaszło.

— Szkoda... — pomyślał Wojtuś, zapominając, jak pragnął wieczora.

Wieczór nadszedł. Zewsząd, jak drozdy na wiosnę, poczęli się odzywać pasterze bydła, śpiewając rozmaitemi głosami tęsknoty i radości swoje. Ożywiły się podleśne pastwiska. Jeno w uboczu było cicho. Tu nikt prócz Wojtusia nie paśł. Woły wszystkie paśły się za wierchem.

Wojtuś zaś jakby głos stracił. Poco — myślał — mam śpiewać, kiedy Kasia i tak nie usłyszy... Z wieczorem wróciła tęsknota ku niej. Patrzył ku wierchowi, czy się nie ukaże, choć

wiedział dobrze, że przecie jeszcze nie może gnać o tym czasie. Zazwyczaj woły zganiano już w ciemną noc.

Wojtuś miał przykazane, aby do nocy nie dobywał, ale nie śpieszno mu było zabrać się, choć tak wieczora wyglądał. Pasterze z pastwisk pozajmowali bydło, pouciszało się, mroczno już było — a on jeszcze z wołami na Płoszczanie marudził. W ubocz pozierał co chwila, czy się nie ukaże. Już i droga we wrębie poczęła ginać w mroku, a on wzrok wpijał aż do bólu... Zdawało mu się czasem, że się ktoś tam rusza — idzie.., pewnie żenie!... Aż serce mu skakało ze wzruszenia. Wpatrzył się mocniej — a to pniak... Tak go zwodziło kiela razy. Wreszcie pomroka zakryła ubocz doznaku.

Rozglądnął się za wołami. Stały razem, obok siebie, oczekujące, nudzące się, szyję na szyi pokładające. Cóż miał robić! Zajął je z ciężkiem sercem i pognął do domu.

II.

Tak zeszedł Wojtusiowi dzień jeden. Takich podobnych dni miał wiele w tem lecie. Nie zawdy jednak słońce i obrazy dalekie zasłaniały mu tęsknotę serca. Miał dni ciężkie posępności, gdy mgły skryły niebo, dni smutku, dni szarej nudy... Miał też i dni strachu.

W jeden odwieczerz, gdy po południu upalnym słońce zaczęło mżyć, Wojtuś, jako znający się już nieco na oznakach zmian powietrznych, rozglądał się po stronach, by zmiarkować, skąd co pogodzie zagraża, i obaczył na północy nad samym widnokregiem ledwo uznany, czarny pas... Ten pas począł się nieznacznie rozszerzać i za chwilę urósł już w dość sporą chmurę. Tem się różniła od innych, z za widnokregu wychodzących chmur, iż równa była od wierzchniej krawędzi, jakby ją kto pod linję obstrzygł, i rozciągała się na całą długość północnego nieba. Barwą też nie przypominała widzianych chmur, bo była cała jednolicie czarna, nawet obrzeża nie różniły się od środka. Jedno powietrzne oddalenie łagodziło tę jej czarność i szarością ją, jako przesłoną lekką, zawłóczyło.

Wojtuś przypatrzył się jej ciekawie i, co jakąś chwilę czem inszem pobawił oczy, znowu ku

niej powracał. Niepokoił go jej wyraz. Bo żeby choć łyskało się w niej, abo grzmiało...

Burzę on już niejedną przeżył. I trudno chyba o gorszą biedę, jaka mu się przydarzyła przed kilku rokami. Paśł woły na odległej polanie. Na noc miał woły zostawić, a sam do domu przyjść. Skoro je pod wieczór do koszara zawierał, usłyszał w chmurach od zachodu pomruki głuche. Nie zważał na to i poszedł — zdawało mu się, że zejdzie z gór, nim się chmury oddalne przywleką. Ale burza krokami milowemi stąpała. Zastała go jeszcze na wierchach. I przyniosła z sobą taką noc, że ani ziemi pod stopami uznać. Wojtuś też drogę stracił i szedł instynktem przez ubocz. Co się łysnęło, to parę kroków stąpił. Zresztą szedł poomacku, na domysł. Pioruny były co chwila — ogień się snuł przeraźny — raz jednę roztrzaskało blisko — widziało mu się, że nie ujdzie żyw. Zmówił wszystkie pacierze, jakie umiał — wreszcie zdrętwiał doznaku i szedł naślep — bez pamięci. Kieło razy przepadł przez łąmy, stoczył się — ani zrachować. Osatał się dopiero, gdy równinę uczuł pod nogami. Burza też mijała. W brzasku od smugi jasnej, przetartej na zachodzie, dojrzał znajome podleśne osiedle. Po północy już było, gdy doszedł do domu. Matka nie spała — modliła się, strwożona w sercu o niego.

Więc Wojtuś burzy się nie bał. Jenó niepokoiło go nieznane: co w tej chmurze dziwacznej może się znajdować?

— Chmura gradowa — dumiał — inakszy ma wygląd. Jest rdzawa, abo ceglasta, i górą się niesie, wysoko ponad ziemią. Szum od niej już zdaleka

słychać. Słota też w taki sposób nie nadchodzi. Bo naprzód lecą oderwane mgły, jako posłańce... A tu nic z tego wszystkiego.

Przybliżała się jak potwór czarny — bez kształtu jak noc... Już zatopiła góry widnokręgu i sunęła wyraźnie w tę stronę... Wojtuś już ani na chwilę nie odrywał od niej oczu. I coraz bardziej się trwożył. Nigdy jeszcze nic podobnego nie widział.

Skoro już zatopiła dolinę Raby i bliższe pagóry, Wojtuś wyraźnie zauważył, że ma kształt czarnej, prostopadłej ściany... równej i przeogromnej, od wschodu do zachodu... I cicho sunie, jak noc.

Strach go objął. Popatrzał po wsi — i widział, że wszystko, co żywe, równie się strwożyło. Ludzie, pracujący zdala od osiedli, bieżeli wartko ku swoim chałupom, pasterze zajmowali bydło z pastwisk i z pośpiechem gnali ulicami... Podobnie jak przed burzą. Wszyscy widzieli zbliżającą się czarną noc, ale że byli na dole, w kotlinie, nie mogli widzieć tak wyraźnie, jak on.

Pomyślał w strachu, czy nie zająć wołów i nie pognać do chałupy. Ale wnet pomiarkował, że za późno. Spotkałoby go na drodze — to już niech raczej tu go spotka, co ma spotkać. Tu chociaż krzaki są... Obejrzał się za schronieniem. Nic przecie nie wiedział, przed czym ma się chronić i jak... Co za tą ścianą, czy deszcz, czy...

— Cóżby inszego być mogło? — pocieszał się. Ale strach mu podszeptował przypuszczenia najgorsze.

Oczyrna strwożonemi śledził ruch sunącej ściany — i lęk w sercu jego wstawał... Nie wie-

rzył, żeby tak chmura szła... To idzie coś okropnego...

— Czy może to... koniec świata? — pomyślał z dygotem serca.

A ścianą sunącą noc zatapiała już dziedziny w dole. Na co zaszła — traciło się doszczętnie. Widziało się, że ta ściana miażdży i chłonie, co napotka.

Teraz zbliżała się szybko. Wojtuś z przerażeniem obaczył ją już naprzeciw — blisko... Niby okrutne widmo śmierci. Pomyślał w mgnieniu jednym z jakąś żalością poddaną, czemu nie są razem z Kasią... Czuł, żeby się łatwiej poddał, co bądź przyjdzie... Teraz ogarnął go lęk nad lęk. Padł na ziemię kolanami i począł mówić pacierz z wiarą przedśmiertną, gorącą...

.

Ocknął się w nocy zimnej — we mgle tak gęstej, że krzaków bliskich nie mógł dojrzeć. Mgła, pełna mroźnych igiełek, pędziła szybko z północy.

III.

Nareszcie doczekał się Wojtuś dni marzonych, do których przez tyle czasu tęsknotą wybiegał. Na polanach rozpoczęły się sianokosy.

W dzień Matki Boskiej Zielnej pierwszy raz w tem lecie pozwolił mu ojciec pognać woły za wierch.

Z jakąż radością tajoną zbierał się! Już o świcie wstał, przygotował se nowe kierzce, onucki białe, koszulę cienką, chazukę wyszywaną i kapelusz ze wstążką czerwoną. Dzień się pogodny zapowiadał, to matka nie broniła mu odświętnego wdziania. Wystroił się, jak za družbę.

Śniadania mało co tknął, ino placka wziął kawalek, gruszek-kiermasznic wsypał do rękawa i pognał śpieszno.

Przygwizdując sobie wesoło, gnał ku uboczy drogą, którą Kasia codziennie ganiała. Już to samo, że tą stroną gnał, radowało go nad miarę.

Gdy był z wołami na wysokości Płoszczany naprzeciw — zaśpiewał ku niej wesoło:

„Hej! Płoscano, Płoscano,
Zieleń-ze sie, zieleń —
Bedzie pasał na tobie
Swoje siutki jeleń...”

I gnał w górę ku wierchowi, a co chwila obzierał się nadół, czy Kasia nie żenie. Świat mu

się poniżył w dole. Dość spore góry widziały się mu stąd pagórkami, a pagóry okrągłe — ledwoznaczniemi wzniesieniami. Jakby po schodach wstępował ku niebu, tak mu się ziemia w niniejszą ścieliła...

Skoro z wołami przechylił się za wierch, dopieroż radość pełną naszedł! Otworzył się mu jakby inszy kraj — kraj niezmaconej swobody.

Na polanach rozwlekłych, wieńcami buczyny młodej okolonych i rzadkiemi kępami smreczków jak i jedlic, widniały długie pokosy, gdzie niegdzie już nawet kopy siana, a w częściach nieskoszonych przedziwne łąki trawiaste, pełne kolorów mieniących się: błękitnych, złotych, liljowych... Wszystko to w pełnych blaskach słońca — w krzepkim uśmiechu rannym... Patrzącemu aż serce wyrywało się z piersi radosne a nogi same szły w taneczny ruch.

W podskokach biegł za wołmi, gzijącemi się po polanie, wreszcie, porwany przez swobodę, padł na miękki, rozgrzany pokos i tarzał się po trawie... Nie wiedział już, co z radości począć.

Za chwilę wygnał woły na polanę Jasiek z Brzyzku, starszy od Wojtka o roków pięć. Przywitali się wesoło:

— Nie widziałeś, kto zenie za tobom?

— Nie widziałech.

W krótkości opowiedzieli sobie swoje niebogatą sprawę.

— Kaś do tela paś?

— Na Płoskanie. A ty ka?

— Pod Wasielką. Ale i tu ku krajom wychodziłech z wołmi...

— Mnie nie dali.

— Jaby ta słuchał!...

Wojtuś zawstydział się. Chciał uchodzić za parobka, co ma swoją wolę, a tu się sam potknął. — Juz ani razu nie pozenę na Płoscanę — przysięgał se w duchu.

Znowu kilka par wołów wychyliło się z za wierchu. Na polanie uczyniło się gwarno i głośno. Pohukiwania, przyśpiewy leciały w roztokę. Pasterze cieszyli się pogodnym dniem i sobą, że ich tyle zebrało się razem. — Była już gromadka spora, i to w różnych leciech. Prócz Wojtusia i Jaśka byli tam jeszcze: Józek Cudzin, Łukasz z pod Trześni, Hanka od Zapałów, Kasperek mały Zajęcyu, i wreszcie Jędrak z Doliny, najstarszy pomiędzy nimi. Ten też miał się już za gazdę i kazował se inszym woły nawracać. Choć go ta nikto bardzo nie śpieszył się słuchać.

Nareszcie ukazała się i Kasia z wołmi.

Jak się zjawiła na polanie, to widziało się Wojtusiu, że słońko jeszcze pojaśniało — tyle wesela przyniesła.

Z początku z nieśmiałością niejakaś patrzył w nią — nie widział jej już dawno zbliśka — lecz pomału począł go śmiech jej przyośmielać. Widział też, że równie szczerym śmiechem przyjmuje żarty i docinki pasterzy, jak i przychlebne ich słowa.

On też wszystek śmiech jej przerozkosny brał bez uszczerbku oczami, ku swemu szczęściu obracając go, jako to słońce, i snuł się za nią, gdzie stała. Nic poza nią nie widział.

Skoro sposobność nadarzyła, że pasterze rozeszli się za patykami po kraju, aby ogień upalić na obiad, i Wojtuś został sam z Kasią, wysypał przed nią gruszki z rękawa.

— To la ciebie — rzekł nieśmiało.

— La mnie?

— Bo wy nie macie gruszek... a u nas są...

— Toś dziś utrząś?

— Dziś.

Brała po jednej, jadła i śmiała się w przestankach. Wojtuś był już pół w niebie.

— Ja ci jeszcze jangrestu przyniesę! — obiecał.

— To macie jangrest?

— Nie. Ale ja wiem o nim. Rośnie w brzegu nad Płoscaną... Ino tam żmije są...

— Nie bois się to?

— Co się mam bać!

— Cie! Jaki śmiały! — chichotała.

Wojtuś, całkiem już przyzośmielony, postanowił odważnie powiedzieć jej... Ważył w myśli: co — jak... I z drżeniem ledwo spytał:

— Widziałas mnie, jakich pasł na Płoskanie?

— Ba, dyć nieraz.

— I ja cie tyż widział... codzień... jakieś gnała...

Więcej jej nie umiał powiedzieć. Wszystko to już zresztą przeszło i nic z tego niema. Teraz radość w sercu z jej widoku wszystko przykryła. Słowa zbytnie.

Patrzył w jej oczy bijące weselem, w jej usta rozchylone jako kwiat do słonka, i strasznie dobrze mu było.

— Coz tak patrzys? — śmiała się. — Jesce mie urzeknies...

— To odcynię...

— Byś umiał!

— Naucę sie od ciotki...

Śmiała się, szczerze rozbawiona, a Wojtuś już w niebie widział się cały.

— Ale jakiś ty wystrojony! Ładnie ci w tym kapelusie. Jak druzba.

— Bedzies mnie na druzbę prosić?

— Bedę. Ino rośnij wartko.

— Coz to — ja mały? — Dźwignął się i stanął przed nią, podwyższając się na palcach.

Józek, który wrócił z kraja, skoczył i oblapił go ramionami za pas.

— Spróbujmy sie!

Poczęli się szermować i wodzić po trawniku. Długo żaden żadnego zmóc nie mógł. Józek był teższy w sile, bo i starszy, zato Wojtuś znał sposobów więcej. Skorzystał też z momentu, gdy Józek przegiał się nieco wtył, poderwał mu sposobem nogę i obalił go na plecy. Jeszcze leżąc na jego piersi, podniósł głowę i spojrzał z triumfem na Kasię. Kasia śmiała się głośno, wielce ubawiona.

Przypadli pasterze insi, i poczęły się wodzenia kolejne. A wszystko przed obliczem Kasi. Śmiech jej dzwonił bezustanku. Każdy w sercu swoim dufał, że się z jego przeciwnika śmieje.

Ustali dopiero, skoro się Jędrak z Doliny wmieszał pomiędzy nich. Z nim nikto nie chciał się za pas próbować, bo choć mocniejszy, krzywdę lubiał czynić.

Obiad jedli pospólnie, a potem z wołmi szli krajami, aby się na noc napasły.

I Wojtusiowi mignął dzień jak we śnie.

Odłączywszy swoje woły, gdy na wieczór do dziedziny zeszli, gnał je ku ojcowskiemu osiedlu i rozwijał w pamięci barwne wstęgi dnia. Jeszcze na oczach stały mu obrazy, śnione w słońcu — jeszcze w sercu czuł radosne szczęście — jeszcze w uszach dzwonił mu śmiech Kasi. Ten śmiech przedziwny, pełen barw i dzwonków cudnych...

Pewnym był, że do niego radziej śmiała się niż do innych. I nie było we śmiechu jej drwienia, jakiego innym nie skąpiła...

Jeden cień ino... Zauważył przelotnie u niej jakieś porozumienie oczami z Jędrkiem z Doliny i uśmiech inszy... Ale to pewnie przezdalo mu się tylko.

Z błogością myślał, że jutro, pojutrze będzie znów widział te oczy, wesela pełne, i ten darzący śmiech.

IV.

Pogoda przez resztę sierpnia trwała. Wnet pokoszono pozostałe łąki i suszono wilgne jeszcze siano.

Pasterze mieli uciechę. Na polanach ludno było, jak w czasie zbiórki we wsi. Gzili się z dziewczętami, pomagali im przewracać siano, raczej przeszkadzając niż pomagając w robocie, i nosili się ze śmiechami od kraja do kraja. Wołów pilnować nie trza było — miały ślebodne hale paszy.

Wojtuś naprawdę pomagał ludziom przy suszeniu, z tem większą ochotą, że to nie z przymusu, ale z wolnej własnej woli. Grabił siano, przewracał, znosił do kóp, związał się, aż mu pot zalewał oczy. Co jedni skończyli suszyć, szedł ku drugim. I tak od rana do nocy. Nieraz, uzniony i umęczony docna, praskał na ziemię w cień — ale za chwilę zrywał się i biegł z podskokami ku grabiącym, jak jeleń do wody. Radzi mu też byli wszyscy, chwalili go za prędkość i za sposobność w robocie, a on się uśmiechał z dumą i niósł się, jakby w tańcu. Dwoiła się w nim siła na myśl, że robi na oczach Kasi.

Za kilka dni siano wysuszono. Coraz ktoś wyjeżdżał z wozem i brał z kóp wysuszone. Kopy

rzedniały, traciły się nieznacznie. I pasterzy mniej było teraz na polanach jak i wołów — zwożenie odrywało.

Jednego rana wywiózł wóz Jasiek z Brzyzku. Mieli i oni tu siano. Roztrząsł kopy z pomocą Wojtusia, by przeszło z nocy. Ojciec Jaśka wyszedł na odwieczerz i poczęli brać. Pasterze zeszli się ku nim — był między nimi Jędrak z Doliny, była i Kasia, ale pomagać nie było co. Siana prawie było na wóz. Ojciec przygrabywał, Jasiek stał na wozie, a Wojtuś mu podawał. W czasie tego prześmiewali się, przegadywali ku sobie. Najwięcej podrwiwał Jędrak z Jaśka.

— Żle kładzies! Na jednostronkę...

— Jak ty bedzies gazdą, to mie naucys! — odcinał Jasiek.

— Założę się, że ci sie przewróci!

— Poślę po ciebie, cobyś dźwigał. Bo sie scycis, żeś mocny.

Pasterze śmiali się — najgłośniej Kasia. Stała nad wozem, na pagórku. Chustka jej spadła na ramiona — włosy rozłoczyły się dokoła głowy.

Wojtusiowi, pozierającemu ku niej z poza wozu, cudem się zdała, nie prawdą. Odurzonemu już pachnością siana, głowa się zawracała. Ale trzymał się mocno, tężył siły i z zapalem podawał na wóz Jaśkowi kłęby zbitego siana.

Jasiek odbierał, układał koło leter i deptał nogami.

Skoro już nakładli ponad letry i piętrzyć poczęli nod paważ, Wojtuś nie mogąc dostać rękami — jako że wóz stał na pagórku, a on z dołu podawał — wziął ostrew (zwyczajnie kół oszczędzony, na którym siano suszono) przystawił z dołu

do wozu i po sękach jak po drabinie wychodząc, podawał dalej Jaškowi.

W pewnej chwili Jędrak, do krzywdzących ino śpasów zdalny, kiedy Wojtuś stał u wierchu, poderwał ostrew z pod niego — i Wojtuś spadł na ziemię. Szczęściem nie na ostrew, bo na jej sękach twardych mógłby się być istnie przebić. Nic mu się złego nie stało, ale się zląkł mocno.

Zerwał się rozzłoszczony i skoczył do Jędrka. Ten, będąc jeszcze w górze, odepchnął go tak mocno, iż Wojtuś padł nawznak i głową jęknął o trawnik. W tym momencie usłyszał śmiech Kasi...

Ból i wstyd większy od bólu zaćmiły mu rozum. Nie władał sobą. Porwał się z ziemi w strasznym gniewie — jak przez mgłę dojrzał porzuconą rąbanicę, którą ojciec Jaška pawaz wystroił. Schylił się po nią i rzucił się ku zdrętwiałemu z przestachu Jędrkowi...

W te razy Jasiek hipnął z wozu i dołapił go za rękę w chwili, gdy już miał się zamachnąć...

Wojtuś naraz osłabł w sobie, usiadł na ziemi i długo jeszcze dygotał w sercu ze wzruszenia.

*

Kasia odtąd przestawała się śmiać, gdy się Wojtuś zbliżał. Próżno wyglądał dawnego jej śmiechu.

*

W jeden wieczór zganiał woły nadół. Gnał sam. Pasterze z polan już pognali. On zabawił się jeszcze przy koszarze.

I gnał z góry uboczą przez wrąb, w widnym jeszcze pobrzasku, padającym od zorzy zachodu.

Z wrębu droga skręcała w przylaski, na zakręcie zarosła trawnikiem.

Darń tłumiła stapania wołów, i on też cicho szedł za niemi.

Przechodząc koło przylasku, rzucił okiem w głąb i w zdziwieniu zatrzymał się. W żrocznym odbrzasku pomiędzy smreczkami dojrzał dwa łyse woły... Przyjrzał się lepiej — istotnie — woły Kasi...

— Przecie już spora chwila, jak pognała. Czyby czekała tu -- na niego?

Serce zabiło mu z radosnego przypuszczenia. Cicho podsunał się — odchylił gałęzie smreczków i — cofnął się czem prędzej.

Obaczył Kasię — w uścisku z Jędrkiem z Doliny...

Zbiegł prędko za wołmi, które już niżej zeszyły, i gnał do domu. Wstyd jakiś bolesny czuł w sercu. Napróżno silił się go pozbyć. Smutno mu było bardzo, ciężko i czegoś żał...

Raz — pamięta — ale to już bardzo dawno — podobnie żał mu było nowiuteńkiego kapelusza, co mu ojciec kupił, gdy się nieszczęsnym przypadkiem na środku przepalił.

*

Nazajutrz, żenąc woły w górę ku uboczy, skręcił, i choć mu teraz ojciec nie kazował, pognał paść na Płoszczanę.

OPOWIEŚĆ O PŁANETNIKU.

Zwątpiwszy całkiem w oświatę, jaką z miest przez kalendarze i insze „macierze polskie“ gwałtownie raz do roku (niby w śmigus pachnącą nieczystość) na łby nieuczesane rozlewano, w pewnej wsi niebardzo znanej, która jeszcze nie wy-marła doznaku na tyfus, gazdowie, trapiący się po próżnicy życiem i szukający nadaremnie jakiegoś oparcia, zgromadzali się wieczorami w izbie mało jasnej i oświecali się sami (dziwny sposób) przez różne z życia opowieści, jakie zwyczajnie ogólnej uwadze jeden lub drugi podawał.

Więc w jeden wieczór Szymek z Końca taką opowieść przytoczył:

„Niedaleko od nas, bo koło Góry św. Jana, ludzie dobrzy, zamożni, których tam zwią kmiecie, chowali sobie w domu planetnika, i czuli się bezpieczni przed burzą: nie obawiali się już, że im grad zboże poniszczy, ulewa ziemniaki spłócze, bo ich o tem zapewnił sam, gdy go w gościnę radzi przyjmowali, chociaż — można rzec — z nie-jaką obawą, jaką zwyczajnie człowiek zwykły czuje przed takimi.

Ciekawiście, jak wyglądał ten ich chowany planetnik? Był to panek dość zgrabny i w odzie-

niu czarniawem, jakie sie na panach widzi. Zresztą nie miał napoziór nic dziwnego w sobie. Przyszedł raz do nich, jak wędrownik i na pytanie: co robi? czem sie zajmuje? — powiadał, iż burze zażegnuje. „Któżby inszy mógł być, jak nie planetnik?“ — dumali, i przyjęli go ochotnie w gościnę.

No i pomału, z dnia na dzień oswajali sie z nim jakoś, i tak się wreszcie doń przyzwyczaili, że już nie czuli nijakiej obawy przy nim, natomiast mieli w sercach raj i spokój taki, jakiego nigdy przedtem nie mieswali.

Zazdrościli im wszyscy ludzie dookoła i pewnie byliby im tego planetnika obietnicami do siebie zwabili, gdyby ich ta myśl nie cofała, że gdy burza nadejdzie, a on ją zażegna, to przecie i ich grunta sie przytem ocala, jako o miedzę sąsiednie... A tak sie i skorzysta i kosztów sie nie poniesie żadnych na chowanie. „Niech sobie go tam chowają“.

Chowali go też ci kmiecie, czem mogli najlepszem, bo i grymaśny był bardzo. Jajecznice mu smażyli, zacierkę z bielutkiej mąki na mleku słodkiem przyrządzali, no, słowem, miał opiekę — jakby wam jaśniej przedstawić? — ani pleban nie ma takiej od swojej gospodyni. I szanowali go wszyscy, nawet czeladź; gdy spał w świetlicy, to na palcach przez sień chodzili, drzwi, które skrzyślały, w piekarni nie dowierali, kury gdaczące na ten czas z kojca wynosili, świń o tym czasie do izby nie puszczali — nikt chyba już tak nikogo nigdy nie szanował.

I dobrze temu planetnikowi tam było — sam nawet mówił, że mu dobrze. Całemi dniami nic

nie robił — święty miał czas — wsze święto. Jenó czasem przychodziła na niego planeta. No, zwyczajnie u planetnika. Cóż się dziwić? Najczęściej, gdy mgły schodziły od wierchów w doliny. (We mgłach on jeno lubiał chadzać). Wtedy szedł w pole w swoim wietrznym płaszczu — i kto wie, co tam nie robił — bo sie bali za nim daleko w pole wyzierać. „Swoje sprawy czyni“ — powiadali. I dowiadawali się wieczorami od wystraszonych pasterzy, iż mgłę do torby brał i nosił ją na wierch wysoki — tam, jakby w chmurze, kule ze śniegu robił i tulał je, bawiąc się niby, nieraz do śródwieczerz — to znowu, iż w potoku wodę kijem bił dotąd, pokąd sie w lód nie ścięła — i insze jeszcze dziwne historie.

Po takich pracach gdy wracał, zmęczony był bardzo. To też czem pilniej stroili mu, co mieli jeno najlepszego. Jadł i spał potem, a ludzie byli spokojni.

I tak czas święcie mijał, przechodziło już i lato, a o burzy ani słyhu. Nigdy sie tak szczęśliwie żniwa nie zapowiadały.

Poczynali sie już i ludzie dalsi zwiadywać (bo słyna szła) o tego planetnika: czyby do nich na zimę nie przyszedł, dumając w swych rozumach, że owi kmiecie, którzy go chowają, chętnie go na zimę puszcza, (jako że w zimie o burze obawy niema), a oni już — co stracą, to stracą — to, zimując go, na lato sobie zapewniają jego opiekę i wdzięczność — może i na dalej — kto wie — przyszłość taka niepewna...

Ale owi dobrzy ludzie ani przykładać sobie do myśli nie dali, iżby mieli pozbyć sie takiego drogiego gościa. „Już my go tu i wyzimujemy“ —

powiadali. Za nicby sobie tego spokoju nie dali odebrać, jakim ich napawał on, w domu ich bawiący. „Oto jak życie życiem, takiego lata cichogo nie było. Co sie zamgli na niebie, to sie rozpogodzi. Wszystko, dzięki jemu (dawniej: dzięki Bogu) rośnie i bez szkody na polu dojrzewa. Co to, widzicie, znaczy mieć moc albo władzę... A co to znaczy mieć taką władzę u siebie!“ Już poczynali się pysznić „swoim planetnikiem“, jak go po domowemu przed obcymi zwali.

I w takiej spokojności świętej czas upływał, żniwa sie wolno poczynaly. Ludzie sie nie śpieszyli ze żniwem, jak po insze roki, gdy trza było kraść czasowi ze rzadka sposobne chwile. Wdzieli same pogodne dni przed sobą.

Aż tu jednego przypołudnia przybiegła służąca, która na miedzy na wzgórzu trawę krowom do podoju żęła, i zadyszana powiada, iże słyszała grzmot w chmurze. Zrazu nie wierzyli jej i wyszli słuchać. I obaczyli na oczy czarną na zachodzie noc woddali wielkiej i usłyszeli echo głuchoe przetaczającego się po niebie grzmotu. Zatrwożyło ich to trochę, więcej jednak ze zwyczaju, niż z prawdziwej gazdowskiej obawy o siana. Przecie chowają planetnika. Weszli napowrót do izby, a przechodząc przez sień, zajrzeli przez szparę do świetlicy, aby się upewnić w sercach, iż on jest w domu, i obaczyli go śpiącego, więc tem spokojniej posiedli na ławach swoich. Ba — po niedługim czasie odgłos grzmotu do izby doleciał, i ściany nawet, widziało sie, zadrżały przy tym odgłosie. Nie mogli długo usiedzieć spokojnie i znowu wyszli patrzeć. Czar-na noc zbliżyła sie — widać było wyraźnie ko-

tłujące się ceglaste chmury. A w tych chmurach tak szumiało, jakby tysiące ptaków gdzieś górą leciały, albo jakby się potoki zeszły w jeden huczący wodospad. Groza szła od tego szumu. A tu już i błyskawice oczom się pokazywały — różne łańcuchy ogniste i krzyże — i grzmot się toczył bezustanku. Wtedy poczęli mówić między sobą: „Trzaby go zbudzić“. Ale żadne nie miało śmiałości iść, żadne nie chciało pokazywać trwogi. Wkońcu, widząc już, że niepeć, że chmura już pół nieba zajęła, zdecydował się sam kmieć i wszedł nieśmiało do świetlicy. Płanetnik już nie spał. „Też róbcie jako“ — począł kmieć z jękiem — „bo widzicie, co się dzieje“...

„Widzę“ — odrzekł płanetnik — „Macie zaraz tu na oknie położyć pięćdziesiąt koron“... I począł się powoli zbierać.

Kmieć miał się zapytać: naco? — ale odłożył na później, by się przez to pytanie jakie zło nie stało. Poszedł posłusznie do komory, przyniósł pięćdziesiątkę i położył ją na wskazanem miejscu.

Spokój, z jakim się płanetnik ubierał, wlał napowrót wiarę w serce kmiecia — wyszedł uspokojony, zwołał domowników do izby, gdzie znowu na ławach posiedli i w spokojności serc swoich czekali. Dawniej byliby, trwogą ogarnięci, szukali dzwonków loretańskich, chleba św. Agaty, mąkę na ogieńby sypali, a gdyby to nie pomogło, to popadaliby na klęczki, zamknawszy pierwaj wszystkie drzwi i okna, i wołaliby w ostatniej ufności, w płaczu ogólnym: „Święty Boże!“ A teraz nic im z tego wszystkiego na myśl nawet nie przyszło, jeno pozierali z ciekawością przez uchylone nieco drzwi piekarni, których

umyślnie ktoś nie domknął, ku świetlicy: co on tam robi, czy już czyni, czy już zażegna...

A planetnik, ubrawszy się, schowawszy ową pięćdziesiątkę i pozbierawszy rzeczy swoje, których nie miał wiele, bo jeno kij, torbę na mgłę i ów płaszcz wiatrem podszyty — stanął, pomyślał trochę — i wyszedł. Widzieli go, jak wychodził, i choć ciekawość ich rwała, nie mieli odwagi za nim na pole iść. A już czas był najwyższy, bo burza była już tuż prawie...

Moiściewy — jak przyszedł grad, to zbił tak wszystko doznaku, że nie mieli ludzie dobrzy co po gradzie zbierać. Wytrzepał wszystko doimentu!

Takiego sie to cudu z niego dochowali“.

Długie po tej opowieści Szymka nastąpiło milczenie. Gazdowie kurzyli fajki, wzdychali głośno, rozważali. Wkońcu Cyrek od kościoła, siedzący najdalej w kącie, wyjąwszy fajczynę z zębów, splunął i odezwał się cichawo, zwolna:

— Ono ta tak... I dziś są tacy planetnicy, którzy sie tem przechwalają, że burzę potrafią zażegnać, gdy padnie. A lud ich chowa. Ono ta tak...

I znowu się cicho uczyniło. Jeno sapanie ciężkie a pykanie z fajek słyszeć było. Nikto z nich jakoś nie myślał już nowej podawać opowieści.

O WOJTKU, KTÓREGO NA SZCZEPANA PRZEKRĘCILI.

Sam o tem, już jako Szczepan, tak ludziom dobrym opowiadał:

„Dwóch nas matusia mieli. Było tam jeszcze coś, jak powiadali, ale to sie nie doczekało chrztu świętego. Mnie było Wojtek na imię, a bratu starszemu Szczepan. Tatuś pomarli zawczasu, i my z matusią gazdowali. Szczepanowi przyszły roki, że musiał stajać do odbiórki, i za drugim razem z wiesną odebrali go do wojska. Miał już na jesień iść. Ale matusia nie chcieli, żeby on do wojska poszedł, bo im sie widział bardziej niż ja przy gospodarstwie potrzebny i kochali go bardziej niż mnie, już od samego czasu. I jak wzięli chodzić do powiatu, do urzędów, do wójtów, do pisarzów — jak wzięli kręcić i kręcić — tak mnie na Szczepana przekręcili... I, jako niby Szczepan, musiałech do wojska przystać“.

Nie wiedzieć zgoła, jak mu tam przy tem wojsku było, bo na jego opowieściach trudno się opierać, — dość, że trzy roki uczciwie do końca wysłużył i do wsi po zwolnieniu ze służby powrócił.

Ale — jakby mu tam co złego zadali — już się chałupy nie trzymał. Jakgdyby go coś odbiło

od domu... Marsze odbywał, krótsze albo dłuższe, zależnie od dnia i pogody — pasterzy, gdzie napotykał, zawzięcie „egzeczyrował“ — lecz najochotniej rad biegał po polach, nie bacząc zgoła na szkody, a gdy mu kto zwracał uwagę, co robi, odpowiadał, stanawszy „podług rozkazu“, że „ce-sarskie manibry“ odprawia.

Omijali go gazdowie i dużych piekieł nie robili mimo tych szkód, jakie im się w oczach dziesiątniły; czasem ta jeno niektórzy kijem go przegnał sękatym na przestrzeń swobodniejszą.

Jeden błąd jeszcze miał w rozumie, jakiego dawniej u niego ludzie nie widzieli: noża się ogromnie strachał. O czem gdy się młodzież we wsi, jak zwykle lekkomyśląca, zwiedziała, już nie miał od niej spokoju. Wszędzie go temi nożami jak psi szczekaniem zająca, pędzili.

Widzą go, idzie poprzód się.

— Józek, podejno tam noża!

Wchodzi za próg do izby — to już nóż na pasku ostrzą. Nieraz nie zdołał „pochwalony“ rzucić, tak wartko w pole nawracał.

Najchętniej też trzymał się otwartego pola, gdzie mógł przed zasadzkami ująć łącno — tak doznaku, jak zając płoszony. I najczęściej w tej wolności po szopach nocował, a latem to i pomiędzy żytami, bo gdzie jeno na nocleg do osiedli zaszedł, w te pędy odstrachali go temi nożami.

Nie mówi się już o siekierze. Siekierę gdy obaczył, to mało iż ze skóry nie wypadł — tak się jej widoku lękał. I wogóle wszelakie ostre żelaziwo, które on „bronią“ nazywał, tak go okrutnie strachało. Kto miał tę „broń“ przy sobie, to już nie był dlań człek ze wsi, już go nie po-

znawał nijak; był to w jego wyobraźni wróg jakiś, na życie jego nastający.

I gdy go kto zastraszył, tak się zmieniał, że prawie nie tym był Szczepanem... jakby go co w tym strachu znów na inszego przekręcało. Oczy wyskakiwały, twarz bladła, a mowa mu się tak przeinaczyła, że niktoby go po niej nie rozpoznał; nawet słów dobierał inszych, niż we zwyczajnej gwarze.

Straszony dziczał pomału, dróg się już ludzkich nie trzymał, więcej polami chodził, ulicami, któremi bydło goni się na paszę. Lecz i tu nie był doznaku bezpiecznym.

Zdarzyło się raz: szedł ulicą krokiem żołnierskim, wymierzonym, aż tu słyszy przeraźliwe: „Stój!” i widzi przed sobą rycerza (każdy chłop wyższy rycerzem mu się wydawał), jak wyjmuje broń (kozik) z za pasa i zbliża się złowrogo ku niemu. Szczepan zmiertwiał z przestachu. Poczem zwyrtnął się nazad i w ucieki... Ba — z tej strony jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Oto jedzie jakiś rycerz czterema siwcami (chłopina wioził widać z lasu ścielę byczętami) broń na ramieniu dźwiga (siekiere pewnie, jak z lasu) i wyraźnie niedobry zamiar ma w umyśle. Szczepan już nie wiedział teraz, co ma robić. Ulica owa była wąwozem głębokim i jeszcze płotem ogrodzona. A tu z dwóch stron nieprzyjacieli... Zastanowiwszy się mało, zwrócił się znowu ku pierwszemu. Ten, widząc trwogę Szczepana, podnosi głos straszny: „Tu musisz zginąć!” i wywija bronią. Szczepan w niebezpieczeństwie ostatniem zbywa się trwogi, pada na kolana i poczyną słowami miękzyć serce wroga. „Wiesz ty... ja

twojej ojczyzny bronił! Ja krew la ciebie przelewał! O mało żem w stu bitwach nie zginął... Czy ty to pojmujesz? Uderz w pierś moją (tu odsłonił rękami koszulę), jeżeli masz serce... uderz! Tu tysiąc kul mierzyło... A te rany (pokazał sińce na ramionach), wiesz, la kogo te rany? La ciebie! Tak, szlachetny rycerzu, la ciebie i la ojczyzny twojej! Masz sumienie?"

W tem podobieństwie jeszcze długo mówił, aż chłop, od śmiechu już zesłabły, przepuścił go ulicą.

I niejeden raz podobnie się zdarzało.

Czasem jakaś litościwa gaździna, u której nie było nikogo takiego, coby go „bronią“ odstraszał, przyjęła go do domu na czas jakiś — to robił, pomagał jej całem wdzięcznem sercem, i nie widać było po nim, aby mu co w rozumie brakowało. Ale niech jeno kto przyszedł i z żartu nóż mu pokazał — już go nic nie utrzymało. Uciekł w pole i już się nie nawinał.

Do spotkanego kogoś, kto mu wyrzucał słowami: „Nie dobrze ci tam było? Nie mógłś tam ostać?“ lub podobnie inaczej, powiadał:

— Ani człek wie, moiściewy, co go może trafić. Gotowi zarznąć... co myślicie!

— Bajże, baj! Ktoby cię ta zarzynał! Coby komu z tego przyszło?

— Ho! Ani wiecie, co kto myśli. Cóż przyjdzie z tego ludziom, że biją inszych? A biją...

— Bo jak kto zawini... Ale ty, cóż komu wadzisz?

— Nic nikomu nie wadzę. Ale któż wie... Czasem człek nic nie zawinił, a karzą go. Nie-

rozum sie nie pyta, ba bije... na śmierć bije! Tak. Ja to wiem dobrze.

— Cóż ty, człowieku, możesz wiedzieć? Cożeś ty podżył na świecie gorzkiego?

— Ja nic nie gadam. Co wy chcecie? Możeście wy szpieg jaki? Co?

I nie czekając wyjaśnień, umykał jak zwierz, gdy dojrzy zasadzkę.

Nieraz też któraś z kobiet, bo go te jeno li-towały, zapytała go:

— Jakże ci tam, Wojtuś, przy tem wojsku było?

On na to z pewną przechwałą:

-- He, he! Ja już nie Wojtek! Ja Szczepan!

— No to, Szczepanku... jak to tam przy tem wojsku było? Opowiedzno nam choć nieco...

Nie dawał się długo prosić, ochotnie opowiadał.

— Raz nam kazali zabrać wszystko, całą zbroję swoją i masierować na manibry, bo tam nieprzyjaciel czekał. Zebrali my sie wartko, coby nieprzyjaciel tymczasem nie uciekł, i szliśmy ciągiem polami, obchodząc drogi zdaleka, aby go zająć znienacka. Śpieszyli my sie strasznie, ale i to sie widziało jednorządom, co za nami na koniach jechali, że za pomału idziemy, bo nas co chwila przynaglali, a czasem kazowali biec, co sił wystarczy. Niejeden słabszy nie wytrzymał, bo i upał był okrutny, zwłaszcza, jak przyszło iść po piachach, gdzie nogi wiały po kostki. To też dużo poostało, i zbierali ich na wóz. Ale my reszta szliśmy wytrzymale, bo cóżby sami jednorządom z nieprzyjacielem robili, jakby my wszyscy poostali — aże doszli my do jakiejś wsi, gdzie nam

kazali przenocować. Dali każdemu numero i kazali nam kwater podług tych numerów szukać. Poszedł ja szukać tej swojej kwatery — ale czy ja to numera znam? Nałaziłem się jeno po próżnicy i wreszcie — coż było robić? noc już przysiadła domy, i kwater nie było widać — poszedłem w pola między żyta i położyłem się spać w całej zbroi. Zbudziłem się dopiero, skoro na zbiórkę rano zatrąbili... Zerwałem się co tchu, zdyszany przylatuję i staję w rzędzie za innymi... Starsi mię zawołali... Nie wiem, co im się na mnie nie widziało — czy to, że mnie rosa przysiadła, czy co insze — bo mię opatrowali dookoła i potem bili, aż... wstyd mówić... Nierozum ludzki, i telo powiedzieć. Bo cóż ja im zawinił?

Drugi raz znowu, ale to już było po manibrach, kazali mi iść na wartę. Ja też ochotnie się zbierał. Przecie mi to nie było cudne. Co ja się na tę wartę z chałupy nachodził! Przyszła „warta“), to matusia: „Ty, Wojtek, pójdziesz“. Ja się nieraz i opierał, jak mi się niebardzo chciało. „Czemu raz Szczepan nie idzie? Ja zawsze będę chodził?“ Ale cobyś z matusią... Zawsze stronę Szczepana trzymali. Szło się z wartą do wójta, jak wiecie, i tam się przedstawiało, że warta jest, a potem się szło na szopę i spało się do rana... To też, jak mi przy wojsku kazali, ja się ochotnie zbierał. Tak, to rozumiem — na wartę — a nie na żadne egzecyrki. Bo cóż to komu z egzecyrek? Warta potrzebna; o tem ja już dawno wiedział.

¹⁾ Znak (na wartę): czasem trąba, a czasem kawałek drewna w kształcie rozmaitym. Taka „warta“ ma w oczach wszystkich jakąś świętość, nietykalność, jak np. kapelusz władzy.

Zebrałem się i poszedłem, kany mnie zaprowadzili. Przykazowali mi na odchodnym, cobych warty pilnował. O, nie bójcie się, ja tu „warty“ nie stracę. Myślę se: „To pewnie przy wojsku gwer „wartą“ nazywają. Dobrze się czegoś nauczyć. A powiadają, że człek się przy wojsku niczego nie nauczy. Bajdki!“ Tak se dumam rozmaicie i stoję na tej warcie. Ale mi się już za długo widziało — już mi się zaczął czas na dobre dłużyć — rozpatruję się dookoła, żeby to cienie jakoś zacyganić, i widzę niedaleko: wiśnia zieleńka, a na niej czerwienią się wiśnie, jak pokusy. (Potem mi przyszło dopiero do głowy, że to djabeł pewnie tę wiśnię tam posadził, aby mnie skusić, jak drzewie naszych ojców w raju). Pić mi się właśnie zachciało. Ja też, niewiele dumając, oparłem „wartę“ o budkę, podszedłem ku tej wiśni i wylazłem na nią.

Obieram wiśnie (słodkie były!) i daję poziór na „wartę“. Nie zjadłem może ze trzy garści — widzę: nadchodzi patrol ze starszym — słyszę wnet: wołają na mnie. „Ja haw!“ — odzywam się im, choć mogłem się i nie odezwać. — „Za raz zleżę...“ Starszy zakrzyknął: „A gdzie warta?“ Ja mu powiadam: „Tam stoi...“ On znowu: „Tak pilnujesz?“ Ja, widząc, że się niepotrzebnie złości, aby go oześmieszyć, odpowiadam mu do składu: „Ja haw wiśnie obieram, a na wartę patrzam“. Nie wiem, czy to odpowiedź tak go ozgniewała, iż nie czekał, aż zleżę, ino kazał mie żołnierzom ściągnąć i bił po pysku, po rozumie, ka jeno w złości utrafił... Pytam się: „Za co?“ a ten nic, ino się jeszcze bardziej sroży. Nie koniec na tem. Pojmali mnie i zawlekli, bom iść

o swojej sile nie mógł, do jakiejś ciemnicy i... znowu bili... Nie warto i gadać. Nierozum ludzki, i telo powiedzieć.

Trzeci raz znowu tak było: Kazali nam się ubrać na paradę i wyruszyć na błonia. Tam miał przyjechać jednorał jakiś najstarszy, i mieli my mu się przedstawić. Ubrali my się, wzięli zbroję i wymasierowali. Potem my się ustawili tak, jak nam kazali, i czekali my, co będzie. Nadjechał wreszcie ów jednorał, cały w złocie, że aż oczy bolały od blasku. Serce się wojenne we mnie zatrzepało... Widzę, nikt go nie wita, jak należy — wszystko stoi i patrzy się jak głupie. Ja też, niewiele myśląc, zdjąłem broń i wystrzeliłem mu na wiwat. Spodziewały się, że mi podziękują. Ale cobyś z ludźmi... Zlecieli się ku mnie zewsząd i... znowu bili... Ja się już nie pytałem, za co, bo co będę... Nierozum ludzki, i telo powiedzieć“.

Takie jeno historie Szczepan z wojska umiał, podobnych jeszcze trochę i nic więcej. Choć znali je ludzie wszyscy, bo jedni drugim podawali, jednak radzi je od niego słyszeli, bo śmiechu z tego było dużo. Jemu zaś było wszystko jedno, czy się kto śmiał, czy nie — tak śmiech jednako przyjmował, jak i udane litości.

I plątał się tak między ludźmi, właściwiej między strachem a rzadkim spokojem, to między głodem a średnią sytością. Jak się przy czasie zdarzyło... Żył tak doznaku, jako ten zwierz leśny, trochę do ludzi wzwyczajony, ale więcej się ich lękający.

Nieraz któryś ze starszych gazdów postrofiwał go żartobliwie:

— E, Wojtuś, czy tam Szczepanku, pokiela ci sie tak tłuc pomiędzy ludźmi? Masz kawałek, poszedłbyś i siedziałbyś na nim...

I słusność była w tej uwadze, bo miał kawałek pola; matusia przecie nie zabaczyła o nim i zostawiła mu go w „destamencie“.

Ale też i Szczepan słusznie odpowiadał na to:

— Jakże będę na nim siedział, skoro hań śnieg...

Bo rzeczywiście, przez cały rok prawie leżał śnieg na tym kawałku. Kawałek ten był pod lasem w stromej, północnej uboczy. Najwcześniej śnieg na niego spadał i najpóźniej z niego zlaził — tak, że chcąc z niego co zbierać, trza było chyba trawę siać; ale cóż z tego — kamyk był przy kamyku tak gęsto, i jeszcze jeden na drugim, żeby się już trawa przy nich, choćby jak igła cienka, nie zmieściła.

— Nima rady, chrzestny ojczy! — jak powiada komornica Tekla, która też taki grunt po ojcach dzierży i podatek z niego święcie s płaca.

Tak więc Szczepan, choćby i usposobienia nie miał do chodzenia, musiałby rad nierad chodzić: bo czas miał, dużo czasu zbywało mu od uprawy tego macierzystego zagona.

A że miał usposobienie do marszów, do „manibrów“ i inszych wolnych na powietrzu ćwiczeń, to i uprawę zaniedbał doznaku.

Ludzie zczasem, gdy się z nim całkiem oswoiili, gdy już wiedzieli wszystko, co umiał powiedzieć, i historie jego wszystkie znali i nic się już nowego od niego nie spodziewali — stali się dlań dokuczliwsi, można powiedzieć: gromadnie zawzięci. Dawniej młodzież, a potem już i starsi

straszyli go „bronią“ rozmaita, tak, iż doreszty zdziczał. Latał po polach jak dawniej, ale zdaleka od osiedli — człeka gdy dojrzał, omijał, choćby mu potok padło przejść spieniony — czasem jeno ku małym bardzo pasterzom przyszedł zagrzeć się, gdy ogień palili. Niewiadomo, czem się żywił; pono bukiew zbierał i łuszczył, co dziki poostawiły, to znowu jawór pod lasem obłupił i skórę oną ssał dla słodkości, jaka się w niej ma najdować — któż wie, co zresztą już nie jadał.

I żył tak, póki nie umarł.

W pamięci ludzkiej jeszcze ciągle żyje; serdecznie się uśmieją, gdy se go przybaczą lub przywiedą na pamięć jego opowieści: o jego wojsku, abo o tem, jak go to na Szczepana przekęcili...

LIS.

— Idźże, przynieś co dzieciiskom, widzisz, że głodne — rzekła lisica chłopu swojemu, który się iskał, siedząc na przyjamiu.

Obejrzał się nieładnie na nią, poczem złagodziły mu się oczy, gdy je powlókł po lisiętach, tarzających się u kolan matki.

— Tu i człowiekby nie nastarczył — począł mruczeć. — Dopieroś wczora przyniósł gęś, musiałeś za wodę po nią chodzić, i już nie stać. Jak tak będziecie gazdować, to się dogazdujecie niewesołego końca, przepowiadam. Teraz o żywinę coraz trudniej, ludzie stali się postrożni...

— Nie bajdurz — przerwała mu lisica — ino się zbier z te ziemie i idź poszukać co, bo wnet będzie polednie.

Lis się przecignął, i ziewając spojrział okiem w górę.

— O, jeszcze słonko nie wyszło nad Gronie...

— Tak gadaj — szczeknęła lisica, złemi oczami patrząc — tak gadaj, że ci się nie chce. Wolałbyś leżeć. Całemi dniamibyś leżał. A żywna sama spadnie, jak szyszka pod nogi. Możebyś chciał jeszcze, żeby ja z dzieciiskami zносиła ci pod nos wszystko — co? Pańskibyś miał żywot.

— Et, nie trzeszczałabyś... Co ty wiesz, kielo się trza nalazić, zanim sie co zdybie.

— A tybyś chciał, żeby ci samo do gardła wpadło. Letkobyś se chciał żyć. Ruszysz sie nareszcie, czy nie, ty płowy psie?! Może ja mam iść, a ty się za mamkę najmiesz? Posta-
rałeś się o dzieciska, to sie teraz trap!

— Znam już, znam tę letanię...

Dźwignął się pomału i poszedł, nie chcąc słuchać dalszego trzeszczenia.

— Ino se wiedz, żebyś próżno nie wracał!
— leciało za nim.

— Dobrze, dobrze! — mruczał, idąc. — Nima to, jak nakazywać. Ozorem obyrtnać, i już. Po-
co ja się też żenił? Jakech był sam, to: znalazłech co, tom znalazł, a nie, to nie — to mi nikt z pyskiem nie dojeżdżał. Było, tom zjadł — a nie, tom się zaszył w gąszcz i przespałech dzień cały. Nikto mi poza uszy nie skowyscił.

Szedł jakiś czas zgryziony, i wcale nic nie myślał (stan u rodu jego dość częsty, wbrew twierdzeniom oszczerców), poczem znowu naszły go różne uczucia.

— Marne to lisie życie — biadał. — Szczęśliwy człowiek! Ten se u siebie w domu kury chowa...

Naraz przyszło mu do głowy:

— Czyby sie też i u nas nie chowały? Trza spróbować. Żeby to dostać parę żywych... Już bych sie ohfiarował dzień pościć na tę intencję. Ba, kiedy to strasznie mdłe, zaraz w łapach zdycha, choćbyś ją i najdelikatniej ujął pazdurami...

Idąc, rozmyślał nad tym pomysłem i uśmiechał się do tego widoku, jaki mu wyobraźnia przedstawiała.

... Pasą się koło jamy. Pasie ich się cały kerdel. Czarne, białawe, siemieniate... Dzieciśka swawolą z niemi — niby straszą je, jak koty młode, ale żadne się nie śmie tknąć. Ociec zakazał. A on se leży na przyjamiu i cieszy oczy tym obrazkiem...

— Żeby się jeno chciały chować!... Ale co by nie chciały? — pocieszał się. — Wytłumaczy się im, że i ludzie nie lepsi i nie dla ładnych piórek je chowają. A poszanowania nigdzie takiego by nie miały. Z miłościąby się koło nich chodziło... Ino jak wytrzymać, coby się nie tknąć? Człowiek potrafi, bo cóż, i trawę może jeść...

Dla zaokrąglenia tych przedumywań dodał se jeszcze w myśli:

— Trzeba będzie ten pomysł przemyśleć przy czasie. A tymczasem musi się jeszcze starego zażywać sposobu...

Zatrzymał się i począł się zastanawiać, w którą stronę się udać. Za wodą wczora był, to tam pewnie dziś strzegą.

— Dziwnie nieprzewidujący ludzie...

Najporęczniej byłoby do chałup pod lasem, ale dużo niebezpiecznie, za blisko jamy. Trzymał się starej zasady, i ludziom znanej: „Lis koło swojej nory nigdy kur nie dusi“. Od pradziadków ród jego, w tej okolicy mieszkający, trzymał się tej zasady; jak z tamtej strony góry miał osiedle, to tu chodził polować — a jak zaś tu się sadowił, to po tamtej stronie polował. Wszystko zaś nato, aby człeka zmylić, gdyby chciał

swoich szkód rzekomych dochodzić na lisim rodzie. Tę zasadę jakiś pra-lis z przezorności mądrej ustanowił, i potomkowie jego trzymali się jej święcie, choć, odkąd ludzie o niej się zwiedzieli, nie miała już praktycznie żadnego znaczenia. Była to tradycyjna przezorność — bez waloru.

Więc i nasz pocziwy lis nie myślał zmieniać zwyczaju: że tu osiedle miał, postanowił iść na tamtą stronę. — Daleko wprawdzie, bo trza obejść kołem całą górę i drugą stronę wrócić, ale widoki są...

Podumawszy niedużo, wybrał drogę dłuższą przez przylaski, aby się niepotrzebnie z nikim nie spotykać. Długą chwilę biegł w ciszy — las poczynął już rzednieć — wtem zatrzymał go szmer; pojrzy w górę, bo szmer oczami prawie umiał łapać, i widzi wiewiórkę czarną, jak se siedzi na drzewie i pluje z wysoka, życząc mu „szczęśliwych łowów“.

— Dałby ja ci szczęśliwych łowów! — mruknął — żebyś nie była tak wysoko...

Udał, że coś sobie koło ogona poprawia, aby zaś nie myślała, że się dla niej zatrzymał, poczem spokojnie ruszył dalej.

Idąc myślał z powodu tego wypadku:

— Poco też Pan Bóg niektórym stworzeniom dał taki talent, że mogą po drzewach chodzić, abo i w powietrzu latać? Jak i jastrząb... ten mi kurę, com ją upatrzył sam, z przed nosa weźmie, i lećże za nim! niesprawiedliwość na tym świecie...

Ale wnet przestał bawić się myślami, bo już przylaski się zwały, trzeba było baczyć pilnie

na wszystkie strony. Przytem biegnąc, z przyzwyczajenia raczej niż z umysłu zazierał pod jałowce, czy tam zając gdzie nie śpi albo jaka żywina skrzydlata. Ale nic ciekawego po drodze nie zauważył.

Skoro przylaski się skończyły, pomykał dalej potokiem, a wreszcie i potok się urwał, trzeba było potoczkami podkładać się nieśmiało ku górze. Ostatni z tych potoczków tracił się prawie pod osiedlem. Długo też w nim u końca nasz lis się namyślał, nim się odważył wyjść na równe pole. Naprzód oczyma zwiedził otoczenie, poczem słuch posłał wokoło na zwiady — i skoro nic znikąd nie zauważył niedobrego, ostrożnie wyszedł na widok.

W bliskości stało osiedle, ale żywej duszy nie było słychać. Słońce prażyło; nasz lis też pomknął pod sad ku cieniowi, stąd się rozgląda uważniej — ani słychu. Wreszcie dobiega jego wyteżonych uszu dalekie jakieś gdakanie stłumione, jak z poza sześciu ścian. Już znał tę nutę ciemną, tak miłą uszom, a tak bolesną z oddalenia sercu. Chciałby ją zbliższa usłyszeć... Podeszedł ku ścianom, obszedł je, dopokąd zdołał, nadśluchiwał, ale nuta gdańia nic się nie zjaśniła. Ustał, uprzebierał nogami, nasłuchiwał się, aż lzy mu do oczu nadeszły, wreszcie rad nierad zabrał się i poszedł w stronę sąsiedniego osiedla.

Idący dumał:

— Dziwni ludzie... Niepotrzebnie kury do kojca zamykają. Kto widział! Ani powietrza, ani wody... One im tam do jednej wyzdychają.

W tym sensie rozważał chwilę, poczem zdwoił baczność, bo już osiedle drugie wystąpiło. Zachylił się pod miedzę i ostrożnie bardzo się podsunął.

Widzi... Kury na polu się pasą... cały kerdel... Ba, ale pasterz przy nich; pilnuje, obchodzi, zgania, ani na chwilę nie spocznie.

— Też rozum! Kto widział kury paść, jak owce... A jakie one ładne, nietrwożliwe! Ej, żeby tak bliżej...

Napatrzył się z pod miedzy na nie, nawzdychał się niemało, i rad nierad zabrał się ku następemu osiedlu.

— Tam się już może poszczęści, jużby był czas... Dzieciska głodne czekają — pojrzał na słońce — już południe...

Zachylając się poza wysokie miedze, tak, że jeno szczyty dachów mógł widzieć, zapomykał się ku trawnikom. Miedza się właśnie kończyła. Wychylił łeb ostrożnie — i aż mu serce z radości zadrgało.

Widzi... kury się pasą na trawniku... nikogo przy nich... Mierzy oczyma przestrzeń, dzielącą go od tych kochanych stworzeń. Trochę za dalekawo... Żeby podeszły nieco bliżej... Namawia je oczyma — całem pragnieniem, całą wolą, wysyłaną ku nim przez rozkochane oczy, stara się je przywołać ku sobie. Szczególnie jedna mu się spodobała... puszysta, duża, siemieniata... Do tego koloru miał zawdy słabość niejaką. Więc uśmiecha się do niej miłośnie, prawie że tkliwie... Naraz któraś z nich, głupia, ostrzegła. Podniosły wrzask i w nogi... Rozzłoszczony tem,

wyskoczył i puścił się za nimi... W te razy wypadł pies od chałup z takim okropnym charkiem, jakby co najmniej wieś palono, i wprost, naoslep pędzi... „Zjadłeś diabłów!... Cóż głupiemu stać na drodze?” — pomyślał lis w tym momencie i wartko zawrócił nazad.

Wnetki dopadł potoczka, pomknął nim wdół i zatrzymał się dopiero, skoro owo charczenie nieprzyjemne ścichło.

Zły był na siebie, że się dał strachowi przejąć, ale większa złość jeszcze porywała go na wspomnienie tej mordy charkliwej.

— Bogdajby ci sie padło suchemi tarkami żywić! Psie głupi, nieokrzesany...

Serdecznie nienawidził tego podłego plemienia, które, jak podanie niesie, miało jednego praojca z rodem lisiem, a potem się zaprzedało na służbę do ludzi.

— Poco oni to żywią? Ani szczekać nie umie uczciwie, ani słuchu nijakiego nie ma, nic nie ma, coby się mogło podobać.

W tem podobieństwie złościł się, wypoczywając, wreszcie smutek go naszedł razem z cieniem, który od smreczków się dłużył.

— Słonko spada... Cień rośnie... Dzieciska tam już wyzierają... Matka sie bedzie złościć, że mnie tak długo nie widać. Niechże se idzie na drugi raz sama, niech sie dowie, jak to legutko przychodzi. Chciałech przecie — ale trudno — nie poszcęściło sie. Jak i teraz... Taka dobra sposobność... i na nic — musiała ta psia morda przeszkodzić. Bestji dadzą żarcie, przyniesą pod gardło, to sie jej zdaje, że nikt nie potrzebuje

jeść. Żeby ja cię tak dostał... wziąłby ja cię aj, wziął na polewkę!...

Gwałtem myśl jego do psa powracała, a tu trza było coś postanowić, bo śródmieczarz się zbliżał. Zbaczył sobie, że jeszcze jest jedno osiedle. Nadzieja się przywróciła.

— Trza ostatniego szczęścia popробować...

Zebrał się i ruszył w stronę, gdzie miarkował, że chałupy stoją. Dojrzał ich dachy nareszcie. Ostrożniej już podmykał się, wyszukując brózd, wgłębin, zachyleń, aż niespodzianie znalazł się pod sadem. Sad był okrajnemi deskami otoczony. Więc wspiał się na tylnych nogach i zajrzał przez szparę do wnętrza.

Bardzo dobrze. Są w sadzie... Przeczul je już, nim zajrzał. Są stare, są i średnie kokoszki, i młode jeszcze kurczęta...

— Z tych możnaby kiedy przy czasie wziąć parkę na chów... A tymczasem którą ze starszych trza będzie... i tak jej żywot nie wieczny...

Ale jak się tam ku nim dostać? Płot wysoki, szpary wąskie pomiędzy okrajkami, że ani łeb się nie przecisnie. Poczyna biegać dookoła, wypatrując otworu większego.

— Dziwni ludzie — myśli przytem — ogród bez furtki... Jakże oni tam te kury wganiają?

Nagle uczuł ból okrutny — coś go chwyciło za nogę ostremi zębami. Szczęki zaciął, żeby nie szczeknąć z bólu. Pojrzy — a tu łapa przednia między dwiema obręczami... W te razy słyszy krzyk: „Tuś mi!“ i widzi parę osób, pędzących jedno przez drugie od izby. Szarpnął się

raz, i drugi — coraz straszniejszy ból — nie puszcza... Czuje, jak już żelazo gniecie kość... Moment — a ludzie doleca...

Więc zbiera wszystką zaciętość — i bez namysłu: chrast! zębami — ugryza nogę potąd, pokąd w żelazcach tkwiła — i w ucieki... Wszystkich sił dobiera w biegu, bo ludzie już tuż — z kijami. Na trzech nogach leci, jak na pięciu. Już, już potok — już lasek — obziera się — ludzie nie ustają... Więc dalej — dopadł lasku — nie zatrzymuje się — pędzi w potok — we wodę — nóg zgoła nie czuje. Wreszcie w przyłaski... Zwolnił biegu, ale jeszcze niebardzo dowierza, dobiera sił, byle dalej, byle jak najdalej... Wreszcie już stapać nie może — ból mu poczyną dokuczać. Siada na mchu i poczyną opatrywać nogę...

*

Ciemniło się już na dobre, kiedy nasz lis, kułając na trzech nogach, dowlókł się do miejsca, skąd zboczył był przed południem na prawo w przyłaski.

— Szczęśliwych łowów! — doleciało go z wysoka.

Pojrzy — ta sama wiewiórka czarna śmieje się, siedząc na drzewie, i puszcza mu na plecy łupiny ze szyszek.

Udał, że nic nie słyszy, i powlókł się dalej, stękając ciężko, boleśnie. Wreszcie dowlókł się ku jamie.

— Tak wczas?! — wrzasnęła lisica i, widząc, że nic nie niesie, ze zębami do niego: — Cożeś

przyniósł? Swoje ścierwo zdechłe?! żeby cię
byli doreszty... psie płowy...

Uchylił się przed jej złością i nie nocował
w jamie. Wyszukał sobie w gąszczu kąć naj-
ciemniejszy — tam siadł na zdrowych trzech no-
gach i, obficie łzy wylewając, płakał.

— Ludziom przecie jest lepiej — myślał,
ustatkowawszy się w bólu. — Nie potrzebują szu-
kać codziennie na wieczerzę tej głupiej kury...

ŚWIT NAD LENA.

Przedziwne są brzegi Leny — zwłaszcza w jej średnim biegu u wpadu rzeki Jelikty, gdzie jej wody przeczyste rozciągają się na wiorstę wszerek i więcej i mienią się olbrzymiem zwierciadłem na podobieństwo zatoki...

Fioletowa ściana skał wapiennych obejmuje tę masę wód zakoleniem łagodnem od wschodu, a zasię na południe i ku zachodowi, równo od zwierciadlanej krawędzi, ścięle się step nieprzemierzony: rozciąga łąki o bujnych trawach, łąki o wszystkich barwach, jakie są na ziemi, wśród nich stawy trawskami zarosłe, jeziora lśniące, na parę wiorst rozlane, mokradła z kępkami drzew, laski rzadkich brzoź i limb potraconych — również przerozmaita, błękitem oddalenia na zachodzie o fioleły skalnego pobrzeża rwącej Jelikty oparta, a na południu o stopy zmroczniałej, w omgleniu słonecznem szarzejącej tajgi...

Przedziwny kraj...

Gdyby nie sroga syberyjska zima, która ściana w lód błękitne wełny Leny i śmiercią mroźną wszystko żywoistne na długie miesiące przysia-da, obraz tej okolicy pozostałby niemacony we wspomnieniu zesłańca, gdy go od niej setki mil

szczęśliwie dziela, jako jeden z najcudowniejszych obrazów południa...

Zato lato, choć krótkie, tem zawzięciej rozkuwa z kajdan zamrozu śpiące życie, wywołuje z ziemi, nagle rozpalanej, kwiaty o stroju niesłychanym, ciska na obudzone bogactwo barw, oswobadza na radość życia wszelkie stworzenie tej ziemi, ściąga chmary przeróżnostrojnego, różnemi głosy krzyczącego ptactwa...

Krótki — między długimi letargami zim — krzyk i płomień życia.

W jedno takie płomienne popołudnie, po wysokim wschodnim brzegu Leny, przeciw jej biegu, niósł czarny konik tunguski Wacława, jednego z owych wielu, którzy na tę Riwierę syberyjską dojeżdżali „etapami“.

Jeździec uzbrojony był w długą strzelbę i nóż, jakich myśliwi Tunguzi używają. Dumnym był ze „swego“ konia, z nabytej od Tunguza broni, i z przyjemnością prawdziwą myślał o tym zawodzie swobodnym, który od półtora roku z powodzeniem korzystnem uprawiał.

Jeden niedźwiedź, którego przy pięcio-osobowej obławie położył, trzy jelenie, łos, pięć rogaczy, setki gęsi i kaczek jako też drobniejszego ptactwa, które czasu różnego ustrzelił, ugruntowały sławę jego myśliwską w „komunie“, jak ideowo zwali swoją grupkę, osiadłą na „czasowy pobyt“ w nadbrzeżnem tunguskim siole.

Zważywszy, że z całej „komuny“ nikt prócz Wacława nie był sposobnym do myśliwskiego rzemiosła — (próby, jakie przedsiębrało paru,

miały nieszczęśliwe skutki) — „rada komunalna“ na niego włożyła obowiązek dostarczania zwierzyny i ptactwa do wspólnej kuchni.

Zgodził się ochotnem sercem, jako że wałęsanie odpowiadało jego próżniaczey, a przedsiębiorczej naturze; mógł też przy tem zajęciu dniami całemi przebywać poza siołem i nie widzieć aż do mdłości uprzykrzonych twarzy towarzyszy.

Z początku „komuna“ zapowiadała się świetnie. Ludzie, wyrwani z samotnictwa, szczęśliwi już byli przez to, że się mogli wygadać. Do wspólnego dobra składali prócz materialnego mienia swoje najlepsze strony: humor, uczynność, ustepliwość, nawet nierzadko delikatność uczuć. Wspólne obrady, np. nad kwestją obiadów, odbywały się tak zgodnie, jakby wszyscy od urodzenia w komunie wyrosli.

Wkrótce jednak harmonja poczęła się psuć. Za duże były różnice wyrwanych z różnych światów ludzi, iżby je podobieństwo losu mogło stłumić. Indywidualne zdania, przekonania poczęły się ze sobą ścierać, i ze słownych utarczek poczęły się wyradzać kłótnie.

Dopieroż gdy przyszły na stół „programy“ i „principia“! Partje, z których każda miała tu jednego przedstawiciela, znienawidziły się tak, iż ledwo obiad je łączył. W nienawiści pożywali każdy kęs daru Bożego. Stronili od siebie, jakby jeden na drugim oznaki trądu odkrył.

Był przecie jeden moment... Wacław uśmiechnął się mimowoli na przypomnienie tej chwili.

Było za siołem nieopodal wzgórze, skąd rozciągał się widok na daleki zachód. Tam to nieraz tęsknota go wywoływała. — Stoi raz zapatrzony

na czerwień zachodu — słyszy szmer — obziera się — a tu się wlecze jeden z „komuny“, później drugi, trzeci... I tak, stroniąc od siebie, na jednym Wzgórzu Tęsknoty wszyscy się naraz znaleźli. Wstyd ich przed sobą przejął — każdy starał się jakiś bardzo racjonalny powód swojej obecności podać. Później już każdy inne godziny dnia na to wzgórze wybierał.

Był tam cmentarz zesłańczy; kopców kilkanaście, brzózek parę, i jeden krzyżyk drewniany na mogiłę, na którego ramieniu wycięty był dwuwiersz — słowa, jak ten krzyżyk, proste:

„Spij ditia — żyźń taska.“¹⁾

Takie proste, a wszystko mówiące. Wryły się na zawsze w pamięć Wacława, jakby na sercu jego były wycięte. Coś bliskiego bardzo, ojcowskiego słyszał w tem czterosłowie. Nieraz upewniwszy się, czy żaden z towarzyszy nie nadchodzi, padał na tę mogiłę i szlochał, jakby najmilsza jego dziecina była pod tym krzyżykiem schowana. A gdy zorze czerwone na zachodzie gasły, męką tęsknoty biegł za nimi przez ziemie-kraje aż ku Wiśle...

Ścieżyna nieznaczna wśród fioletu wapienia odbita ledwo parę sążni od ściany prostopadłej brzegu, podnosiła się ku górze.

Koń szedł przemyślnie po śliskiem oskalu i umiejętnie omijał zdradliwe rozpady.

¹⁾ Spij dziecię —

Tęsknotą bowiem jest życie.

Wacław z czułością pogłaskał jego szyję. Zalety jego niezwykle miał już sposobność poznać. Nabyto go przed dwoma laty od Tunguza-sąsiada za pieniądze „komunalne!“ Był więc własnością „komuny“. Na nim odbiła się najwięcej niezgoda jej członków, bo każdy rościł sobie na różnem uzasadnieniu jedyne prawo do niego, każdy chciał na nim jeździć. Koń biedny tracił czasem swoją orientację, myśląc ze smutkiem, że jest osłem. Mimo to jednak, iż dźwigał na swym grzbiecie różnemi czasy tyle kłócących się ze sobą niegramatyczności: es-erów dwóch, es-deków kilka gatunków, bundowca-Jozuę i oburęczną P. P. S. — nie stracił jeszcze rumaczych zapędów. Odkąd zaś Wacław z racji swego myśliwstwa zaanektował jego grzbiet dla siebie, koń wracał prędko do swych cnót tunguskich. — Niósł lekko po trudnej ścieżce, jak za dawnych czasów.

Wkrótce wydostali się na wzniesienie.

— Jakże pięknie! — wyrwał się głośny zachwyt z piersi jeźdźcy, gdy rzucił oczyma na lewy brzeg. Wstrzymał konia i patrzył.

W międzywidlu przestrzennem, jakie utworzyła Lena z wpadającą do niej na północnem zachodzie Jeliktą, której wał piany srebrnej przy wpadzie ze wzniesienia widać było, rozścieliła się cała tęcza barw — od piasku różowego przy brzegu, aż do błękitu oddali.

Słońce, wiszące na połowie zachodniego skłonu, zalewało całą dolinę pyłem świetlistym, który zamgliwał one pasma tęczy i zacierał granice barw.

Kępki drzew i rzadkie laski wyglądały w tem omgleniu jak zatopione w jeziorze różowem ma-

jaki drzew i lasków. Jedynie tafle bliższych stawów, smugi dalszych i linijki najdalszych jezior błyszczały na tej przestrzeni jako odstrzelanie słońca.

A zaś od stóp wzniesienia roztaczały się szeroko wody Leny, daleko widoczne na południe jako jeziorna zatoka.

Na ruchliwych, szerokich falach łamały się zwierciadła barw — od granatu ciemnego aż do zieleni jasnej i opalu.

Czasem ponad majestatem wód, niby słoneczny pocisk, przestrzeliła powietrze rybitwa. Zresztą prócz głębokiej, tajemnej mowy fal nic nie maciło świętej ciszy światła.

Na dalekiej łące na południu widać było zdrobniałe oddaleniem stado pasących się swobodnie, połyskliwych koni.

Zachwyt Wacława, gdy wzrokiem ten obraz chłonał, zamacał jedynie żal, że nie ma obok siebie nikogo z najbliższych, z kimby mógł radość podzielić, ani też dłoni drogiej, którąby mógł w milczeniu uścisnąć.

Nim ruszył dalej, pomknął jeszcze spojrzeniem wzdłuż lewego pobraża na południe, gdzie na krańcu równiny obok światła wód tlił się punkt czerwony, jak iskra przygaszona. Daleki jeszcze trud do chaty Jana. Dopiero połowa drogi. — Porachował w myśli wiorsty.

— Przed wieczorem dojadę.

Ścieżka sprowadzała po schyleniu — brzeg się nieznacznie poniżał, i o parę wiorst dalej wychylał się jego przekrój dłużny zaledwie parę sążni ponad wodę. Natomiast na lewo od drogi

wydzwigiwały się zbocza, pokryte przerzedzonym lasem, z których wyskakujące gdzieś tam skały i ściany wapienne spychały ścieżkę ku samej krawędzi łądu.

Droga wila się znacznie; to zbliżała się ku wodzie na wapienne bruki, to odchyłała się na trawiaste łączki, gdy zbocza stopy swe cofały, a rozszerz czyniła się większa. Mimo to Wacław wciąż przed oczyma miał świetliste wody, zwiężające się ku południowi, i różowy pas lewego brzegu.

Kotlinę tę przestrzenną na południowym zachodzie, gdzie gasło światło rzeki, zamykało zsińnięte pasmo gór, które dziwny cień rzucało na radość całej doliny; nawet przez gęstą sreżogę słoneczną przedzierał się zwycięsko czarny smutek tajgi... Nieznacznie jako mgła wdychana wsączał się w chwilą upojone serce — i duszy dziwnie się widziało, czemu gaśnie jej radość, dar słońca.

Napróżno Wacław mknął oczyma po barwach wód, mieniących się pod czerwieniejące już słońce tęczkami, jak roztoczone skrzydła archanioła, napróżno włóczył spojrzeniem po spłomienionem po-brzeżu lub dźwigał je ku zorzom nieba — nie wróciła radość zgaszona.

...Żyźń taska... — dzwonił smutek tajgi.

Więc to jest ten ptak czarny, nieodłączny towarzysz zesłańca?... Przez sto zdradliwych siდეł, misternie rozumem utkanych, jak przez pajęcze siatki się przedziera; z oddali szczęsnej zapomnienia gołębiem pamiętającym z wieścią okrutną niechybnie na czas przybywa; naprzeciw

słońca i duszy darzonej — chmurą trwożącą zawisa; każdą chwilę radosną skrzydłem czarnem jako liść wiatrem porywany zwiewa, jako krzyk mewy zbłąkanej we wichrze jest jego krzyk rozpaczny, wywołujący ze życia; jedynie na mogile zlatuje pełen współczucia, litośnie skrzydłem zimną darń ochładza — wiew jego wtedy jest jak szepł matki:

„Śpij, dziecie...”

O ptaku-smutku! O ptaku-tęsknoto! O duszo-tajgo szumiąca!...

Zwoływał wszystką wolę, wszystkie potraczone światła, aby nie dać serca w szpony smutku, który go nieraz na długie dni obezwładniał. Nawodził na pamięć różne przydarzenia, wyraźne sprawy, ludzi...

Począł wkońcu z zajęciem myśleć o najbliższym na tej przestrzeni osobniku, o starym Janie-rodaku, który mieszkał w samotnej chacie na krańcu rozwidła, na lewym brzegu rzeki.

U niego zwykle miewał nocleg, gdy w tych stronach polował.

Stary lubił myśliwych; sam nie mogąc dla starości używać z pożytkiem strzelby, radami doświadczonemi im służył: jakie wybierać miejsca na zasiadkę, któremi szlakami zwierz grubszy chadza, gdzie go najlepiej podejść i t. d. Wzajemian za życzliwe rady i gościnę myśliwi zostawiali staruszkowi zawsze jakąś część upolowanej zwierzyny.

Miesiąc już, jak starego nie widział. Jak go też przyjmie?

Stary dziwaczał czasem. Nachodziła go chandra — wtedy zamykał się w chacie, albo za-

szywał się gdzie w tajgę i tygodniami się nie pokazywał.

Nie dziwota — w tej pustelni mógł zdziwaczeć na dobre. Wszakże i on sam, młody, miewał takie psie czasy. Było — gdy zima zdawała się w nieskończoność trwać (a mieszkiał wtedy osobno w chacie starego przybysza-Tatara) — kładł się na piec, naciągał skóry na siebie i leżał tak tygodniami bez nijakiej zgoła myśli. Nie miał nawet woli jeść — tyle co go przymusili. Często gospodarz, poczciwy stary Osman, chcąc wyrwać go z tej martwoty, siadał na trójnożku naprzeciw z flaszką gorzałki w ręce i kusił go, namawiał oczami i gestem. Napróżno. Nie dawał się skusić. Osman już wtedy kiwał ze zważeniem głową i odchodził przygnębiony.

— Och, ta okrutność zim!... Długoż to jeszcze?...

Uczuł, że znowu szpony po serce jego sięgają. Począł więc pilnie myśleć o celu podróży.

Jeleń na pewno się trafi. Schodzą w tym czasie z tajgi ku jeziorom. Ptactwa moc. Posiedzi z tydzień w chacie Jana. — Pomacał się po kieszeniach. — Herbata, cukier jest — stary to dubi.

— Czemu on tu siedził w tem odludziu? Nic go przecie nie więzi. Dawno już wolność ma. Chyba starość...

Zbliżył się tak, jadąc wciąż ponad wodę, że mógł już dach i ścianę chaty na przeciwnym brzegu, choć woddali, rozpoznać.

— Czy go tylko zastanę? — pomyślał. — Czy nie poszedł gdzie wgórę rzeki za rybkami? Na

się staruszek łakomy, a ta się bardziej górnej wody trzyma.

To przypuszczenie strapiło go. Musiałby noc spędzić na prawym brzegu, co żadnego nie przedstawiało powabu. Łódek na tej stronie nie-ma...

Wpatrzywszy się, zauważył pasemko dymu, wysnuwające się z przed chaty. Więc stary jest. Chwała Bogu. Popędził żywiej konia.

Słońce prawie spierało się na widnokręgu krwawem kołem, kiedy dojechał celu. Z brzegu widać było wyraźnie chatę naprzeciw i dwóch ludzi przed progiem, pomniejszych znacznie od-daleniem.

Podniósł się na strzemionach, przyłożył dłonie do ust i huknął w stronę chaty. Lecz głos przepadł zaraz przy brzegu, jak plusk kamyka — połknęły go olbrzymie nurty.

Chwilę stał, zawiedziony, myśląc, jaki dać znak o sobie. Wtem zauważył, iż jedna postać odrywa się od chaty, zdąża nad brzeg, przystaje i przyłożywszy dłoń do czoła, patrzy ku niemu.

— Kochany stary — szepnął. Porwał czapkę i jął machać ponad głową.

Za chwilę łódka przecinała wpoprzek fale Leny, kierując się w stronę jeźdźca.

Wacław tymczasem zszedł z konia, zdjął z niego siodło i poklepawszy go po szyi, puścił go na wolną paszę.

Gdy zeszedł nad wodę, łódka już była blisko. Widać było wyraźnie postać przewoźnika. O twarzy spalonej słońcem i mrozami, o długiej, białej brodzie, z poważnemi ruchami ciała i rąk, gdy wiosłował, na tej szerokiej wodzie, krwawe-

mi blaskami zapalonej, wyglądał jak przewoźnik Charon.

Niezdługo Wacław znalazł się przy nim na łódce. Przywitali się serdecznie.

— Co słyszać, ojcze Janie?

— Chwalić Boga. Wszystko po staremu. Rodak zapewne po zwierzynę?

— I to po duży zapas.

— Czas dobry. Może się udać. Wiem ja o jednym miejscu...

— Tam, gdzie był ostatnim razem?

— Nie, w innej stronie. Zwierz co jakiś czas zmienia drogę. Ma i on swoją rachubę.

— Miesiąc to już, jakieście mię, ojcze, przewozili. Nie zdarzyło się co tymczasem?

— Cóż się tu może zdarzyć? Ot, może być takie zdarzenie, że rodak stanie nad wodą, i nie będzie go miał kto przewieźć. Stary już nie wyjrzy przed próg.

— Czerstwiście jeszcze, ojcze.

— Duch spróchniały. Zatem i ciało się rozsypie.

Byli już na połowie wód. Chata się przybliżała.

— A któż u was w gościnie?

— Moskał, posieleniec.

— Ach ten... Czegoż on?

— Myśliwskie prawo dla wszystkich. Czas dobry. Przybył zapolować.

— Ja chyba pójde sam na zasiadkę...

— Lepiej razem: wiedzieć, gdzie on... Tunguzi mówią — zniżył głos — że on niby przypadkiem, trafiało się, i myśliwego ustrzelił. Jemu to

nic. Jak ślinę przełknąć. Na zbrodniarza on patrzy.

Wkrótce znaleźli się na brzegu.

Stary z pomocą Wacława wyciągnął łódkę na piasek.

Podeszli ku chacie, gdzie przed progiem tlił się złożony ogień.

Brodacz leżał na ziemi koło ognia. Za ich nadejściem podniósł głowę i odmruknął coś na przywitanie.

— Rozgośćcie się — rzekł Jan — a ja pójde popatrzeć w saki, czy się co nie złapało. Wędzona rybka na lecie nie ma smaku.

Wacław wręczył mu przyniesione skromne zapasy herbaty, cukru, soli.

— Ho! to dziś prawdziwe święto — ucieszył się staruszek i dziękował. Poczem udał się ku wodzie.

Wacław usiadł przed chatą na kawałku drzewa. Miał przed oczyma wody Leny i przeciwległe zbocza, płatami lasu i trawą pokryte, z rzadkimi ściosami skał wapiennych.

Równinę cień począł zasnuwać. Światła na wodzie krwawe przygasaly — fale na szerokich grzbietach poczęły przybierać szklące jak smoki połyski przy czarnych zgurbach cielsk.

Zbocza jeszcze były w promieniach słońca. Trawy i płaty lasu złociły się bogato, a lby wapieni płonęły, jak olbrzymie fioletowe ogniska.

Wreszcie i od stóp zboczów począł cień nieznacznie a szybko iść ku górze — niezdługo czubki jeno paliły się jak włosy płomieni — i te zgasyły. Zmierzch począł szybko zapadać.

Wacław zbliżył się do ognia.

— Towarzysz na kaczkę? — zagadnął leżącego, nie wiedząc, czemu go towarzyszem nazwał.

— Co się zdarzy.

— Pójdziemy razem o świcie.

— Jak wola pańska — odparł brodac, kładąc nacisk wyraźny na ostatnie słowo.

Jan wrócił, niosąc na naręczu snopek gałęzi, w ręku pęk związanych ryb.

Wkrótce ogień buchnął jaśniej, podsycony suchymi gałęziami.

Gospodarz, ustawivszy nad płomieniem kociołek z wodą, począł na odgarnionych węglach piec z powagą przyniesione ryby.

— Siga najbardziej lubi ogień — prawil. — Wędzona lub suszona nie różni się od innych. Te nie duże. Czasem trafi się na łokieć i więcej.

Obracał je umiejętnie, obwachiwał, czy już mają dość, wreszcie układał je na skrzyżali cienkiej i stawiał przed gośćmi. Sam spożył jedną.

Poczem herbatę rozlewał. Gościom podawał w szklankach, sam zaś pił w okrągłej chińskiej czarce, która prawie w dłoniach się mieściła.

— Do szklanki — mówił — nie mogę się przyzwyczaić. Czarka ma tę zaletę, że choć gorący czaj nie parzy. Chińczyki, oni to wiedzą.

Po skończeniu wieczerzy wycierając szklanki, zwrócił się do siedzących:

— No, panowie. Myśliwskie prawo. Czas spać. Musicie ruszyć, nim dzień zacznie, chcąc być na miejscach przed świtem.

Brodacz odsunął się od ognia i owinąwszy się w szynel, począł wkrótce chrapać.

Jan dawał rady Wacławowi:

— Pójdziecie brzegiem starego koryta, potem przez łąki i mokradła. Tak rozumem kierujcie, coby na groble natrafić. Przechodziliście tamtędy. Jak staniecie pod lasem, wtedy Moskała na prawo, a sami przejdźcie przez wzniesienie na kraj doliny, nad jezioro. Tam raj na ptactwo. Tajga też zaraz na lewo. Jeleń o świcie rad zlatuje ku wodzie... A teraz niech się rodak prześpi.

— Coś chciałem się was, ojcze, spytać... Cemu do kraju nie wracacie?

Stary cisnął ku niemu spojrzenie trwożliwe, przygarbił się i milczał. Dłoń mu tylko poczęła się trząść, w której trzymał wytartą szklankę.

— Przecie was tu nic nie więzi. Wolny przed wami szlak...

— Dużo rozpowiadać...

— Długoż wy tu już, ojcze?

— Czterdzieści lat.

— Kęs czasu...

Stary, pomilczawszy chwilę, począł:

— Do kraju, powiadacie... Czekał ja tej chwili, jak zbawienia. Tą jedną myślą żył. Lata mijały. Różnie było. Aż przychodzi wieść: amnestja. Jaki taki zbiera uciulany grosz, pakuje się i wraca. Wielu jednak tu się już zagospodarzyło, rodziny pozakładało, ba, profesje haniebne, ot, ludziska. Tęskni, tęskni, powiada — a potem wychodzi świnia. Jak na ten przykład ten... znacie — kabak założył, szynkuje, wódką rozpaja ludzi, lichwiarzem się stał na okolicę. Mówię o tem ze smutkiem, bo i ja sam...

Więc jak nadeszła ta wieść, tak ja dumam... Rodziny ja tu nie miał, nic mię tu nie trzymało, ale po prawdzie nie było o czem wracać. Co lepsze, to ucieka — ledwo samym na powrót starczy — a iść o pomoc do tych, co dobrowolnie tu zostają... Wiadomo, jacy. Nie — dumam — inny sposób znajdę. Wziął ja się do lepienia garnków. Zarobek niezły. Za jakiś czas uciulałem sumkę sporą. Myślę: wystarczyłoby. Wtedy zaczynam rozważać: do kogo ja wrócę — rodziny niema, nikogo, dawno wszystko już pod ziemią, od lat listu żadnego — obcy do obcych?... Tak z tego poszedł ja w kabak i tydzień pił. Przepiłem wszystko, do kopiejki.

Wytrzeźwiawszy, poczynam się karcić. Znowu do pracy, do lepienia. Zacinam się i składam. I znów po jakimś czasie to samo. Przepiłem wszystko doostatka — ubranie nawet, sprzęt kuchenny... Jużem kabaku nie opuszczał. Robotność odleciała. Począłem żebrać, rzekomo na powrót, i przepijałem użebrane grosze. Och, nisko spaść może człowiek, gdy go Bóg opuści.

Aż raz... przyszło opamiętanie. Stańło przede mną Sumienie — tak wyraźnie, jak was tu widzę. Och, groźne!... Rzekło mi: „Żeś po trzykroć zgrzeszył przeciw duchowi, nie wejdiesz do ziemi obiecanej. Nie zobaczysz kraju swego, na wieczne skazan wygnanie“. Jak kamień te słowa spadły mi na serce. Przestał ja pić, jak uciał — i tu od ludzi się wyniosłem, aby się ustrzec pokus. Ot, i żyję, póki śmierć nie wybawi. Bóg może daruje winy i dozwoli choć duszy spojrzeć z góry na ziemię swoją...

— I możecie tu wytrwać? Zimy srogie...

— Bóg jakoś spomaga. Nieraz od wilków wybawił. Ot, ściany pazurami zdrapały, dobywając się. Rybek nawędzę, nasuszę — Tunguzi saniami po siano dojeżdżają, to za pomoc herbaty, soli zostawiają... Jakoś się trwa. Och, zimy!... Te srogie nieraz bywają... Ale myślę: śmierć wkrótce wybawi...

— Miałby ja prośbę do rodaka... — ozwał się po chwili przerwy. — Wróćcie wnet do kraju. Grudkę ziemi prześlijcie pocztą, ze ziemi mojej, płockiej... Niech się z prochem moim pomiesza. Prosił ja już wielu, przyrzekali, ale pewnie, wróciwszy do kraju, zapomnieli, albo też poginęli, z nim...

Milczenie długie nastąpiło. Wacław, odchyłony od ognia, patrzył przez mrok w twarz Jana, który siedział nieruchomo, zapatrzony w ogień — w przeszłość swoją... Twarz mu się pomarszczyła, przygarbił się, jakby dziesiątek lat przez tę chwilę wspomnień mu przybyło.

Ocknął się po chwili, poszedł do chaty, wyniósł książkę, rozłożył ją przy ogniu i na klęczkach, do ziemi czołem pochylony, zaczął się modlić... jak Wacław wnioskował. Gdy zamknął wreszcie książkę, Wacław wyciągnął rękę po nią.

— Nie śpicie? — zdziwił się Jan.

— Nie...

Przeczytał pod blask tytuł: „Poezje Mickiewicza“. Książka była zniszczona, litery pozacierane, widać lata już była w użyciu.

— To jedyny mój skarb w chacie — tłumaczył Jan. — Nie oddałbym go za nic. Przez zimy jest mową moją, w chwilach zwątpień — otu-

chą. Mam jeszcze jeden tom. Z tych ksiąg wyszło do mnie wówczas Sumienie...

Nic już nie zamięciło ciszy. Dowiewała tylko czasem od brzegu głęboka mowa fal.

Zdało się Wacławowi, że tylko chwilkę się zdrzemnął, gdy go zbudziła dłoń Jana.

— Czas już. Kosy nisko.

Brodacz już stał gotowy. Pożegnali starego uściskami dłoni i ruszyli. Jan odprowadził ich za chatę.

— Niech Bóg poszczęści — szepnął Wacławowi. — Wracajcie wnet. Obiad przyrządzę.

Wacław puścił brodacza przodem. Szli w milczeniu. Noc jeszcze gęsta trwała. Jednak od iskier gwiazd czyniło się na ziemi żróżnawo, tak iż można było kształty przedmiotów, topiących się w pomroku, rozeznąć.

Trzymając się wskazań Jana, szli brzegiem dawnego łożyska Leny, na którego dnie spała woda, płachtą mgły równo nakryta.

Następnie wydostali się na łąki. Rosa gęsta przysiadła trawy powalone — brnęli przez nie, jak przez rzekę.

Na prawo ku północy rozciągała się i ginęła w mroku rówienna przestrzeń z rzadkimi majakami drzew i wizjami mgły, osiadłej na jeziorach.

Na lewo, niedaleko czerniły się kępy i wznosiło się ciemne zbocze o roztopionych w zamroczny konturach.

Ciszę zamięcał jedynie daleki poszum wód — chwilami ledwo znaczny, to znowu wyraźniejszy — i szelest oroszonych traw, przez które brnęli.

Wacław, idąc w milczeniu w tropy za brodaczem, myślał długo, co może być w duszy tego człowieka; to znowu z rozrzewnieniem przypominał historję Jana. Przytem nie mógł się opędzić przykreemu uczuciu, iż przez te ciche łąki przekrada się w towarzystwie zbójcy, aby zbrodnię jakąś pełnić. Stracił je dopiero gdy się poczęły mokradła. Trzeba było całą uwagą baczyc, gruntować stopą powierzchnię, przeskakiwać z kopca na kopiec, wymijać, by nie uwieźnąć w młace. — Trafili na groblę wąską i szli już bezpiecznie dalej.

Doszli wreszcie do miejsca, gdzie wał lesisty, zatoczony od południa, przecinał równinę i zniżał się jakoby łapą ciemną ku jeziorom.

— Towarzysz na prawo? — zagadnął Wacław brodacza.

— Można — odmruknął tenże.

— Szczęścia życzę.

— Wzajemno.

Skręcił z miejsca i poszedł skrajem lasu; a Wacław ruszył przez las, minał wzniesienie i gdy wydostał się z ciemni leśnej, znalazł się na brzegu doliny, wąską szyją od wschodu zatoczonej, na zachód zaś daleko rozwartej, gdzie się z równiną stapiała. Zaraz od szyi na wschód i południe dźwigała się zboczem i rosła w przestrzeń zmroczniałą czarna noc tajgi..

— To jest to miejsce — szepnął Wacław, nie mogąc się oprzeć drzeniu. Czuł na twarzy i sercu bliskie tchnienie tajgi, jako oddech żywego potwora.

Opanował się przecie; wypatrzył na skraju kępkę wysuniętą drzew, podszedł tam, narwał gałęzi, zrobił siedzisko i usadowił się pomiędzy pniami, strzelbę wziął na kolana...

— Tędy muszą z tajgi schodzić — pomyślał.
— Może i parę sztuk się trafi...

Noc jeszcze trwała. Cisza taka nakaźna wisiała w powietrzu, że Wacław oddech przytłumił i zastygł w martwocie czekania. Gdy tak trwał w znieruchomieniu, a chwile ciszy jako sowy ponad nim na gałęziach posiadały, poczęły do-wiewać od strony tajgi głosy dziwne — jęki — poszumy — westchnienia...

— Tajga mówi — przypomniały się Wacławowi słowa Tunguzów. I wsłuchał się całym czuciem wgłębnem w tę mowę...

Naprzód z dalekich — dalekich okrain jakieś echo... Ni to myśliwski róg, ni to krzyk ostatni zwierza... Stłumione oddaleniem... Zgasło.

Zaczem ze środka lasu, z piersi tajgi wydobywa się postępek — zrazu słaby... Nabrzmiwa bólem — potężnieje — jak młoty spadają na serce jego razy... och! och!...

Czy nie ustanie?... Czy się nigdy nie skończy?! Wieczność trwa... O jęku ziemi!... Nareszcie...

Postępek słabnie — przechodzi w ciche rżenie... Ktoś w tajdze kona!

Cyt... Szelesty... Gdzieś górą... Jakby duch tajgi u szczytu prostował skrzydła...

Cisza znów. Cisza straszna. Cisza-przerazenie.

Czy wszystko zmarło?... Taka cisza ma być, gdy wszystko na ziemi zginie — i gwiazdy odlecą. Duch przestanie szeleścić.

Nic tej ciszy wyrazić nie zdoła — słowo, myśl nawet szeleści. Młoty serca jak dźwięczą w tej otchłani!... Dokądże będzie trwać? Och, przecie...

Dźwiga się głos — jak senny pomruk obudzonego potwora. Potwór mruczy... Straszny musi być jego gniew. Któż jego głód zaspokoi? Ziemię pożre, gdy wstanie.

Zasnął przecie... Śnił mu się tylko głód.

Cóż to?... Z dalekich stron — organy... Ledwo słyszalne — wiatr przynosi... Nie — bliżej... Ton wyraźny... Och — jak nastroja duszę!

Czy to ty, duchu tajgi?... Któż tak na ziemi może grać?... Coś czarownego... Skąd organy?... Przedziwna harmonja... Podnosi się ku gwiazdom i spada niżej pojęcia, w głąb ciemną... Czy to melodia zginionych ziem — czy mających się narodzić światów?... Dusza drży z trwogi szczęścia... Więc jej przeczucia były prawdą? Jest muzyka, o której nie wiemy. O — jak się górą niesie... Odpływa... Wraca...

Nie — to śpiew słyhać... jaki wysoki! Czy to w koronach drzew — czy na gwiazdach?...

Och, ty aniele śpiewny! zleć! zniż się! Niech dusza umrze szczęśliwa...

Czyż to tylko echo było? Jak smutno... Płyniecie łąy — już nie wróci.

Szum słyhać...

Nie — to czas się w wieczność przelewa...

Więc i ta chwila jedyna... O morze wieków! Na tobie my rozbitki... Pogasły gwiazdy nad nami... O wieczny, nieskończony Mroku!

Czas odpłynął... Pozostał tylko jeden ton... O jak ubogi! Jak smętny! Z czym go porównać? Chyba z duszą, na śmierć otrutą smutkiem. Nie się się górą tajgi. Ni to melodia, ni wołanie — coś dziwnie niepojętego...

I ten przepadł.

.

Na niebie poczęło dzień. Gwiazdy przygasały — niektóre już ponikły.

Dolina jeszcze była w mroku — tyle jeno od nieba rozwidniała, że się odróżnić wyraźniej dawały: szara płachta mgły, zielono-mroczne płaty łąk i czerń majacząca lasu.

Cisza, drżąca, jak zatrzymany oddech, zawisła długo w powietrzu — oczekiwanie radosne i trwożne zarazem przejęło całą dolinę. Widziało się przez spelzłą zasłonę mroku, iż się podnosi pierściami, wstrzymującami dech, naprzeciw dnia...

Dreszcz zimny, jako przeczucie oddania się ziemi światłu, przebiegł wszystko żywoistne i rozemdlil się w tęsknocie czekania.

Na ziemię poczał padać z pojaśnionego już nieba szary, sinawy pył i osiadać na łąkach, na zboczach, iż wystąpiły oczom z mroku, który je zacierał. Lecz ledwo się to stało, poczęła się na niebie rozprószać oświecił różowa od wschodu, a szary pył, osiadły na ziemi, przybrał nieznacznie barwy fioletu.

Wtedy to ze mgły, leżącej w kotlinie, dobiegł nastrojonych uszu Wacława pierwszy odzew życia: kwak cyranki.

Barwy na łąkach zadrgały, jakby potrącenie tego głosu zbudziło trawy, schylone pod rosą.

Za tem poczęły się odzywać głosy inne. Były nieśmiałe zrazu, zbudzone ze snu, pytające. Niektóre dobiegały z dalsza, z kęp jeziora, jako grzechotania ciche, niektóre zaś odzywały się, wyrażniałe bliskością, tuż z przybrzeża. Wacław rozróżniał po głosie krzyżówki, edredonki i wiele innych, które znał jeno z barwy. Głosy mnożyły się — jedne wywoływały drugie — i pogwar zataczał coraz szersze koła na jeziorze. A to wszystko działo się pode mgłą, która ścięzałą warstwą leżała na wodzie.

Dolina rozwidniała się już znacznie. Jeszcze fiolet ciemny nie spełznął ze ziemi, lecz już powietrzem jako płatki jabłonnego kwiecia spadało różowe światło i osiadało na trawach, na drzewach, mieniać się z występującą zielenią i niknącym niby cień wiotki fioletem.

Odkryły się oczom łąki, ciężkim mieniającym się płaszczem rosy przysiadłe, o plamach kwiatnych różnej barwy, przez owo rośne okrycie, niby przez szybę omgloną, majacznie przecierających.

Wysuwający z tajgi czarne łapy, cofnął się mrok, stępiony pobrzaskiem w czoło — i oszlaki mchów żółtawych, to rdzawistego piaru stały się widoczne naraz.

Wyszły też najaw z uboczy naprzeciwniejszej zielenie przerozmaite kształty cudaczne drzew,

wykroty, i idąca pomroką ku górze nigdy nie-
tknięta gąszcz omszałych świerków i jodeł.

Pobrzask rozednił las i pobudził życie przy-
czajone...

Z dalekiej gęstwi leśnej dobiegł tokot głuszca.

W skraju trawiastym naprzeciw ozwał się
cietrzew.

Wreszcie i dzięcioł zaczął pracować. Z nie-
daleka słychać było jego miarowe kowanie.

Zaczem i inne ptactwo leśne poczęło dawać
znać o sobie.

Pode mgłą na jeziorze życie już wrzało...
Kwaki, gęgania, turczenia rozszerzały się, jak
jarmarczne fale, i tworzyły dziwny koncert, tłu-
miony welną mgły, która je czyściła, iż przebi-
jały się przez nią jednym zespołem radości.

Rozbudzone ptactwo wodne różnemi głosy
chwaliło dzień, który przeze mgłę czuło. Światło
bowiem przeciekało przez gęste, zwelnione war-
stwy — i mgła, rzednąc powoli, stawała się ze
sinej liljowa. W onej liljowej rozpyli blisko brze-
gu ukazywały się barwne widma podlatującego
ptactwa; nawet ich łyskliwe szyje i strojne harfy
skrzydeł uznać było.

Wacław, siedząc nieruchomo na usłaniu ga-
łęźnem między pniami, dolinę rozwidniałą mając
u stóp, chłonał oczyma pilnemi i słuchem wy-
ostrzonym rozbuchane pokolei życie. Słuchał
uważnie tokowania głuszca, zajmował go odzew
cietrzewia, pilnie śledził robotę dzięcioła; gdy ten
począł kuć na pniu niedalekim, z zajęciem przy-
glądał się jego czarnej jak sadze opierzy o czer-
wonym, wywiniętym czepcu; lecz najwięcej uwa-

gi dawał na jezioro, gdzie gwar przeróżnych głosów dzwonił.

I pomału, nieznacznie, jako to światło proszące w dolinę, udzielała się mu radość rozbudzonego stworzenia, iż począł się czuć w zespole ze wszystkim. W piersi, dziwnem, nieznanem dotąd wzruszeniem rozgranej, zrywały mu się jakoby radosne ptaki, świt dzwoniące. Nie znał dotąd takiej szczęśliwości. Przeto wdzięczny był wszystkiemu dokoła, pozdrawiał sercem każdy odzew życia, rozbawionemi oczami śledził podlatujące we mgle liljowej ptactwo, i duszę otwierał szczęśliwą naprzeciw radości barw. Zapomniał całkiem o celu, w jakim tu przybył. Czuł się w dolinie, jak wszystko naokół: — w jednym rozświcie radosnym.

Zapatrzonego we mgłę liljową uderzył szelest z boku. Obrócił oczy, i serce mu myśliwskie zadrzało...

Na łąkę z tajgi wybiegł rogacz. Stanał przed nim niedaleko, prawie na strzał.

Wacław, gotując strzelbę ostrożnie, przyglądał mu się... Wspaniały okaz, bezpiecznie w schronach tajgi ojczystej wychowany. Jeszcze na rogach rozłożystych i na czerwonej, gładkiej sierści lśniła się rosa. Widać przedzierał się przez gąszcz. — Spóbował trawy odniechcenia uszczknął parę kwiatków, poczem podskoczył na miejscu i rozejrzał się wesoło.

Wacław począł mierzyć doń, kierując muszkę pod przednią łopatkę, gdzie pod muskulem drgało serce. Miał pociągnąć za odwód, gdy rogacz zwrócił ku niemu piękną głowę. Oczy jego pa-

trzyły prosto w oczy Wacława — tak jakoś bezobawnie, ufnie.

Wacław opuścił strzelbę na kolana. W tym momencie bowiem przypomniało mu się zdarzenie jedno, gdy polował z Osmanem na kozły. Postrzelił kozła — i gdy przypadł ku leżącemu na ziemi, zobaczył wyraźnie, jak z dużego, łagodnego oka spłynęła łza i spadła na liść... Jak perła — została długo na liściu. — Nieraz to przydarzenie wyrzutem go nachodziło. Czemu znów teraz? Sam zły był na się za to — jakby kiedy indziej powiedział: — rozmiękczenie.

Ujął strzelbę powtórnie, lecz znów ją opuścił. Kłóciło się w nim dwóch — wyraźnie dwóch ludzi.

— Zabij! Okazja się nie trafi...

— Poczekaj... Trzeba pomyśleć...

— Ujdzie!

— Zaraz... Przypatrzę się tylko...

I począł się przypatrywać rogaczowi, który nic nie przeczuwając baraszkował swobodnie na łące.

Ślady jego lekkomyślne na siwym płaszczu rosy kreśliły ciemny ornament. — W momencie pewnym stanął, nastawił ostre żłobki uszu na melodię rozzwonionego życia na jeziorze — i oczy jego jakoby uśmiech rozszerzył. Świeciła się w nich radość wielka, beztroskie szczęście istnienia. — Potrząsnął swą dumną, uwieńczoną głową i znów w zachwycie sposązał. — Rogi jego zapłonęły w potężniejącem szybko świetle, jak ogniste latorośle. — Po gładkiej, czerwonej sierści zbiegały złote połyski. — Radość nadmier-

na nie dała mu chwili trwać w bezruchu. Podskoczył z miejsca jako płomień i zawiódł swój lekki taniec.

W owej chwili na łąkę wybiegł z tajgi drugi... W podskokach tanecznych przypadł ku niemu. Poczęli się swawolnie szermować rogami...

W sercu Wacława trwała jeszcze kłótnia.

— Strzel teraz. Obu położysz.

— Zaraz. Niech się im przypatrzę.

— Na co czekasz?

— Piękne są...

W tym momencie padł w dolinę z poza wzgórz tajgi pierwszy grot słońca...

Równocześnie z kępy pobliskiej przestrzelił ku wodzie z krzykiem szary bekas — głos jego ostry, donośny przeciął powietrze, jak świst cyrkularki.

W odpowiedzi na to krzyk się na jeziorze podniósł. Rozgwar się wzmógł.

Z poza wzgórz tajgi raz wraz groty padały ogniste — — aż z niespodzianą szybkością stanęła na zębach lasu w krzyku płomieni lśniąca kula...

Szał najwyższy ogarnął dolinę.

Wacław uczuł się olśnionym. Cisnął od siebie strzelbę — wstał — i wyciągnął ramiona do słońca, jak skrzydła. Najwyższem uczuciem serca, radością napełnionego, dziękował za łaskę Świtu...

Naraz wpadło w dolinę dalekie echo strzału. Widać brodacze polowali.

Krzyk grozy wzniósł się z nad jeziora... Wacław widział przed sobą w zamgleniu światła

przerażone oczy dwóch rogaczów, które przestraszach na moment znieruchomił — poczem zabrały się i oglądając się na boki z trwogą, łukami pomknęły w tajgę. Jeszcze rogi ich wybłyskujące z drzewiny niższej widać było.

.

Słońce już było wysoko, mgła się rozpyliła i wsiąkła w błękit, gdy Wacław opuścił dolinę.

Idąc zpowrotem do chaty Jana, czuł z dziwnie tkliwą radością narodzone w piersi nowe życie. Jak perła — błyszczała na liściu przed oczyma serca jego łza, spadła z żalu za życiem z ciemnego oka umierającego kozła.

SPIS RZECZY.

	Str.
Juzyna	5
Błazkowa łysina	18
Wojtusiowe lato	26
Opowieść o płanetniku	59
O Wojtku, którego na Szczepana przekręcili . . .	65
Lis	75
Świt nad Leną	85

„DLA WSZYSTKICH.“

Nowele, Podania, Legendy, Opowieści, Humoreski.

Serja A: Pisarze Polscy.

1. DOMAŃSKA, A. Złota przędza. Wydanie drugie.	—,45
2. — Kuglarz Matki Boskiej. Leg. Wyd. drugie	—,50
3. — Krzyż w Probołowicach. Leg. Wyd. drugie	—,45
4. — Ave Maria. Legenda. Wydanie drugie	—,45
5. — Czeladnik majstra Szymona. Legenda. Wy- danie drugie	—,30
6. GLIŃSKI, K. Ostrzeżenica. Now. Wyd. drugie	—,30
7. JESKE-CHOIŃSKI, T. Rycerz bandyta. Nowela Wydanie drugie	—,40
8. — Trubadur w pułapce. Now. Wydanie drugie	—,45
9. JEZIEŃSKI, E. O skarb Gwajkurów. Opowia- danie. Wydanie drugie.	—,90
10. — Za wiarę i ojczyznę. Opow. Wydanie drugie	—,40
11. TUCHOLKOWA, St. Dziewica Orleańska. Po- wieść hist. Wyd. trzecie. Z ilustr.	—,90
12. JESKE-CHOIŃSKI, T. Sąd Boży. Wydanie drugie	—,40
13. DOMAŃSKA, A. Królewska niedola. Powieść hist. Wyd. trzecie. Z ilustracjami.	
14. JAROSŁAWSKI, M. Odwet Drzymały. Nowela.	
15. — Szwaabski niewolnik. Nowela. Wydanie drugie	
16. — Patrol wigilijny. Nowela	
17. DOMAŃSKA, M. Siostra Hanna. Wyd. drugie	
18. — Żona ulana. Nowela. Wydanie drugie	
19. — Panienka ze dworu. Nowela. Wydanie drugie	
20. BAŁUCKI, M. Latawica. Nowela.	—,35
21. — Za późno. Nowela.	—,35
22. BOGDANOWICZ, E. Błękitna pantera. Z ilustr.	
23. — Sępie gniazdo. Opowiadanie. Z ilustracjami	
24. GOMULICKI, W. Strach. Opowiad. żołnierskie	—,20
25. — Syrena. Opowiadanie	—,15
26. — Sługa. Opowiadanie	—,55
27. — Zakazane. Opowiadanie	—,20
28. — Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd „pism“ swoich napisać. Humoreska	—,20

(w druku)

29. JASIŃSKI, K. J. Dawni ludzie. Opowiadania Z ilustracjami	—,50
30. STODOR-CEHAK, A. Czarna ściana. Nowela.	—,40
31. MORAWSKA, Z. Skarbiec Faraona. Opowieść egipska	—,40
32. ORWICZ, J. Gołębie. Szkic powieści. . . .	—,50
33. — Cyrograf. Nowela	—,30
34. GLIŃSKI, K. Przeklęty ród. Nowela. . . .	—,60
35. — Ave. Nowela	—,50
36. CIEMBRONIEWICZ, J. Mistrz Twardowski. Opo- wiadanie. Z ilustracjami	—,75
37. WIERZBIŃSKI, M. Księżyna, Opowiadanie .	—,20
38. SEWER. Zielona Latarka. Nowela.	—,50
39. JACKOWSKI, N. M. Tumba. — „Ojciec nasz“. Opowiadania z puszczy amerykańskich . . .	—,35
40. — Marja Antonina. Humoreska brazylijska	—,40
41. GLIŃSKI, K. Wielki szlem. Wujaszek. Nowele	—,25
42. KROPIWNICKA, C. Giewontowy Hufiec. Opow.	—,50
43. SEWER. Mama sobie życzy. Nowela	1,10
44. GLIŃSKI, K. Murlaj. Nowela.	—,15
45. — Kowalowa góra. — Na widocie. Nowele .	—,25
46. WIERZBIŃSKI, M. Pięść Marcina Wilczka. Now.	—,25
47. SEWER. Łusia Burlak. Nowela	—,65
48. — Pierwszy utwór. Nowela	—,45
49. GLIŃSKI, K. Pan Radca. — Filipek. Nowele	—,30
50. SEWER. Na pobojuwisku. Nowela	—,90
51. GAWALEWICZ, M. Sprawa honorowa. Nowela	—,60
52. — Jööl. Nowela	—,30
53. JAROSŁAWSKI, M. Walczące widma.	—,60
54. KRASZEWSKI, K. Skuteczne wody. — Pokolei Humoreski	—,40
55. SZELBURG-OSTROWSKA, E. Legendy żołn.	—,40
56. KRASZEWSKI, K. Wyprawa na żubry. — Plama Humoreski.	—,40
57. KRZYŻANOWSKI, A. Za winy niepopłacone. Nowela	—,60
58. KRASZEWSKI, K. Nehemi. — Reb Icek. Hum.	—,30
59. DOMAŃSKA, A. Orleńta. Trzy opowiadania .	—,60
60. ŻEGOTA, R. Czarne uroki. Opowieść współcz.	—,70
61. KRASZEWSKI, K. Trzewiczek. Nowela . . .	—,80
62. BELIDZYŃSKI, J. Z dni krwi i chwały. Now.	1,30
63. KORWIN, J. Zemsta. Nowela	—,65
64. DOMAŃSKA, M. Dzwony. — Śmierć Jana Cho- dora. Dwa opowiadania	—,60

65. KRASZEWSKI, K. Białonóżka pana majora. Now. —, 90
 66. SOKOŁOWSKA, Z. Zaklęty młyn. Opowiadanie historyczne
 67. WIERZBIŃSKI, M. Virtuti militari i in. nowele.
 68. SADOWSKA, A. Wiedźma. Nowela
 69. SZCZEPKOWSKI, J. Niebezpieczna podróż — Koleżanka. Nowele.
 70. ORKAN, W. Opowieść o planetniku. Nowele.
 71. SZCZEPKOWSKI, Z. Wrogowie ludu. Powieść.
 72. REUTTÓWNA, M. W cygańskim obozie. Pow.
 73. SZCZEPKOWSKI, J. Wysłuchani. Nowele

Serja B: Pisarze Obcy.

Narazie ukazały się względnie ukaza się następujące numery:

100. GUYON, K. Przygody młodego wyspiarza (bezpl.)
 101. — Na dalekim Zachodzie
 102. HELLIN P. Z tajemnic Egiptu
 103. DICKENS, K. Wytropiony
 104. COLLINS, W. Żółty tygrys
 105. GUYON, K. W krainie Gris-Gris
 106. — Nad brzegami Gangesu
 107. LINEL, K. Pierwsze pomysły wielkiego wynalazcy
 108. HELLO, E. Opowieści niezwykle
 109. GOBINEAU, A. Gamber-Ali
 110. GUYON, K. W krainie diamentów
 111. SZOTTOWA, A. Skarby olbrzyma Baśn. angielski.
 112. FARNEY, M. Wśród stepów i pustyń Mongolji.
 113. JANSON, G. Fantazja
 114. SAMOY, R. Perła Wschodu
 115. PELLIER, H. Na tajemniczej wyspie
 116. DOREY, L. W głębi Indochin
 117. SOKOŁOWSKA, Z. Zeschły liść
 118. DEBASTE, R. Nad morzem Bretanji
 119. CRAIK, MRS. Snycerz z Bruges
 120. SAMOY, R. Ziszczone nadzieje
 121. SZOTTOWA, A. Tom — Tit — Tot
 122. CONWAY, MRS. Tajemnica Stradivariusa
 123. PELLIER, H. Młody Czarnoksiężnik
 124. SOKOŁOWSKA, Z. Gwiazdooka
 125. GASKELL, E. C. Szara Kobieta
 126. SAMOY, R. Wśród puszczy i śniegów Alaski.

OGROMNY WYBÓR KSIĄŻEK DLA MŁODZIEŻY

Najulubieńszych Autorów Polskich i Obcych.

Bogdanowicz, Czeska, Domańska, Dyakowski, Margert, Korsak, Rosinkiewicz.

Cooper, Finn, Marryat, Verne, Wells.

Żądajcie do przejrzenia!

W Poznaniu:

w Księgarni św. Wojciecha

Plac Wolności 1.

W Warszawie:

w Księgarni M. Szczepkowskiego

Aleja Jerozolimska 39.

W Wilnie:

w Księgarni św. Wojciecha

Ul. Dominikańska 4.

W Krakowie:

w Księgarni Krakowskiej

Ul. św. Tomasza 35.

W Lublinie:

w Księgarni św. Wojciecha

Krakowskie Przedm. 43.

CYROGRAF





JERZY ORWICZ
(NATALJA DZIERŻKÓWNA)

CYROGRAF

NOWELA ODZNACZONA NA KONKURSIE „ROZWOJU”
IMIENIA BOLESŁAWA PRUSA

POZNAŃ WARSZAWA
KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

CZCIONYMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

Z myśli Prusa:

— Pieniądz naprawdę jest wielką potęgą, tylko trzeba umieć go użyć. (Lalka.)

— W najgorszym położeniu trzeba robić co możemy i co do nas należy... (Faraon.)

— Cudza nędza boli nas, chodzi za nami... Jest jak rana, która dopóty nie zagoi się, aż pomożemy wedle naszych sił... (Emancypantki.)

— Wujku!... Wujku!... Niech wujek złobi „dech pies!“ O tu... tu... tu!...

To mówiąc czteroletni malec, uczepiwszy się mocno rękawa wyszarzanego studenckiego munduru, ciągnął wuja za sobą na dywan salonu.

— Będziesz ty mi cicho, raku zatracony!... — ofuknął go student, robiąc marsa i groźnie potraszając nad malcem bujną czupryną, niby lwią grzywą.

— To wujek tak zatłacony!... Alia!... — wrzeszczał dzieciak wcale niezbity z tropu. — Mute! ce „dech pies!“ „dech pies!“

— Poczekaj! Coś nowego zrobimy! Trzymaj się mocno! Ot tak!... i... buch kasztan do wody!

Tu wujek zrobił nagle z siostrzeńcem wspaniałe salto - mortale. Pulchne, białe nóżeta zawirowały w powietrzu, kraciaste spodeńki mignęły jak piłka ciśnięta w górę, i zanim się malec zdolał opamietać, już wujek, wywróciwszy sam kozła, leżał rozpostarty nawznak na dywanie, trzymając na piersiach Mutka, który, zorientowawszy się szybko w sytuacji, usadowił się jak na koniu i końce rozwiązanego w zamięcie wujkowi krawata pociągał, jak lejce, zamaszając się od śmiechu!

— Brawo mały!... Zuch Mutek! — śmiał się też student.

— Brawo wujek!... Ziuch wujek!... — wołał dzieciak, zachwycony nowym eksperymentem.

Imponował mu ogromnie ten wujek o atletycznej postawie i wyrobionych muskułach, odznaczający się przytem niewyczerpaną pomysłowością w wynajdywaniu coraz to ciekawszych figielek. Nie udało się też wykrecić od owego ulubionego przez Mutka: „dech pies“, polegającego na leżeniu chwilę bez ruchu na podłodze w wyczekującej pozycji i niespodziewanem zerwaniu się, dla pochwycenia zręcznie malca za ucho lub za spodeńki niżej pleców i potrząsania nim w powietrzu.

Zwabione hałasem i śmiechem w salonie, wtoczyło się jak kula z sąsiedniego pokoju dwuletnie maleństwo i gramoląc się z mozołem na wzniesioną pierś leżącego studenta, jak na górkę, wołało klaszcząc w dłonie:

— I Lala tu!... I Lala tu!...

Ale Mutek bronił energicznie swego stanowiska, choć Lala ze swemi śmiesznie zacisniętymi piastkami i czerwonymi strzępami wstążki, związanej na czubku głowy, wygrażała mu, jak mały wódz Irokezów.

Mutek odtrącał ją wzgardliwym ruchem, aż się zachwiała i tylko silna dłoń wujka zdołała utrzymać jej równowagę.

— A to co znowu?... Mutek!... Bić siostrę?... A ty smarkaczu!... — ofuknął go student.

— Poco nam przeszkadza?... Niech idzie do niani! — wołał mały zawadziak, wydymając usta pogardliwie.

Wtem drzwi się otwarły z łoskotem i dwóch wyrostków w uczniowskich bluzach wpadło jak wichur do pokoju.

Twarze mieli zarumienione, oczy iskrzyły się radością, w ręku trzymali łyżwy, a jedyny powiew słonecznego dnia zimowego wiał od nich.

— I chce się to wujkowi z temi malcami wdawać! Łódź, jak szyba! Rozkoszel... My zaraz po obiedzie znowu na staw!

— A jakże!... Dam ja wam staw!... A algebra to pies?... Nie zagiądaliście dziś do książki od rana. Zwleka się tak z dnia na dzień, a potem będą pały!

To mówiąc student zerwał się na równe nogi i przybrał wyraz rzeczywistej powagi.

Chłopcy przycichli. — Na wspomnienie książki jakoś zły humor ich obleciał. Młodszy udawał zajętego mocno majstrowaniem koło łyżwy, starszy zaś mruknął pod nosem:

— Toć jeszcze czas świąteczny! Dość już tego kacია mamy przez cały rok!

A wówczas młodszy nabrał rezonu i przytakując bratu dodał:

— A pewno!... Przynajmniej na wsi można by się obejść bez tej mordęgi!...

— A! to dobre sobie! — zawołał student, wybuchając gniewem. — Wiecie dobrze, że w domu się nie przelewa!... Z ostatniego się ciągnie, by was w szkołach utrzymać, a wy uczycie się, jakby z łaski!... Lepiej w takim razie brać się co prędzej do rzemiosła; żadna praca ułmy nie przynosi, byłby z was przynajmniej pożytek jaki taki! A tym smykom głupstwa w głowie!

— Co tak perorujesz, Bohdanie? — odezwał się nagle słodki, łagodny głos kobiety.

— A no gagatków twych musztruję — odparł szorstko nieomal młody człowiek, gładząc swą rozwiehrzoną czuprynę.

Chłopcy sposepniali, patrząc na matkę zukosa, ale ona, obejmując całą grupę spojrzeniem, nie pytała już, o co chodzi, uśmiechnęła się tylko pobłażliwie na widok ich zafrasowanych twarzy.

— Waza na stole — rzekła pani Wojniczowa, biorąc Lolę na ręce i prowadząc Mutka przodem. — Bohdan! Będiesz dziś miał na obiad, coś, co bardzo lubisz, a co przypomni nam dziecińne lata!...

— Poczciwości z ciebie kobieta! — odrzekł brat, klepiąc ją zlekka po ramieniu. — Tylkoby to wszystkim dogodzić chciało!... A wiesz Halu, że już, Bogiem a prawdą, te garkuchnie kijowskie kością w gardle mi stoją! Prostu myśleć nie mogę o tych obrzydłych tłuszczach, któremi nas karmią, jak samojedów!

— Bah! To też mówił Wiktor, że tygodniami całemi zadawał się herbata z przekąskami. Bałam się, żeś już wychudł jak szczypa...

— Ha! ha! ha!... Patrz, jakie bicepsy! Pycha! — zawołał Bohdan wesoło, zasiadając do dymiącej zupy. — Jakbym lunął kogoś oto pięścią, toby się kości z pewnością nie doliczył!

— Już to lepiej bez takich prób, mój kochany, bo u was i tak podobno wiecznie jakieś fermenty, zatargi i awantury w uniwersytecie! Dajże Boże, abyś choć wyszedł cało i tę swoją medycynę spokojnie ukończył.

— A no, nie próżnujemy! Przeszły święta, jak z bicia trzasł, trzeba już zbierać mianątki i wracać do budy. Roboty huk! Będziemy kuć na potęgę. Prawda chłopcy? — zwrócił się nagle do siostrzeńców — wstydu mi nie przyniesiecie, co?...

— Żebyś ty wiedział, Bohdanie, jak mi cięży na sumieniu, że tyle czasu tracisz dla nich — westchnęła pani Wojniczowa.

— Głupstwo!... Niema o czem mówić! Miałaś podobno list od Wiktora? — zapytał nagle Bohdan, chcąc zwrócić rozmowę na inny temat. — Jakże tam? Dobrze poszła sprawa?

Na twarzy Wojniczowej odmalował się wielki smutek i przygnębienie.

— Wiesz przecie... Wiktor, jak Wiktor!... Zawsze unosi się zbytnią wspaniałomyślnością.

ścią... a przytem chory, zdenerwowany... Interesa strasznie go męczą i wyczerpują.

— Więc nic nie wskórał?

— Prawie nic!

— To kiepsko!... Jakże będzie z tenetą?

— Cała nadzieja była, że z Malewiczem zgodnie skończą i choć trzecią część należności dostanie. Ale ten się ukrywa, wszystko podobno przerobił na imię żony... Wiktor tylko napróżno wykosztował się na podróż, rozchoruje mi się znowu i na tem koniec! Tyle razy już tak bywało!

— Musicie znów zaciągać pożyczkę?

— Skądże? Ani marzyć o tem! Żydzi i na pięćdziesiąt procent nie dadzą, a i tak już mamy ciężkie zobowiązania... Pomyśl tylko: trzy lata z rzędu nieurodza!... I na swoim ludzie bankrutują, a cóż dopiero na dzierżawie!

Zamilkli oboje. Poważne troski zaciążyły nagle na sercu kamieniem.

Wojniczowa pochyliła głowę i westchnęła.

Bohdan rzucił przelotne spojrzenie na chłopaków, jakaś niepewność i trwoga zasępiła też ich twarze, młodszy pociągał nosem, jakby mu się na płacz zbierało.

Tylko Mutek i Lala odkradając sobie cichaczem szklane podstawki do noży, ze swych wysokich krzeseł spoglądali filuter-

nie na matkę, zdziwieni trochę, że ich nie strofuje, aby się grzecznie zachowywali przy stole.

— Ileż to jeszcze wody upłynie zanim ten drobiazg wyjdzie na ludzi!... Ile harowania... kłopotów, męki! — myślał Bohdan, wpatrując się z serdeczną troską w bladą, o regularnych rysach twarz siostry. Uczuł w tej chwili niezmierną litość dla tej kobiety, która nigdy jeszcze w życiu prawdziwego spokoju nie zaznała.

Był od niej młodszym o lat ośm. Gdy zostali sierotami, otaczała go macierzyńska prawdziwie troskliwością. Zamaż wyszła bardzo młodo, za człowieka chorego, niepraktycznego, dziwnie przytem nie mającego szczęścia do wszelkich afer, pomimo że brał się gorliwie do różnych przedsięwzięć. Był nawet wcale niezłym gospodarzem, lecz prześladowały go klęski, wciąż wytrącające z równowagi.

Głównie jednak ster rządów opierał się na pani Hallnie. Pracowała prawie nad siły, pomimo to życie ich toczyło się jak po grudzie, wśród tysiąca owych drobnych utrapień, które byłyby zdolne każdą inną niż ona oddawna zniechęcić, ale Wojniczowa nie poddawała się nigdy. Z całą niespożytą energją zamyłowanej w porządku mrówki.

obdarzona również, jak ta ostatnia, wielkiem poczuciem obowiązkowości, nie upadała na duchu. Bohdan kochał w niej nie tylko siostrę, ale pewien ideał kobiecości, jaki był sobie stworzył. Halina wyróżniała się z całego szeregu typów kobiecych, jakie spotykał. Była uosobieniem cierpliwości, pogody, wyrozumiałości i słodczy, tych cichych, nie błyskotliwych, ale jak kruszec drogocennych zalet umysłu i serca. Biła od niej światłość czystej, mieszkawej natury. Trudno jej było tylko dawać sobie radę z chłopcami. Mieli poczciwe popędy, charakter otwarty i prawy, ale nauka szła im opornie.

Od czasu jak odwieziono ich do szkół, Bohdan, pomimo że miał zajęcia wyżej uszu, przerabiał lekcje z nimi i urządzał im pilę za każde zaniedbanie, tak że w ostatnim kwartale mieli już znacznie lepsze stopnie. Sam zaś od trzeciej klasy szedł prawie o własnym chlebie, wyrobił też sobie już pewną renomę świetnego pedagoga, udało mu się bowiem już kilku patentowanych osłów i nieuków z bogatych domów „wyprowadzić na ludzi“.

Koledzy dziwili się nieraz Bohdanowi, stojącemu przytem na czele paru kółek stu-

denckich i stowarzyszeń, że miał dar. szczególny znajdowania czasu na wszystko.

Z Haliną, chociaż widywał się teraz za- ledwie parę razy do roku, gdyż na wakacje przyjmował zwykle kondycję, rozumieli się jednak doskonale, nawet bez słów. Jedno przelotne spojrzenie wystarczało często, aby sięgnąć do głębi duszy. Skarga rzadko wy- pływała na usta. Starali się przeciwnie krzepić wzajemnie i dodawać sobie otuchy.

Ale w danej chwili położenie materialne Wojniczów stawało się tak krytycznem, że trudno było ukrywać je dłużej.

List beznadziejny Wiktora zgnębił ich; oczekiwany lada dzień powrót szwagra nie- pokoił mocno Bohdana.

Wiedział, że Wojnicz ma wadę serca, że każde wzruszenie jest dla niego zabójcze.

Jeśli plenipotent krabiny, od którego trzy- mał Zarzecze w dzierżawie, będzie nalegał z opłatą zaległej raty, nie było punktu wyj- ścia z tej gmatwaniny interesów.

Bohdan napróżno łamał głowę, jak przyjść z pomocą.

Gdyby istniały lombardy, w których blegli znawcy umieliby taksować dusze ludzkie i pod ewikcję ich wydawać zaliczki,

Bohdan nieomieszkałby swoją tam ulokować oddawna...

Ale zapał, energia, dobra wola, zdolności umysłowe, to wszystko są skarby, które tylko w asymilacji z życiem mają realną wartość. Zamienić zaś je na brzęczącą monetę ciężko... jak ciężko, wiedział o tem dobrze Bohdan. Tyle mu już najlepszych godzin życia pochłonęły bezpowrotnie owe polle „kory“ i „kondy“, za którymi jednak uganiać się zapamiętałe był zmuszony. Gdybyż już raz przebrnąć te lata studjów i dobić się jakiego takiego stanowiska!

Prócz osobistych pragnień, ileż to marzeń o szerokim zakroju, ile pracy społecznej miał przed sobą!...

Wrzało w nim młode, jędrne życie, wytężone pracą myśli już mu brózdę głęboką wyrzeźbiły na czole, niedospane noce, jakby piaskiem nieraz zasypywały znużone długiem czuwaniem oczy.

Przy wyjeździe na święta fizycznie radowała go myśl jedna, a mianowicie, że się wyspać będzie mógł dowoli... Ach! spać, spać bez tej myśli, że trzeba się zrywać wcześnie znów do tej ciężkiej moralnej orki, o głodzie, chłodzie, znużeniu...

Rozkosz umysłowego odpoczynku ocenić może ten tylko, kto jak on, bez wytchnienia, „bez przecłuka i średnika“... żyje życiem wyętej pracy przez lata całe...

Wojnicz powrócił nazajutrz zziębnięty, zdrożony, jak to żona przewidywała, na kilka dni do łóżka musiał się położyć.

Przywiózł jednak pomyślne względnie wieści; udało mu się bowiem wkeksel na sumę, którą uważał już prawie za straconą żydom w miasteczku spieniężyć. Wbrew też oczekiwaniu, dapożyczono mu jeszcze na rachunek przyszłego zbioru tyle właśnie, ile na opłatę dzierżawy oddać był zmuszony.

Ciężka więc troska, przynajmniej jak na teraz, została zażegnana. Wojniczowa chodziła rozpromieniona, Bohdan pogwizdywał wesoło, chłopcy, korzystając z ogólnego dobrego humoru, jeśli wyliczać, że ponieważ przypada na początku przyszłego tygodnia galówka i święto, więc mogą jeszcze o parę dni opóźnić wyjazd.

Halina od czasu do czasu zaglądała do komody z bielizną, gdzie na dnie samem ukryła przywiezione przez męża pieniądze, uważając, że to jest najbezpieczniejsza kryjówka. Przeliczyla banknoty ukradkiem,

ciesząc się niemi i jakby nie wierząc swemu szczęściu.

Za kilka dni przypadał ostateczny termin rozrachunku. Wojniczowa miała zamiar wyręczyć męża, ale oparł się temu stanowczo.

Bohdan odjechał sam, żegnany serdecznie, uspokojony znacznie, rażny, wesoły, wypoczęty. Noc całą przespał w wagonie, a nazajutrz po południu wpadł do swej studenckiej parterowej izdebki, którą nawspół z kolegą, w dość odległym od centrum punkcie miasta zajmował.

Dzień był mroźny, słoneczny; rozległy i majestatyczny Kijów przedstawiał się wspaniałe; dzwięczały ochocze dzwonniki, śnieg skrzypiał pod nogami. Bohdana ogarniała jakaś bezprzyczynowa ogromna radość życia; rwał się już do roboty, do czynu.

Są takie chwile wewnętrznego nastroju, kiedy nadmiar energii życiowej jakby skrzydła do ramion przypina. Stapał nawet lżej, jakby nie idąc, a raczej płynąc w błękitnem powietrzu przezrocza.

Rozsłonecznione śnieżne pyłki szronu drgały świecąc i mieniając się tęczwami barwami. Przechodnie mieli też wyraz rozradowania i wesela na zarumienionych od

mrozu twarzach. Bohdanowi zdawało się, że niektórzy uśmiechają się życzliwie, patrząc na jego junacko na czubie ziniętą czapkę studencką i wyglądającą z pod niej śmiejące się do światła oczy.

Mijając lustrzaną szybę, zauważył, że i kołnierz munduru gra w słońcu jakoś odświeżenie. Miał złudzenie, że go po parotygodniowym niewidzeniu witają wszyscy i wszystko: ludzie, domy, dorożkarskie szkapy, lustrzane szyby, okryte szronem wysnuikle topole i wielki, dominujący nad całym miastem, gniach *almae matris*. Gdyby tak spotkał Ankę!... błysnęło mu w myśl.

Spojrzał na zegarek. O tej porze ma lekcję muzyki — pomyślał. Wszedł do studenckiej knajpki, mając nadzieję zastać tam którego z kolegów i zaczerpnąć cośniemoś nowin ze świata.

Jakoż nie omylił się.

Witek Dolmund siedział już przy stoliku, spożywając swe zwykłe śniadanie.

— Wiesz, Bohdan, że już trzy razy byłem u ciebie — zawołał na wstępie — i to uważasz, nie myśl sobie, że gwałtowny afekt pchał mnie po tych karkołomnych waszych jarach, ale ten piernik, Kosiński, na ciebie zagiał parol!... A że, jak ci wiadomo, papa

Kozinski ma zaszczyt być kuzynem Leniewskich, a uważasz, panna Maryla Leniewska..

— No, no, już wiem! Mądrej palce — dość głową w lebi!... Ależ czego chce ode mnie Kozinder?... Pewno już zgóry chce się zagwarantować, abym w jego asinusa w czasie wakacyj mądrość wszelaką wlewał. Konda fein, ale synalek leń pierwszej próby.

— Wyobraź sobie, że ten cymbał pozostaie w domu, chorowity ma być, anemiczny, doktorzy radzą trzymać na wsi. Stary ułożył sobie, że nikt inny tylko ty musisz mu synka edukować i przygotować tak, aby zdał odrazu egzamin dojrzałości. Zapłaci słono. Chce, abyś jechał z nim zaraz. Jest na to zgóry zdecydowany. Ale czy ty się zdecydujesz?... tego już ani ja... moj drodzy parafianie, ani Kościół święty wiedzieć nie jest w stanie!...

To mówiąc Witek rzekrzyżował ręce z komicznym patosem, był to bowiem filglarz znany w całej „studenckiej“ kolonii, wyborny monologista i facecjonista.

— A pierze na niego!... — zaklął Bohdan. — Co? Ja miałbym rzucić budę, aby się zagrzebać żywciem w ich głupiej Bursztynówce? Trzydzieści wiorst od kolei!... Stary mantyka fiołka ma w głowie! Rzucić me-

dycynę dla belferki! Tfu! Wściekł się Kozinder, czy jakiego licha?...

— Czegóż się ciskasz?... Powiadam, co mówię! Chcą cię gwałtem, łakną — wyrrywają. Więc, mówię ci, uważasz, tak a tak! A ty sobie wybieraj: wóz czy przewóz. Dla mnie „ganz pomade“, a zresztą, wiesz co? Gdybyś się tam machnął, zająłbym twoją more z gustem. .

— Każ się wypchać! Ani myślę jechać! Właśnie mam teraz taki wściekły pęd do roboty, że powiadam ci „góry z drogi — lasy z drogi“!...

Tu Bohdan machnął ręką tak siarczyście, że aż się ciastko jedno z koszyka stoczyło na ziemię, jakby impetem jego wystraszone.

— Cyt Bohdan! Sfiksowałeś? Ciastko z kremem! Całą dychę zmarnował! Właśnie miałem apetyt je wgarnąć!

Zaczęli mówić o czem innem. Sprawy uniwersyteckie i społeczne pochłonięły całkiem ich uwagę, rozeszli się w przeciwnie strony, przyrzekając spotkać się nazajutrz wieczorem u Leniewskich.

Bohdan obiecywał sobie wyspać się „archanielsko“, chociaż w jego pokoju okazało się zimno iście podbiegunowe, szyby były okryte lodem.

Przez cały czas jego nieobecności izby nie opalano, tak że z trudem można ją było ogrzać.

„Szłafkamrat“ jeszcze nie powrócił.

Zima była niezwykle surowa, nocą zwłaszcza mróz ścisnął wprost żelazną dłonią.

Bohdan okryty kołdrą i płaszczem mimo to zasypiając szczełakał zębami, klnąc w duchu oszczędność tej „starej małpy“ gospodyni, która pokój narożny, wychodzący na ulicę i najzimniejszy w całym domu oddała lokatorom, sama się z trzema kotami mieściła w drugiej połowie, w której piec na nowo przerobiono.

Na wszelkie protesty studentów odpowiadała lakonicznie:

— Młodzi jesteście, krew gorąca was grzeje!

A czasem dodawała z przekąsem:

— I czego się to szastać? Wiecznie drzwi pootwierane, nie stać mię przecież na to, aby opalać ulicę!

Po tym argumencie zaraz jakoś o zaległym komornem była mowa, a że ten temat znów był mocno studentom niemiły, zamykały się więc pośpiesznie drzwi izdebki, gdy stara gderząc dreptała po korytarzu i ze swojemi ulubionemi kotami wiodła pieszczotliwe rozmowy.

Już musiało być dobrze po północy, gdy nagle w okno Bohdana ktoś zapukał wyraźnie. Przewracał się właśnie na drugą stronę i przez sen mu zamalaczyło, że go ktoś napastuje.

Pukanie powtórzyło się.

Bohdan ułósł się na posłaniu, cwionęło go zimno niemile, z okna dmuchał wiatr z taką siłą, że czuł jak mu włosy podnosi nad czołem.

Brr!... Zły był teraz na świat, na mróz, zwłaszcza zaś na siebie, że się dał namówić przez kolegę, aby zamieszkać z nim w tej podłej dziurze! Gdy pokój wynajmowali w jesieni, wydawał się wcale niezgorzszy, ale piesby nawet zimować tu nie chciał z dobrej woli, urągał Bohdan, obiecując sobie na pociechę, że jutro ze stają małpą „musi pogadać, jak należy!”

Znów od strony okna rozległo się nieśmiałe pukanie.

Bohdan zerwał się i siadł na łóżku wściekły z gniewu.

— A cóż to znów za szopki do kroćset?— zawołał. — Po nocy? Żandarmy, czy co u licha? Ale ci nie robią sobie ceremonij. Kopnęliby się przez brame — i dobijali u wejścia!

Zapalił zapalkę — świecy pod ręką nie było. Przyszło mu na myśl, że świec kupić zapomniał, lampa zaś wypaliła się docna z wieczora.

A pukanie powtarzało się wciąż, niby irwożliwe, a groźne wśród panującej dokoła ciszy zupełnej.

— Duch jakiś?... A może to ten wariat Leon przyjechał nocnym pociągim? Pewno nie może dobudzić się stróża i dać znać o sobie. Czemuż psiakrew nie dzwoni?...

Rozbudzony już całkiem i ciąglem pukaniem podrażniony, skoczył do okna i otworzył z wewnątrz okiennicę. Ale zamarznięte szyby wyglądały jak grube matowe zasłony w wysmukłe, lśniące palmy tkane.

Bohdan próbował ogrzać zapalką punkt jeden, aby zrobić wylot w tej szklistej, zimnej powierzchni, ale i to mu się nie udawało.

— Kto tam? Czego chcecie ode mnie? — zawołał gniewnie, wyrażając głos, aby być słyszany.

Tym razem wyraźnie zarysował się cień ludzki na tle szyby.

— Puście mnie! Na litość Bożą! Dajcie ogrzać się choć na jedną chwilę... Skrzeplem z zimna i głodu.

— A to mi dopiero wesoły pasażer! — mruczał Bohdan, zatrząskując gwałtownie

okiennicę. — Co za bezwstydną śmiałość tych włóczęgów!... Może poprostu złodziej na takie fortele się bierze? Niewieleby się co prawda, pożywił umnie! Dla biedaków są przecież przytulki za groszową opłatą!...

Trząśł się cały — zęby dygotały z zimna, jak w febrze.

Na dobitek złego drażniło go własne roztargnienie i brak świecy w mieszkaniu.

— Jutro zrobię zapas, — postanowił sobie — aby się w tak głupim położeniu nie znajdować!

Wydało mu się, że cichy jęk, podobny do skowyczenia psa, rozległ się za oknem.

Ulica była cicha, odludna; stróż nocny widocznie snem zmożony przykucał w jakimś kącie, gdyż i jego miarowych kroków i drewnianej kołatki słyszeć nie było.

Bohdan skrył się pod kołdrę, naciągając ją na głowę i ziewając potężnym basem. Ogarniała go wielka senność, ale przytem dziwny niepokój i podrażnienie sen spędzały z powiek. Odczuwał obecność owego intruza za oknem i sprawiało mu to niemal fizyczną przykrość, wydawało mu się bowiem, że oddech czyjś mroźnym powiewem twarz jego muska, że coś szepce, skarży się, złorzeczy...

W znużonej wyobraźni poczęły wikłać się obrazy prawdziwe z urojonemi. Oczy miał zamknięte, jednak wyraźnie jakaś postać tajemnicza, wydłużająca się nieskończenie, włóczyła się u stóp jego, a poza nią występowały coraz inne, całe szeregi mar zwarły się z sobą, mocują się...

Nagle wydaje mu się, że wplatają go w wielkie koło ze strzępów i łachmanów uwite, a w nich porusza się olbrzymie cielsko... Oczy potwora błyszczące, sfinksowo wpijają się w niego z niepojętą mocą.

Oczy te zdawały się wchłaniać go w siebie, wysysać zeń siły żywotne; targały mu nerwy, jakby starając się wnikać do głębi i wyrwać mu część duszy...

Naraz ciało jego staje się ciężkiem jak bezkształtna masa oślizłej, tężejącej gliny. Usta zaciskają się --- oczy zapadły głęboko. Całym wysiłkiem woli chce otworzyć powieki, unieść się na postaniu, a jakaś moc nieznana włacza go w otchłań, coraz głębiej, głębiej, w bezświatłne, grzaskie trzęsawisko... Czuje, iż jest tylko szczątkiem, atomem, czemś dziwnie nieuchwytnem i doznaje dotykającego niemal odczucia zniszczenia. Nicość ta nie ma trupiego zapachu zgnilizny, tylko wyraża się w bezgranicznem osłupie-

niu, rozprężeniu się — rozszarciu się cząstek materji, zachowujących jednak pamięć dokładną o tem, że były skoncentrowane do niedawna, połączone jakąś niewidzialną nicią.

Drobiazgowa samoanaliza rozprysniętych w nieskończenie drobne pyłki atomów ciała i duszy...

Bohdan miał we śnie zeznanie, iż to wszystko co odczuwa jest snem, i starał się uśpioną wolę pełnić odruchowo w kierunku wizyj, mających jakby realniejszy związek z jego życiem.

Mignęła mu przelotnie smukła postać złotowłosej dziewczyny, którą poznał na jakimś balu u Leniewskich.

Dom Leniewskich, niezmiernie gwarny, gościnny i ożywiony, był dla studenckiej młodzieży jakby lwicikiem na wielki świat.

Oprócz córki domu, której asystowali wszyscy „de rigueur“, przewijały się przez salony Leniewskich całe zastępy starszych i młodszych panien, zwłaszcza towarzyszek z pensji czarnookiej Maryli. Były pomiędzy niemi blade i wiotkie, jak z prerafaelistowskich obrazów lilijki i tryskające życiem i weselem, jak krew z mlekiem, kresowe „dzieuchy“.

Bohdan ku pewnej złotowłosej Ance zwracał chętnie swe myśli w chwilach skłonności do rozmarzenia. Zdarzało mu się nieraz łapać siebie na gorącym uczynku przetrząsania i rozpatrywania się w skromnym skarbczyku słodkich wspomnień; było tam kilka zaledwie jasnych pastelowych wrażeń z niedalekiej przeszłości.

Wycieczka wspólna po Dnieprze, — pierwsze flotki zbierane dla niej i z nią razem... nuta pieśni, którą śpiewali kiedyś na dwa głosy — przegrana w zakład niebieska wstążka z jej warkocza...

A potem jedna rozmowa, gdy odprowadzał ją do domu i mówił o swych planach na przyszłość... A ona odpowiadała urywanym, przyciszonym głosem, jak pragnęłaby także być użyteczną, poświęcić się nauczaniu dzieci wiejskich, nieść pod sirzechy światło, radość — osłodę...

Czuć było w jej wzruszeniu, w gorącym rumieńcu, który twarz jej okrasiał, że kosztowało ją wiele owo zwierzenie się ze swych najskrytszych marzeń, że nie były to dla efektu rzucane frazesy, a gorące serdeczne zachęty do celów ukochanie.

Mętne obrazy z „Ludzi bezdomnych“ przesunęły się nagle bolesną panoramą...

Postać Anki zlewała się dziwnie harnio-
nijnie z typem Joasi...

Bohdan odczuwał jakieś mętne przeczu-
cie bólu... rozstania... ofiary...

Na mocy kojarzących się odruchowo
pojęć, wyraz „bezdomni“ znów zwrócił
myśl Bohdana na owego nędzarza, pukają-
cego nocą do jego okna...

Nasłuchiwał.

Westchnienia, czy jęk cichy, dochodziły
go, jakby z szumem wichru zmieszane... Już
nawet, zbierając się ostatecznie z siłami, po-
stanowił ubrać się naprędce — obudzić
stróża — wyjść na ulicę — ale jednocześnie
ogarnął go tym razem sen mocny, kamien-
ny, bez mar i widziadeł, ów sen młodości,
któregoby, zda się, nawet wybuch bomby
nieopodał zakłócić nie był w stanie!...

Dniało.

Znowu gwar pod oknami, kilka głosów
zmieszanych z wyraźną interwencją policji.

Gdy Bohdan otworzył zdziwione oczy,
przed nim stała żona stróża, która zarazem
posługiwała lokatorom.

Miała minę wielce zafrasowaną, widocznie już długą chwilę biedziła się nad obudzeniem akademika.

— Tam do licha!... A cóżeście się, Michałowo, tak na mój spokój naposiedli? — zawołał Bohdan, ciskając na nią z pod kołdry wcale nieuprzejme spojrzenie.

— Bo to proszę pana, nieszczęście się stało! Człowieka zamarzniętego przy naszym domu znaleźli. Protokół piszą, a Michał powiada, że to jest ten sam oberwaniec, co to do panów zachodził czasami... ten wysoki — chudy... Wie pan?... Co to mu pan przed świętami układał jakąś prośbę o miejsce, czy jak tam, i brał też podobno od panów papiery do przepisywania...

— Granowicz?...

— A nie wiem, jak się nazywał! Nic właśnie przy nim nie znaleziono! Może pan co o nim będzie mógł powiedzieć.

Bohdan zerwał się na równe nogi i począł ubierać się z gorączkowym pośpiechem.

Ów Granowicz był to człowiek niegdyś wielkich zdolności, z owych typów „oczajduchów“ — wyrosłych na bujnej Ukrainie, o wybujałej fantazji i indywidualności nie dającej się wdroić żadną miarą w przyjęte ogólne formy.

Dziwak, ekscentryk, quasi poeta — mistyk... pokutował w nim może duch jałowego zawadjaki hajdamackiej drużyny — chwila — ni cynik, a czasami znów dźwięcznie naiwny: w swych poglądach na życie.

Nigdzie długo miejsca nie zagrzeł. Wstąpił do pracy biurowej; spluwał z pogardą, gdy o biurokracji przy nim była mowa... On, Granowicz!... Bah!... bah!... bah!... On mógłby świat z podstaw ruszyć, gdyby chciał! Takiego przynajmniej sam o sobie był mniomania. Ale właśnie, że mu się nigdy niczego na serio nie chciało!

Do pieniędzy zgoła żadnej nie przywiązywał wartości. „Są — dobrze; niema — to się obejdziemy!“ — mawiał nieraz. Gdy miał, oddawał innym, więcej jeszcze potrzebującym od niego.

I obchodził się rzeczywiście prawie niczem. Miał w sobie coś z natury koczującego wiecznie cygana. Koniec końców na dnie kieliszka pogryzał wszystkie swe ongi górne i śmiałe pragnienia. — Knaipa stała się odtąd katakumbą jego ducha, który z dniem każdym zasklepił się więcej w sobie, kurczył się, jakby — zwiężał, znikał.

Przypadkowe spotkanie z Bohdanem obudziło w nim nagłe, jakby prądem ożywczym poruszone jakieś szlachetniejsze pierwiastki.

Spoczywały one zmietoszone, jak garść wyblakłych łachmanów jaskrawego niegdyś sztandaru rzucone na dno daszy, bezużytecznie, pyłem powszedniości przyprószone...

Kiedyś, w rozkosznie cichy wieczór jesienny, nad brzegiem Dniepru, Granowicz z Bohdanem, siedząc na przewróconej rybackiej łodzi, wiedli długą rozmowę.

Bohdan był zdziwiony tym amalgamatem: subtelnej finezji i brutalnego cynizmu, jaki znajdował w tej dziwnie starganej duszy...

Przepyszny krajobraz skapany w czerwieni i złocie zachodzących promieni, rozległe dale rozciągające się przed ich oczyma, uroczysty nastrój wieczorowej ciszy, wszystko to smąc wpłynęło na Granowicza, że uczuł potrzebę wyrzucenia z dna ducha całej goryczy smutku i bólu, — dawnych nadziei, wiary — późniejszych zwątpień, otworzenia jakby roplającej się rany — zrzucenia nędznej skorupy i ukazania komuś swego wewnętrznego „ja“ w całej nagiej prawdzie, jasności i okrydźle...

— „Ha! ha! Kwiecie i śmiecie we mnie znajdziecie!” — rymował niby dla dodania sobie animuszu... Tajalo w nim coś — miękło, ogarniała jakaś tkliwość nieokreślona... Rozśmiał się gorzko, aby się może na głos przy obcym nie rozplakać.

Później od czasu do czasu nawiedzał Bohdana i Leona, ale ten ostatni nie cieszył się zbytnią sympatją Granowicza. Stawał się też w jego obecności sztywny lub nienaturalnie hulaszczo wesoły.

W Bohdanie odczuwał więcej ciepła — Leon gnębił go chwilami sarkazmem bez słów, wyrażającym się w lekkim wzruszeniu ramion lub pogardliwie litośnem spojrzeniu...

Kategoria wykolejeńców, do jakiej się Granowicz zaliczał, pomimo pozornego wypaczenia pojęć, poczęści z własnej, poczęści z winy warunków i otoczenia, posiada w gruncie rzeczy nadmierną tkliwość i wrażliwość czułka...

Jak lunatyk za promieniem księżyca dąży bezwiednie, tak natury smutne i przeczułone ku jasnym promieniom odczutej w innej duszy życzliwości dla siebie ciężą odrucho.

Bohdanowi udało się parę razy nastreścić Granowiczowi zajęcie. Przepisywał mu kursa i stąd owa dziwna znajomość, z której w danej chwili wypadło mu krótką, urzędową zdać relację.

Bohdan wstrząsł się cały spojrzawszy na trupłą twarz Granowicza z zakrzepłym na niej wyrazem bólu charakteryzującym go ironicznym ust skrzywieniem.

Jako student medyk był zanadto oswojony z widokiem trupów, ażeby się zbyt nio roztkliwiać samym obrazem fizycznej ciała martwoty; ale jak ostry gwóźdź wwierało mu się w mózg nieokreślenie bolesne poczucie odpowiedzialności za owo zmarłe życie. A przytem taka śmierć marna z wycieńczenia i głodu...

Stał jak winowajca nad ofiarą, gdyż, bądź co bądź, przyczynił się bezwiednie do jego śmierci...

— Mogłem go przecież uratować!... Do mnie się zwrócił myślą w chwili głodowej agonii znużenia i rozpaczyl!... Czemużem się nie domyślił, nie odgadł, nie poznał jego głosu?... powtarzał sobie po raz setny, a każdy z tych wyrzutów, jakby ostrym ułkuciem ranił mu duszę...

Krew uderzyła mu do głowy.

— A gdyby to nie był Granowicz?... Gdyby to by jakiś nieznany włóczęga?... Czybym czuł się mniej odpowiedzialnym? — Co za plekielny niesmak w duszy!... Mieć poczucie winy bez możebności rehabilitacji przed samym sobą, winy, której nikt zresztą prócz niego za winę poczytywać mu nie myślał.

Kto wie? Może!... Wołałby w tej chwili stać przed sędzią śledczym, być oskarżonym publicznie, niżli znosić mękę samopotępienia.

Granowicza żał mu było ogromnie — żał, jakby to był ktoś bardzo mu bliski i drogi.

Patrzył osłupiałym wzrokiem, jak kłajziono go na proste sanie po spisaniu protokółu, który nie trwał długo. — Włóczęga — pijak — bezdomny przybłęda. — Więc też uwinęli się z nim prędko, wywożąc skostniałe członki do prosektorjum, „na rozgrzewkę“, jak się stróż Michał, pogardliwie wzruszając ramionami, wyraził, zabierając się flegmatycznie do odmiatania śniegu z chodnika.

Bohdan przez dzień cały był nieswój i chodził jak struty. Opanowało go jakieś bolesne zniechęcenie. Ciągłe miał w oczach Granowicza, blakając się bez celu po uli-

cach, kilka razy wydało mu się, że widzi wyraźnie wśród przechodniów tę postać dziwną, jego palto wyszarzane, twarz kościstą, wielkie wgłębione oczy...

Mineło tak dni kilka.

Leon powrócił, a Bohdan powitał go radośnie, jak nigdy dotąd, gdyż samotnie spędzane noce wprowadziły go w stan coraz silniejszego rozdrażnienia.

Wiecznie ten cień, ten jęk prośby, ten głos stłumiony...

Zdawało mu się, że codziennie w tem samym miejscu za oknem je słyszy...

Wstydził się poniekąd przed Leonem, że myśl jego tak uparcie wciąż przy owym fakcie krąży, Leon bowiem był wprost za gruboskóry, aby go zrozumiał, i wogóle przyjął tę wieść tak zimno i obojętnie, że Bohdan miał pewne skrupuły mówić z nim kiedykolwiek jeszcze w tym przedmiocie.

Leon odznaczał się przedewszystkiem zmysłem praktycznym i zira na krewia imponował koledze.

Obecność jego w pokoju sprawiała mu teraz przyjemność, Leon bowiem lubił mówić dużo, był w ciągłym ruchu; gderał trochę na szlafkamrata, że mu zepsuł prymusa, opowiadał jakieś wesołe erotyczne przygo-

dy podróży, kręcił się, szastał, „starej małpie“ nauragał tak, że przyrzekła odtąd podwoić dozę paliwa; jednym słowem wniósł wraz ze sobą pewne ożywienie, które mimowoli udzielało się Bohdanowi. Przywiózł też ze sobą cały koszt wiejskich prowiantów, któremi raczyli się obficie.

— Masz Kopf, Leon!... A mnie się z tem wozić nie chciało! — rzekł raz Bohdan, gdy późno w nocy powróciwszy do domu korzystał właśnie z przedsiębiorczości „szlafkam-rata“, z gustem ogryzając litewską kiełbasę. I nagle, nie wiedzieć skąd, znowu stanął mu w myśli nieszczęsny Granowicz, pukający nieśmiało do jego okna.

— Zbiedzony być musiał, głodny!... — rozmyślał Bohdan. — Nakarmić go było, dobre słowo rzucić!... I przespać się mógł śmiało w nieobecności Leona!... Jakieś głupie nic!... I żyłby człowiek... Wszystko mogło wziąć inny obrót!...

Westchnął.

— Stało się. — Już nie odstanie!...

Radby już raz pozbyć się dręczącego widziadła.

Niesposób.

Coś skrzypnęło. — Może furtka w bramie?

Bohdan się zaczął. — Brwi ściągnął nerwowo. Wzrok jego mimowoli z niepokojem w stronę okna s'ę zwrócił.

Leon, leżąc już w łóżku i dopalając papierosa, wyraz twarzy Bohdana uchwycił w przelocie.. Nagle uniósł się na łokciu i rzekł z drwiącym uśmiechem:

— Słuchaj, Bohdan! Powiem ci jedno: Jeśli masz wyrzuty sumienia... to się poćap!

I zawinawszy się w kołdrę z głową, odwrócił się do ściany, a po chwili już chrapał.

— Idjota! — syknął Bohdan, wzruszając ramionami. I naraz uczuł do niego jakąś głupią niechęć i wzgardę. Nigdy jeszcze rozdźwięk ich usposobień nie uwydatnił się tak wyraźnie, przypominały mu się słowa poety:

Poco nam w życiu towarzysz powszedni.

Gdy mamy cierpieć, cierpmy sami jedni... i Bohdan postanowił sobie, że od miesiąca bezwarunkowo z Leonem się rozstanie i przeniesie się do innej dzielnicy...

Nazajutrz, gdy wrócił z kliniki, zastał depeszę od Wojniczowej. Brzmiała krótko:

— Ruina — Okradzenie — Wiktor ranny — Szczegóły w łecie.

Nogi się ugięły pod Bohdanem. Musiał się za stół chwycić, by nie upaść.

Zdenerwowanie dni ubiegłych w połączeniu z tą wieścią, spadającą kamieniem na duszę, obezwładniło go zupełnie.

— Co się stało? powtarzał, patrząc błędnie przed siebie, czując się bezradnym wobec ciosu dotykającego najdroższe mu istoty!

Przesuwały się w myślach Bohdana szeregi obrazów z lat dziecińczych i uwypuklały się różne pamiętniejsze etapy życiowe. Śmierć ojca, potem matki, sprzedaż rodzinnej wioski zabranej za długi; wyjazd do szkół, a potem pierwsze uczniowskie zebranie; jakieś gorące przemówienia, kiedy mu krew nagle zbiegła do serca, w oczach się zaćmiło, zdawało się, że to, co zdołał wypowiedzieć, było tak marne i blade w porównaniu z tem, co w piersiach mu się kłębiło płomienną falą, a mimo to ujrzał się nagle otoczonym, ujętym w ramiona, podniesionym w górę, oczy towarzyszy pałały zachwytem, była to jedna z najlepszych chwil jego życia...

I ciągle we wszystkich wspomnieniach widzi obok siebie łagodne myślące oczy Haliny. Ta siostra, która była powiernicą jego, kierowniczką, przyjaciółką i jakby koleżanką zarazem, przedstawiała mu się jak słodka

Beatrycze Danta, jak grotgerowska wizja z aureolą u czoła.

Pamięta, jak czytał jej, bywało, głośno swe pierwsze wypracowania, wydają mu się dziś bajecznie naiwne, ale ona ze skupieniem chwytając oczyma z ust jego słowa, przerywając tylko niekiedy trafną uwagą, lub przytakując w milczeniu.

Z radosną dumą patrzyła na brata oczyma pełnem miłosnego uwielbienia i to jej gorące uczucie i wiara w niego były mu nieraz dźwignią i czystym źródłem duchowych uciech, podniecających młodzieńczą werwę i zapał.

Długich kilkanaście godzin, zanim nadszedł list oczekiwany, wydawały mu się teraz wiekiem.

Dowiedział się wreszcie, że Wojnicz, niezupełnie jeszcze przyszedłszy do zdrowia, postanowił jechać, aby niezwłocznie zawieźć sumę dzierżawną. Napadnięty w lesie przez dwóch drabów, tępem uderzeniem siekiery w głowę zmysłów pozbawiony, leżał w śniegu przez czas dłuższy, zanim najeżdżający gajowy przybył mu z pomocą.

Wiozący go chłopak stajenny wraz z końmi, jak również pugilares z pieniędzmi, zniknął bez śladu. Jest podejrzenie, że ów sta-

ienmy należał do spisku, ale przy opieszłości władz miejscowych niema nadziei, aby się co wykryć dało, gdyż poszłak wyraźnych i świadków niema. Wiktora przywieziono w stanie nieprzytomnym, lekarz skonstatował atak paralityczny i słabą robi nadzieję uratowania życia.

Pełnomocnik hrabiny, na list, w którym mu opisała wypadek męża, odpowiedział chłodno, że ubolewając nad smutnym faktem, zmuszony jednak jest donieść, iż w razie nieuiszczenia jeszcze w tym tygodniu należności w sumie trzech tysięcy pięćset rubli będzie musiał postąpić według prawa i zlicytować rzeczy, prosząc przytem o jaknajrychlejsze oswobodzenie domu dla nowego dzierżawcy.

„I co my teraz pocniemy, mój Bohdanie?“ pisała Halina, jakby szukając ostatniej deski ratunku i opory w bracie. Ona, tak zwykle pogodna, zrównoważona, wierząca w swe siły, zwracała się do niego trwożna i bezradna, pomimo że znała doskonale opłakany stan finansowy i skromne zarobki Bohdana, które mu zaledwie wystarczały do życia. Bohdan zaczął chodzić po pokoju w gwałtownem podnieceniu.

W mózgu czuł chaos i zamęt, ogarniała go jednak potrzeba działania, przed lebrania czegoś stanowczego, co jeszcze niedostatecznie jasno krystalizowało się w myśli, pomimo to szukał z jakąś rozpaczliwą zaciętością, chcąc gwałtem rozegnać owo tępe poczucie niemocy, rozsadzające mu czaszkę, a krew mrozące w żyłach.

— Mając młodość, zdrowie, energię, siły, mamże dać im zmarnieć? Niepodobna! Ale co zrobić?... Skąd wziąć aż tyle?... Co się z nią, co się z dziećmi stanie? — Wiktor długo nie przetrzyma, albo też jako zniedołężniały kaleka będzie dla niej tylko ciężarem i troską.

Skupiał się w sobie — myśl wyteżał, a groźna rzeczywistość uragała mu jak molocho nienasycony, krwawego łupu cheiwy, poniewierając nim i naigrawając się jakby nad bezsilnością jego młodości — zdrowia energii i siły.

* * *

W tej chwili, wpadł Wittek Dolmund.

— Wściekleś się Bohdan! Czemu nie byłeś u Liriewskich? Czekano cię — Anka dwa razy pytała o ciebie. Staremu Kozinskiemu, uważasz, przyrzekłem, że cię dostą-

wię żywym, czy umarłym. Musisz tam iść ze mną. Naciągaj przyodziewek i marsz.

Bohdan pocierał ręką czoło, jakby z trudem zbierając myśli.

— Spaleś? Czyś chory, żeś tak „skapcał”? — nacierał Witek, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

— Kosiński, powiadasz?... Aa!... O te lekcje?... — odparł Bohdan, jakimś głuchym, matowym głosem.

— A już ci! Wiem, że nie przyjmiesz, ale Kozinder dufa, że swą elokwencją „przekabacić” ciebie potrafi.

Bohdan wpadł znowu w zamyślenie. Stał w oknie, przebierając machinalnie palcami po szybie.

— Owszem! przyjmę — rzekł krótko.

Witold zbliżył się i, wpatrując się weń badawczo, uderzył go zlekka po ramieniu.

— Bohdan! Co ci jest? — zapytał poważnie.

— Nic. — Namysliłem się. Postawię swoje warunki. Jeśli przyjmie, idę.

Witold wzruszył ramionami.

— A więc chodźmy. — To mi frajda! Rad będę widzieć, jak Kozinder z radości zbaranieje. Ale że też ty?... No, no!...

Koziński przyjął młodych ludzi z wytworną uprzejmością. — Mówił długo, trochę monotonnym głosem o wielkiem swem do Bohdana zaufaniu, o szerokich zadaniach pedagogii, i wiele innych pięknych, kunsztownie cyzelowanych frazesów wypowiedział, cedząc zwolna i siłąc się na dobór wyrazów.

Bohdan słuchał go w milczeniu, nie przerywając żadnem słowem. Myśli jego błądziły w przestrzeni — miał wrażenie, że jest grabarzem, kopiącym grób dla samego siebie, to znów bladą znużoną twarz Haliny widział przed sobą, wyciągała ku niemu ręce, a mały Mutek śmiał się figlarnie i wołał wesoło: Wujku! Wujku!... Buch kastan do wody!...

Dohnund wymknął się niepostrzeżenie do saloniku, skąd głosy panien słychać było.

— Jakież są warunki pana? — zapytał wkońcu Koziński, dochodząc do kulminacyjnego punktu kwestji.

— Trzy tysiące sześćset rubli gotówką zgóry — rzekł Bohdan.

Koziński spojrzał zdumiony.

— Będzie to należność za trzy lata. Potrzebuje takiej sumy niezwłocznie. Daję sobie w zastaw — dodał Bohdan ze smutnym uśmiechem.

Koziński wstał i w milczeniu przeszedł się parę razy po pokoju, jakby coś w myślach rozbierał. Uważał podobne warunki za wielce wygórowane, krzywił się i kurczył, że o gotówkę leżącą trudno i trzeba będzie naruszyć z kapitału.

— Sprzedaje nietylko czas swój i swobodę, ale i przyszłość moją stawiam na kartę — mówił Bohdan. — Za rok mógłbym ukończyć studia, marzyłem wyjechać zagranicę dla pracy w klinikach i wyspecjalizowania się w obranym kierunku.

Teraz wszystko musi pójść inaczej. Zajmę się w wolnych od pracy obowiązkowej chwilach naukami przyrodniczymi. To jedno mi pozostaje na wsi.

Westchnął. Ogarnął go nagle wielki żal za wszystkim, z czem zerwać ma za chwilę — kto wie? niepowrotnie może... tyle pracy mozolnej, wyteżonej — i wszystko na marne.

Była chwila, kiedy pragnął prawie, aby Koziński na propozycję się nie zgodził.

Ale otrząsnął się szybko.

Wszak od tej jednej chwili zawisło wszystko: dobrobyt rodziny, spokój siostry i tego drobiazgu... gdzież się podzieją? Coby robili rzuceni na miejskim bruku?... Wieś ich

wykarmi, nie zaznają głodu. Mała jest tyle praktyczna i z gospodarką obeznana, że raz nakręcony mechanizm potrafi poprowadzić, ale gdyby z tego życia ją wykołono, straciłaby od razu grunt pod nogami... Do czegoż, zresztą, się weźmie? Zostanie gospodynią najemną w obcym domu, lub Loną przy obcych dzieciach z sercem skrwawionem, że swoje rozdaćby musiała gdzieś po ludziach, lub na łaskę dalekich krewnych powierzyć.

— POCO panu naraz aż taka wielka suma? — zauważył Kozłowski, obserwując poważnie skupioną twarz Bohdana i jakby chcąc bieg myśli jego odgadnąć. — Jakiś dług honorowy?... Jakieś grzeszki może?... — dodał z uśmiechem kładąc mu rękę na ramieniu.

— To już moje osobiste sprawy — odparł Bohdan bardzo zimno, prawie wyniosłe. — A zresztą... jak się panu podobał... — dodał powstając, jakby miał zamiar odejść.

W stanowczym tonie jego głosu Kozłowski odczuł od razu, że nie wytargować się nie uda.

Koniec końców przystał.

Umowa została podpisana.

Bohdan, kładąc swój podpis, uczuł lekki dreszcz przebiegający mu po skórze... I na-

gle żartobliwa myśl, że podobnego wrażenia musiał doświadczać Twardowski, podpisujący cyrograf na swoją duszę, prześliznęła mu się po zmęczonym mózgu. — Po spełnionym fakcie doznał ulgi, jak wówczas, gdy jakiś cios oczekiwany, który ma spaść, już spał!...

Nazajutrz rano telegraficznym przekazem przesłał na imię Haliny podniesioną w banku sumę.

Wycofanie papierów z uniwersytetu wywołało pewną sensację.

Bohdan sam miał wrażenie, że wycofuje się nagle z liczby żyjących.

Był bledszy, niż zwykle, lecz spokojny i zrezygnowany.

Koledzy, znający jego zdolności i bliskość mety, do której dążył, uważali go wprost za warjata. Nikomu nie zwierzył się z powodów, które go do tego czynu skłoniły.

Przygotowania do drogi trwały krótko. Zrobił spory zapas książek, zresztą skromny studencki dobytek zmieścił się łatwo w kosz podróżny. Uwoził w nim wszystko, co posiadał, a poza tem jeszcze garść wspomnień w duszy...

Gdy mknęły szybko sanie szeroka, wiodąca na dworzec aleją, na skrócie jednej z ulic dostrzegł nagle białą futrzaną czapkę, kołnierz otulający młodą twarzyczkę, mignął mu długi warkocz płowy...

To była ona, Anka!

W ręku miała tekę z nutami. Przystanęła. Snać poznała Bohdana. Zdziwionym wzrokiem ogarnęła podróżne na koźle umocowane bagaże.

Bohdanowi krew uderzyła do głowy. Chciał zatrzymać się, wyskoczyć, przywitać ją i pożegnać zarazem.... Na długo -- może na zawsze...

Ból ścisnął mu serce.

Roztkliwiać się? rozhartowywać i tak już znużoną wysiłkiem nad sobą wolę?... Po co?...

Studencka wytarta czapka zarysowała tylko w powietrzu szerokie półkole.

Długo jeszcze, w tę stronę, gdzie stała Anka, zwrócony, gonił niknącą w oddali, aż rozplynęła mu się całkiem w błyszczącej słonecznej dali...

Dziwnie mu było na duszy: i tęskność ogarnęła go za wszystkim, co pozostawiał, żalostna jakaś i prawie fizycznie dotkliwa,

a zarazem miał poczucie wielkiego wewnętrznego rozradcowania...

Czuł, że za jego przyczyną stało się coś dobrego, że nie bezowocną spełnia ofiarę, że temi latami duchowego swego więzienia odkupi niezależność tamtych, z pęt nędzy wyswobodzi bliskich... ukochanych.

I dziwna rzecz — prócz myśli o Wojniczach była w nim jeszcze jakaś skryta żądza pewnej, choć częściowej, rehabilitacji moralnej względem samego siebie za czyn bezwiednie popełniony...

Potrzebował dlatego właśnie uczynić coś dobrego, coś z siebie oddać innym, skapać swą duszę w ciemnym poświęceniu. Teraz sam rozmyślnie wywoływał w myśli postać Granowicza, którą odtrącał był uparcie, aby się zatała co prędzej w pamięci, i nie dręczyła niemymi wyrzutami. I wydało mu się naraz, że z tej twarzy skostniałej w bólu znika wyraz gorzkiej ironji i uśmiechają się do niego życzliwie wielkie, zapadłe głęboko oczy z poza dalekiej, błękitnej, bezkresnej mgły...

GOŁĘBICE





JERZY ORWICZ
(NATALJA DZIERŻKÓWNA)

GOŁĘBICE

SZKIC POWIEŚCIOWY Z POCZĄTKU
IV WIEKU PO NAR. CHRYSYSTUSA PANA

POZNAŃ WARSZAWA
KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

— Czy ty się boisz, Julio?... Drżysz cała!

— Nie, Lucjo, nie obawiam się niczego. Zaliż nie jest wszystko w mocy Bożej?... Tylko to zachodzące jaskrawo słońce przypomniało mi wasz ogród wspaniały i wodotrysk, przy którym siadywałyśmy wieczorami... Pomyślałam wnet o matce..., że się pewno łzami gorzkiemi zalewa, i wielka żałość ścisnęła me serce!...

To mówiąc, oparła główkę na ramieniu towarzyszki, i dwie duże łzy spłynęły po jej twarzy.

Lucja objęła ją i szepnęła:

— Niedługo może znowu tam będziemy!... Przecież szukać nas muszą i na ślad wpadną... Ojciec nie pożałuje okupu, aby nas jak najprędzej wyzwolić!...

— A gdybyśmy spróbowały z którym z majtków się rozinować?... Może udałoby się go namówić, aby zpowrotem

wieść zawiózł naszej rodzinie!... Jak sądzisz droga Łucjo?...

— Przychodziło mi to już na myśl, ale widzisz, jak bacznie każdy krok nasz śledzą? Niepodobna znaleźć stosownej chwili!... Gdyby zauważono, że porozumiewamy się ze służbą okrętową, mogliby nam zabronić przebywania na pokładzie.

— Masz słuszość, pozbawiłoby to nas jedynej naszej pociechy w niedoli, i nie doprowadziłoby do upragnionego celu. Wydało mi się jednak, że ten jasnowłosy majtek, który w tej chwili skręca liny, przechodząc koło nas szepnął jakieś słowo?... Nie dosłyszałam, co wyrzekł, gdyż odwołano go natychmiast, ale w spojrzeniu jego było coś dziwnego, widocznie nam współczuje, i mam przecucie, iż jest chrześcijaninem!

— Cóżby to było za szczęście mieć choć jednego sprzymierzeńca!... — zawołała Łucja, którą nadzieja ta ożywiła wielce.

— Podobno wiozą nas do Aleksandrii.

— Tak przynajmniej wyrozumiałam z kilku słów, które zamienili ze sobą ci zbóje.

— Gdybyż w jaki sposób dowiedzieć się gdzie w tej chwili Laurencjusz przebywa! — zawołała Julia. — Brat twój miał być także w owem mieście!

Rozmowę tę głosem przyciszonym wiodły ze sobą dwie młodziutkie rzymskie dziewice, stojąc na pokładzie okrętu. Miały na sobie białe powłóczyste szaty; bujne włosy, w węzeł luźny na karku spięte, układały się wdzięcznie; — oblane czerwienią zachodu wyglądały jak dwa posągi marmurowe.

Łucja była wyższa i starsza, oczy miała czarne, głębokie, brwi śmiałym łukiem zarysowywały się pod białem gładkiem czołem.

Kształtna i smukła jej postać wyrażała spokój, budzący podziw i nakazujący szacunek.

Julia była drobna, o dziecinnych prawie rysach twarzy, w której malowała się słodycz niezmierna.

Duże szafirowe oczęta patrzyły niby trochę zdziwione i łzawe, a wyraziste usta równie łatwo składały się do uśmiechu, lub tworzyły podkówkę jak u nadą-

nanego dziecka, któremu się na płacz zabrało.

Kocha i Julia łączyły stosunki pokrewieństwa, które, choć dalekie, wiązały je ściśle i niepodległe i przylotne.

Julia była córką Tuljusza, pochodzącą z rodu szlacheckiego i szanowanej wielce rodziny rzymskiej patrycjuszów (to jest jednego z trzech rodzajów, używających w państwie Rzymskiem jak najszerszych praw obywatelskich).

Julia miała tylko matkę, ojciec jej poległ w wojnie z barbarzyńcami, a cały majątek po nim zasługali oberwi krewni, pozostawiając dwóm kobietom bardzo skromne środki do życia.

Julia przebywała od lat najmłodszych w domu Tuljusza, jako towarzyszka Klucji: nie mając rodzeństwa, ukochała Klucję i brata jej Laurencjusza, jak najbliższą i najdroższą sercu rodzinę.

Działo się to w czasach, kiedy państwo Rzymskie wstrząsane było najrozmaitszemi walkami, najazdami i wewnętrznemi rozruchami.

Czasy Dioklecjana stanowią pamiętną epokę w dziejach rzymskich.

Zaprowadził on przy dworze obyczaje i przepych wschodni; ludzie musieli zbliżać się do niego, jak do wyższej, prawie równej bogom istoty, a cały naród uważał za bezwzględnych niewolników.

Podzielił swe państwo na cztery części, jako współrządcę przybrał sobie wodza armii, równie srogiego jak on sam, Maksymiljana, z tytułem „Augustus“, którego i sam Dioklecjan używał.

Następnie dla wzmożenia potęgi państwa wobec napadów Persów i Germanów, Maksymilian i „Augustowie“ przybrali po dwóch współrządców. Dioklecjan — Galerjusza, Maksymilian — Konstancjusza. Ci otrzymali tytuł cesarów.

Państwo Rzymskie było w owe czasy tak rozległe że dla strzeżenia całości jego granic, musiano zużytkować olbrzymie zasoby energii i siły.

Maksymilianowi przypadły w udziale rządy nad Italią i Afryką, Galerjusz objął kraje Naddunajskie, Konstancjusz — Hiszpanię, Galię i Brytanię, Dioklecjan — Francję, Azję, i Egipt, zachowując zarazem ogólne zwierzchnictwo.

Hufce rzymskie wkraczały w najodleglejsze kraje, to też coraz nowe prowincje dostawały się pod panowanie Rzymian. Dioklecjan, zachęcony zwycięstwami i wierząc tylko w siłę oręża, postanowił rozprawić się za jednym zamachem z wzrastającą z dniem każdym obcą sobie i niezrozumiałą potęgą chrześcijaństwa. Nakazał więc najsroższe prześladowanie w roku 303 po narodzeniu Chrystusa.

Polala się krew strumieniami, jednak czuł okrutny władca bezskuteczność krwawego przedsięwzięcia, to też zniechęcony ustąpił z tronu, zmuszając równie do tego Maksymiliana. Rządy zaś powierzył cesarom: Galerjuszowi i Konstancjuszowi, którzy znów z kolei przybrali tytuł „augustów“ i nowych współrządców mianowali.

Ale pretorjanie, czyli straż przyboczna, posiadająca większe od innych żołnierzy przywileje, i lud, oburzony podatkami, nałożonemi przez Galerjusza, powołali znów Maksymiliana wraz z synem jego Maksencjuszem, na godność augustów ich wynosząc.

W tym to czasie właśnie opowiadanie nasze się zaczyna. Aby się dowiedzieć, w jaki sposób Łucja i Julia znalazły się na owym okręcie, wbrew własnej woli wiezione w kraj nieznany, musimy się trochę wstecz cofnąć.

Młode dziewczęta, pomimo że chowane pod pilnym dozorem, zdołały jednak w największej tajemnicy przejąć się zasadami owej prześladowanej, potępianej, wyszydzanej przez pogan wiary chrześcijańskiej. Ta wspólność zasad łączyła ściśle ich myśli i podnosiła ducha.

Julia, która pamięć ojca czcila bezgranicznie, szczęśliwą się czuła, mogąc się modlić za niego, i wierzyła, że chociaż był poganinem, jednak Bóg Wszechmocny za jego czyny waleczne i śmierć, poniesioną w obronie ojczyzny, pozwoli mu w przyszłym życiu połączyć się z ukochanymi.

Matka Julji, imieniem Klaudja, opłakiwała codziennie stratę małżonka. Łatwo więc pod wpływem córki i Łucji dała się nakłonić do przyjęcia kojącej jej boleść i troski, nauki Chrystusa. Chodziła odtąd w cichości wraz z młodemi

dziewczętami na modlitwy, chociaż musiały się kryć z tem przed najbliższem otoczeniem, aby się nie narazić na szyderstwa i prześladowania krewnych. Szczególniej obawiano się gniewu Tuljusza, w razie gdyby mu doniesiono, iż Klaudja, jako poważna matrona, miast hamować zapal młodych dziewcząt, sama pod ich wpływem do błędów srogo prześladowanych się skłania.

Krzewiła się jednak z niesłychaną szybkością „dobra nowina“, jak zwali nową wiarę jej wyznawcy.

Mężowie święci z uśmiechem na ustach konali w cyrkach, więzieniach, na torturach!..

Zdawało się, jakby jutrzienka rozjaśniła mroki. Czy podobna noc zatrzymać, gdy dzień się budzi? Do światłości tej garnęły się wszystkie zacne i szlachetne serca! Wiara wzniosła i czysta rosła z dniem każdym, potężniała, obejmując coraz większe zastępy.

Ale smutne oblicze Klaudji zasepiło się niezmiernie, gdy raz, w cichy wie-

czór majowy, młode dziewczęta, tuląc głowy do jej kolan i trzymając się za ręce, jakby chciały umocnić się wzajemnie w swem postanowieniu, wyszeptwały swe zwierzenie:

Oto postanowiły obie złożyć śluby wiecznego dziewictwa, dzień ten się zbliżał, chciały aby ich zamiarem pobłogosławiła Kludja.

— Juljo! dziecko moje! — zawołała matka rozpacznie. — Czyż koniecznie Bóg wymaga ode mnie podobnej ofiary?... Przecież mam cię jedną!

Roślam, że poślubisz jakiego dzielnego i walecznego, jakim był ojciec twój, młodziana, a wtedy rozpoczniemy nowe życie, spokojne, bez troski, — wnuki chować będę i mówić im o moim Korneljuszu i składać pieśni o jego czynach i chwale. A ty, moja złotowłosa, będziesz domu tego jasnością i osłoda... Juljo!... Wszak i ja kocham również owego Boga, którego czcić tyś mię nauczyła! Ale jam tyle już przecierpiała w życiu, nie wymagaj ode mnie poświęcenia! Nie odbieraj mi najdroższych pragnień serca!... Czyż nie wzniosłem zadaniem jest wychować

synów w miłości Bożej, w tej wierze tak do naszej dawnej niepodobnej, gdyż w niej panują wszechwładnie pokora, miłość i przebaczenie!...

A ty, Łucjo, czyż nie trwożysz się na myśl o gniewie Tuliusza?... Co powie brat twój, szlachetny Laurencjusz?...

Twarz Julji oblała się płomiennym rumieńcem na dźwięk tego imienia. Pochyliła szybko głowę i ukryła ją w fałdach sukni matczynej.

— Myślałam o tem nieraz — odrzekła Łucja poważnie — ale właśnie dlatego, że oni trwają uporczywie w błędzie, pragnę poświęcić się modlitwom o ich nawrócenie, a jeśli kiedy ten dzień upragniony nadejdzie, będę się czuła nieskończenie szczęśliwą!

Julja płakała cicho. Widocznie staćzała walkę wewnętrzną, wstydziła się przed Łucją swej słabości, podziwiała jej stanowczość, jednak smutek matki, a może wspomnienie o niezwykłej urody młodzieńcu, którego imię z ust Klaudji padło przed chwilą, zamaściło jej spokój.

Westchnienie głębokie wyrwało się z jej piersi.

Gdybyż zobaczyć go raz jeszcze!... Raz jeden tylko, zanim ją włączą w te szeregi dziewic, przyodzianych w grube szaty zakonne! Spojrzałby jej w oczy tym dziwnie przenikającym, a zarazem pieszczotliwym wzrokiem, jakim ją żegnał przed dwoma kalendami.¹⁾

Jakto on powiedział wtedy, odjeżdżając na wojnę, gdy już pożegnał ojca i siostrę i zgromadzonych licznie przyjaciół?...

Ostatnie słowo było dla niej, dla Julji!

Dumną była z tego, i choć twarz miała łzami zalaną, pamięta, że uśmiechnęła się przez łzy.

— Juljo!... mówił — Malutka moja! Dajże mi całusa na drogę — na szczęśliwą drogę!... Wszak ty mi dobrze życzysz... Nieprawdaż?... — Czy mu dobrze życzyła?... Mój Boże! Gdyby mógł spojrzeć w jej serce, jak mu oddane było, jak smutno!... Jeszcze coś mówił, ale jej się tak zamroczyło w głowie z wielkiego wzruszenia, że słyszała dźwięk jego głosu, rozumiała treść, ale w żaden sposób

¹⁾ Kalendami zwano każdy pierwszy dzień miesiąca.

nie może przypomnieć sobie dosłownie jak to brzmiało!...

Objął ją w pól, gorący pocałunek wcisnął na rozpłomienionym policzku... skoczył na swą cudną kasztankę Eris, i pocałowali wszyscy razem co koń wyskoczył... Nie obejrzał się nawet, może bał się zdradzić, że i sam był wzruszony pożegnaniem...

— Co to będzie, gdy po powrocie o wszystkim się dowie?... Laurencjusz!... Laurencjusz!... Czy jest dźwięczniejsze i słodsze dla ucha imię? — powtarzała w myśli Julia.

Lecz po chwili, jak gdyby obudziła się ze snu i ręce złożyła jak do modlitwy:

-- Mój Boże!... Przebacz mi myśli moje!...

— Przebacz, że teraz, kiedy o Tobie wyłącznie rozpamiętywać powinnam, serce zwróciło się ku ziemskim pragnieniom!...

-- Jakam ja grzeszna!... Jakam ja głucha!...

-- Ja sam, Bóg umęczony, cierpiął za nas i dla nas, a ja waham się jeszcze i o doczesne, a nie o przyszłe szczęście się troszczyć!...

Tak rozmyślała rzymska dziewica, gotując się do stanowczego kroku w swem życiu.

Nagle powstała, wyprostowała się i zawołała głosem drżącym od wzruszenia, lecz w którym brzmiało niezłomne postanowienie:

— Matko, daruj!... Przebacz, pozwól i pobłogosław. Ja muszę tak uczynić. Bóg tak chce!...

Łucja rzuciła się w jej objęcia.

— Będziemy zawsze razem!... Będziemy się podtrzymywały i krzepiły wzajemnie — rzekła z zapalem.

— My, oblubienice Chrystusowe!...

Zapanowała wielka uroczysta cisza.

Klaudja spojrzała w niebo, jakby w milczeniu składając ofiarę ze swych macierzyńskich uczuć przed ołtarzem Wszechpotężnego!...

Stanał jej w myśli obraz wyraźny, jaki widziała przed paru tygodniami: orszak dziewic w bieli, prowadzony przez księży i diakonów, ów hymn uroczysty: „Jesu corona virginum“ (Jezu korono dziewic).

A potem ta chwila, gdy błogosławiąc im, rozdzielono pomiędzy nie szaty zakonne, a one kładły głowy na ołtarzu na znak, że ofiarowują siebie i myśli swe i serca służbie Bożej na wieki.

Długą drogę miały do przebycia Lucja i Julja, aby się dostać w umówione miejsce, gdzie, przyłączywszy się do grona dziewic, równie jak one pragnących przywdziać habit, razem już wejść miały do domu modlitwy.

Szły bojaźliwie trochę, same jedne, nie chciały bowiem wtajemniczać nikogo z domowników i służebnych.

Szczególnie Lucja miała powody obawiać się, że ją śledzą, a w razie, gdyby doniesiono ojcu o jej schadzkach z chrześcijanami, wiedziała, że ją czekały srogie badania. Najgorszym zaś przejmowała ją lękiem myśl, że mogłaby tym sposobem ściągnąć prześladowanie na tych, którzy ją z taką miłością przygarnęli do siebie.

Postanowione było że obie jeszcze czas jakiś, nawet po złożeniu ślubów, będą przebywały w rodzinie, wypełniając

tylko powinności, przywiązane do zakonu, i w kościele zajmując odtąd miejsce, wyłącznie dla poświęconych dziewic przeznaczone.

Pusto prawie było w tej dzielnicy miasta, którą przebywały.

Gdzie niegdzie snuły się strażę leniwie i sennie, a całe miasto zdawało się we śnie głębokim pogrążone.

Weszły właśnie w wąski zaułek, na którego krańcu miał oczekiwać przewodnik, i na znak umówiony wprowadzić do domu, gdzie odbywało się tajemne zebranie chrześcijan.

Na rogu ulicy, zamiast znanego sobie starca, którego znaleźć się spodziewały, ujrzały młodego, barczystego, o ponurem wejrzaniu, nieznanomego.

Zatrzymał je nagłym ruchem i rzekł krótko:

— Dokąd?...

Dziewczęta przytuliły się do siebie w milczeniu.

Nikogo nie było dookoła, lęk je ogarnął.

— Wiem, dokąd dążycie!... — dodał, starając się przybrać jak najuprzejmiejszy

ton mowy. Zawiodę was, boście jak wi-
dzą, niebardzo świadome drogi.

— Dom naszych krewnych stąd nie-
daleko, doskonale znany drogę! — od-
rzekła Łucja wyniośle.

— Wiemy, wiemy jacy to krewni!...
Na modlitwy zlatują się gołębicę do domu
Bożego! — mówił szyderczo nieznajomy.
— Cześć oddawać oślej głowie... Cha,
cha, cha!

Łucja drgnęła.

Wiedziała dobrze, że tą uwłaczającą
nazwą starali się poganie ośmieszać
i bezcześcić nową wiarę.

Nie chciała się zdradzić, iż wie,
o czem mowa.

— Nie rozumiem słów waszych —
rzekła — zapewne wino zamroczyło wam
myśli i dlatego macie śmiałość zatrzymy-
wać i napastować bezbronne kobiety!
Jest to hańba w naszym wolnem mieście,
gdzie wszyscy obywatele są pod opieką
prawa!...

Nieznajomy uśmiechnął się złośliwie,
zbity na chwilę z tropu hardem spojrze-
niem dziewczyny. Cofnął się o krok je-
den, lecz wnet przystąpił znów ku niej

tak blisko, jakby w świetle księżyca chciał dokładnie przyjrzeć się jej twarzy, którą okrywała zarzucona na głowę zasłona.

Spojrzenia ich się skrzyżowały jak ostrza sztyletu.

Chwycił ją za obie dłonie.

— Pójdźcie za mną!.. — syknął z mocą.

Dziewczęta zachnęły się, i stłumiony krzyk oburzenia wyrwał się jednocześnie z ich piersi.

Nieznajomy silnem uderzeniem pięści otworzył okno pobliskiego domu.

Zamigotało światło kaganka i wyłoniła się z półcienia twarz pomarszczona i wstrętna kobiety, podobnej do czarownicy.

— Mactel — krzyknął.

Był to snąć sygnał umówiony, gdyż w mgnieniu oka czterech podobnych mu zbójów, okrytych w ciemne opończe, otoczyło dziewczęta i przemocą wciągnęli je do mieszkania.

Skrzypnęły ciężkie rygle za nimi, i wiedziono je przez szeregi izb ciemnych i korytarzy.

Drżące ze strachu trzymały się kurczowo za ręce i w duchu polecały się Bogu.

Uczuły znaczną ulgę, gdy je nakoniec pozostawiono same w półciemnej, ponurej komnacie.

Mdłe światło kaganka słabo rozjaśniało mroki.

— Co oni chcą zrobić z nami?... — zawołała Julia, tuląc się do ramienia towarzyszki. — Gdyby miano nas zamordować, uczyniliby to niezwłocznie.

— Taki gwałt niesłychany! — szepnęła Łucja, drżąc z oburzenia. — Z nieprzyjaznego tonu mowy o chrześcijanach sądzę, że chcą naumyślnie wzbudzić podejrzenie, że to oni nas więżą, i za złożeniem okupu może nas powrócą rodzinie. Trzeba się z nimi rozmówić. Gdy się dowiedzą, że jestem córką Tuljusza i siostrą Laurencjusza, może się zemsty ich ułękna...

— Tymczasem jesteśmy w ich mocy — odparła Julia — widocznie są pijani, czekajmy ażali jutro nie przyniesie im opamiętania.

Z odległej izby dochodziły głosy zmieszane, śnać ucztowano wesoło, gdyż słychać było dźwięk puharów i głośnie śmiechy.

Znużone i przerażone dziewczęta modliły się gorąco, gdy stara wiedźma, ta sama, którą widziały w oknie, przyniosła im posiłek, zachęcając, aby coś zjadły.

Odrzuciły jednak misy z jadłem i napój ze wstrętem.

— Nie obawiajcie się podstępu!... Nie trucizna to jest przecie, potrawy wykwiłtne i nektar wam przysłano doskonały.

I jak dla zachęty, dotknęła ustami puharu.

Chciała odejść, lecz Łucja rzuciła się ku niej, gwałtownym ruchem zatrzymując za ramię.

— Kobieto! Miej litość! Powiedz w czyjeśnny ręce wpadły?... Jakiegokolwiekbyś zapragnęła nagrody, przyrzekam ci ją w imieniu ojca mego, szlachetnego Tiljusza. On cię hojnie obdarzy, bądź pewna, tylko oswobódź nas z tej ohydnej niewoli.

W odpowiedzi na to, stara kobieta ukazała swe żółte zęby, wykrzywiając usta w brzydkim uśmiechu.

— Nie jest to wcale ohydna niewola, moje ty orlatko spłoszone. Klateczka tylko tymczasowa, ale poczekajcie trochę. będziecie miały wkrótce złotą klatkę i rozkieszne życie! Takie piękne białe ciało! takie ogniste oczy! warte dużo złota! He, he, he!

I to mówiąc, ze wstrętną śmiałością klepała ją po ramieniu.

— Ależ to gwałt!... To bezprawie! — zawołała Lucja w najwyższem oburzeniu.

— Dużo takich płaszynok widziały już moje oczy!... — ciągnęła dalej stara, jakby wcale słów Lucji nie słysząc. — Do znienawidzonych chrześcijan, na zaracenie same się oddać chciały! Czyż nie lepiej, że je gwałtem do innego życia zabrano?... —

— Co mówisz, nieszczęsna!... — krzyknęła Julia — więc ty wiesz, co z nami chcą uczynić?... Powiedz, na igość!...

— Nic nie wiem, nic nie wiem!... — kręciła głową stara wiedźma. — Pojedziecie pewno okrętem za morze ha!... Ha,

ha! I ja bym pojechała. Czemu nie?... Tylko że już stara Kornelja nikomu niepotrzebna!...

— Daj nam możność ucieczki! — próbowała nakłonić ją Łucja. — Zobaczysz, że nie pożałujesz tego! Złota dostaniesz tyle, ile sama zapragniesz! Oddam ci wszystkie klejnoty, jakie posiadam.

— Poco mi to?... — odparła z chytym uśmiechem. — Czy myślisz, że mi życie niemile?... Oniby mnie zabili, gdybym śmiała wam dopomóc. Nie pozwolili nawet nie gadać z wami!

— Któż oni są?... — zapytała Julia przerażona.

— Ha! Młodzi, silni, śmiali, niczego się na świecie nie zleknią! — odparła wymijająco.

— Nikczemnicy!... Zbóje!... — zawołała Łucja.

— Cicho! sza! — szepnęła stara, przykładając palec do ust. — Niechby posłyszeli, a gorzej wam będzie!...

— Niech słyszą!... Niech wiedzą, że pogardzam nimi! Podli tchórze! Nocni napaścownicy!... Niechby śmieli mnie gwałtem z domu ojca porwać!

— Hola! hola... Co to za babskie paplaniny?.. — zawołał głos męski u progu — Korneljo! Czy masz ochotę, aby ci język ucięto? Poco wdajesz się w gawędy z temi srokami?...

Kornelja znikła w mgnieniu oka, drzwi gwałtownie zatrzasnąwszy za sobą.

Głucha cisza zaległa dokoła.

— Łucjo! — szepnęła zcicha Julja — czy będziesz miała odwagę umrzeć?...

Myśli ich widocznie spotkały się w tej chwili, Łucja bowiem, obejmując ją ramieniem, rzekła z bezgranicznym smutkiem w głosie:

— Wiesz, że jestem odważna, Juljo, ale my chrześcijanki nie mamy prawa życia sobie odbierać!...

— I powinniśmy nawet wrogom przebaczać? — szepnęła Julja jakby pytając.

— Chrystus każe miłować wszystkich — odrzekła Łucja. — Uniosłam się przed chwilą, a powinniśmy bez szemrania przyjmować próby, jakie wola Opatrzności nam zsyła. Jeszcze wiele z poganki jest we mnie!... — dodała z pokorą.

— Ależ, Łucjo, przecież oni bluźnią przeciw naszemu Bogu!... Przebaczać można tym, którzy czują skruchę! Jak mi straszno!... Ach, Łucjo! Łucjo! Co się z nami stanie?... Boże, ratuj!...

— Uklękniemy i módlmy się, gdyby nawet widzieli nas, nie mamy powodu zapierać się, iż wyznajemy wzniosłą wiarę Chrystusową. Tam w świątyni pewno z zadziwieniem nieobecność naszą zauważono! — rzekła Łucja smutno. — Złączmyż modlitwy nasze z ich modłami. Bądźmy myślą z nimi!...

I w ciszy nocy płynęły gorące prośby z piersi młodych i pełnych wiary. Julia modliła się za matkę i w głębi serca dodała:

— Boże Wszechmogący! Ześlij mi jakie chcesz umartwienia, bylebym niemi okupić mogła szczęście i nawrócenie Laurencjusza!...

Pomimo gwałtownych wzruszeń sen zaczął kleić im powieki. Przytulone do siebie, usnęły cicho na twardem posła-

niu. Krótka noc letnia miała się ku końcowi. Zaledwie jednak świtać zaczynało, usłyszały szepty i jakby spór jakiś w przyległej izbie.

Skrzypnęły drzwi i czterech ludzi w ciemnych płaszczach stanęło w progu. Z głębi nieśmiało, lecz ciekawie, wyzierała stara czałownica.

Nagle Łucja i Julia zostały otulone w olbrzymie „sagum“ (oponcze żołnierskie) z grubej tkaniny, a zarazem uczuły, że ktoś mocno szorstką dłonią zakrywa im usta.

Szybkim krokiem wybiegli zbóje ze swym łupem, a usadowiwszy go z nadzwyczajną szybkością w lektykę, posuwali się jakąś krętą, pochyłą ścieżyną.

Ogłuszone i przerażone dziewczęta słyszały tylko chrzęst łamanych gałęzi, miarowe kroki niosących je ludzi, i czuły całą swą bezsilność i niemoc wobec gwałtu i przemocy.

W głuchem milczeniu posuwano się naprzód, jak gdyby to był orszak pogrzebowy.

Po godzinnej przeszło podróży zatrzymano się w miejscu pustem i odlud-

nem. Tu skępowanym płaszczami dziewicom pozwolono odpocząć.

Rozglądały się dokoła osłupiałemi oczyma, jakby ich w piersi im brakło.

— Zabijcie nas odrazu! — zawołała Julia z taką gorącą prośbą w głosie, zwracając się do swych prześladowców, jakby błagała o największą łaskę.

W odpowiedzi na to rozbrzmiał śmiech donośny.

— Cha, cha, cha! Nie! odważna turkaweczko!... Nie na rzeź was wzięliśmy!

— My nie chrześcijanie i nie potrzebujemy krwi niewinnych jagniątek!

— Co myślisz, Hermasie?... Czy nie szkoda byłoby takiej urody dla tych kreków chrześcijańskich, co tam pod ziemią się kryją i najpiękniejsze dziewice do swych dziwacznych obrządków nakładają!

Barczysty, o chmurnem obliczu wielkolud Hermas, którego dla jego siły Herkulesem przezywano, splunął pogardliwie.

— Bodajby ich wszystkich ogień pochłonął! Rośnie tego moc wielka, jak

grzybów po deszczu, istne przekleństwo bogów.

— Nie wiem, coście wy za jedni, i czy jakimkolwiek bogom składacie ofiary, — zawołała Łucja — ale bądźcie pewni, że nie minie was kara zasłużona czy w doczesnem, czy w przyszłym życiu, gdyż postąpiliście...

Tu przerwał jej mowę śmiech głośny napastników.

— Grozić nam się ośmielasz, harda dziewczyno? — Nieraz już słyszeliśmy takie puste słowa, a przecież ani włos nam nie spadł z głowy! Nieprawdaż, Sewerusic? — zawołał Hermas.

— Ojciec mój i brat potrafią się zemścić — rzekła Łucja, dumnie brwi ściągając, a Bóg, który wszystko widzi, ocali nas, bo wszyscyśmy w Jego mocy.

— W takim razie ten wasz Bóg będzie miał wiele spraw do załatwienia z waszego powodu — naigrawał się Sewerus — gdyż postaramy się o to, aby szlachetny Tuljusz i Laurencjusz przetrzasali wszystkie kryjówki chrześcijan dla odzyskania zaginionych. Przysięgam na

Junonę, że niejedna głowa chrześcijańska
spadnie tam z karku przy tych łowach!

Twarz Lucji stała się bladą jak płótno.
Ślaniała się, jakby była bliską omdlenia.
Gwałtowny ból ścisnął jej serce.

— Wina! wina jej dajcie co prędzej!
— zawołał jeden z orszaku.

Przemocą wlano jej wino w usta, gdy
pić się wzdragała.

Julja płakała cicho.

— Nie płacz mała, oczy ci spuchną,
a na ich blasku nam zależy!

— Wiedz zresztą, że kobieta łacniej
uśmiechem, niż łzą zdobywa!

— Mądrześ to powiedział, Hermasie.
Łzy i cierpienia to rozkosz i uciecha tych
zatrąceńców chrześcijańskich.

Dla nas życie — użycie!

Wina beczka — złota trzos!

Słodki los!...

— Słodki los — zawtórował Hermas
basem.

— Ale wyruszajmy w drogę, musimy
dziś jeszcze być na okręcie, inaczej mogą
nam popsuć szyki!

Późnym wieczorem, po długiej i uciążliwej podróży przybyli do nadbrzeżnej wioski, zawsze starając się, aby dziewczęta nie mogły wyrozumieć, gdzie się znajdują, i w jaką udają się stronę.

Umieszczono je na statku, który przewoził zboże z Egiptu.

Dopiero tam zrozumiały, że je wiozą do Aleksandrii.

— Wszakże do Afryki podążył też Laurencjusz z wojskami Maksencjusza — błysnęło wnet w myśli Julji.

W jej dzieciennym umyśle rysowały się już najrozmaitsze obrazy. Wydawało się jej, że byleby się dostały do afrykańskiego brzegu, którego się lękała i zaczynała pragnąć zarazem, odnajdą je tam niewątpliwie.

Mijały tymczasem dnie nieskończenie długie i do siebie podobne. Dziewczęta poczęły teraz ciekawie choć trwożnie rozglądać się w nowem otoczeniu.

Tylko Hermas i Sowerus towarzyszyli im w podróży. Na szczęście trzymali się zdaleka, i popijając wciąż wino

wraz z dowódcą okrętu, zdawali się ogromnie zajęci jakimiś obliczeniami i rachunkami, a w wolnych chwilach grali w kości.

Jednak zawsze jakieś „czujne oczy i uszy“ były nicopodal; nikt z całej załogi, oprócz owego jasnowłosego majtka, o którym mówiła Julja, nie wzbudzał zaufania. Były to po większej części twarze opijusów od wichrów szerniałe, o rysach twardych i ostrych, jakby z brązu wykute. Śpiewali pieśni dzikie, hulaszce, które słuch dziewcząt raziły, zarówno dźwiękiem swym, jak treścią.

— Benonie! śpiesz się!... — wołano ze wszech stron.

— Benonie! dowódca cię wzywa!

Jasnowłosy majtek, który nosił to imię, był zatrudniony coraz to nową robotą.

— Czy nie uważasz, Łucjo, że ten jasnowłosy pracuje dwa razy więcej od innych? — rzekła Julja.

— Żaden z nich z taką pilnością i pogodą nie spełnia swych obowiązków — odparła Łucja.

Noc nadeszła i niebo zaciągnęło się chmurami. Po dniu upalnym deszcz kroplisty puścił się z taką gwałtownością, że zdawało się, cały okręt zaleje.

Widocznie zbliżała się burza, gdyż nawykli do nagłych zmian na morzu, majtkowie mieli wygląd zafrasowany. Ruch był wielki na statku. Dowódca wydawał krótkie urywane rozkazy, które spełniano z niezmierną szybkością. Błyskawice rozdzierały, co chwila niebo. Łucja i Julia ukryte w swym kącie modliły się gorąco.

Naraz jasnowłosey Benon znalazł się przy nich. Ukiąkł obok modlących się i powtarzał za nimi słowa pacierza, wzruszony do głębi.

Zdziwione i uradowane tem odkryciem dziewczęta powstały pośpiesznie i ućcisnęły dłoń jego, jakby odnalazły kogoś bliskiego sobie.

Nie było czasu na wyjaśnienia.

— Niebezpieczeństwo jest grozne! Być może lada chwila śmierć nas spotka, bądźmy przygotowani na wszystko, co tylko jednak będzie w mojej mocy zro-

bie, aby was uratować! — rzekł Benon szybko.

Dziewczęta płakały.

— Jeśli nas Bóg ocali, wtedy potrafię wyrwać was z mocy tych szatanów! — dodał porywczo.

— Módlcie się, abyśmy szczęśliwie wylądowali w Aleksandrii; tam bezpieczną kryjówkę już mam upatrzoną, będziecie przebywały między chrześcijanami, których zadaniem jest łotrowskie zamysły zbójów niweczyć. Oto znak po którym poznacie naszych.

To mówiąc wsunął w dłoń Łucji małą blaszkę jakimś niezrozumiałym opatrzoną napisem, i zniknął pośpiesznie, aby jego nieobecności nie zauważono.

A wicher tymczasem szalał z gwałtownością niesłychaną; pieniało się morze jak potwór rozwścieczony, słychać było dokoła dzikie okrzyki i nawoływania majtków, wszystko to razem sprawiało wrażenie jakiegoś piekielnego chaosu.

Zdawało się prawie niemożliwym, aby statek mógł się oprzeć strasznej nawałnicy.

Przed obliczem przerażonych dziewic stanął teraz Hermas, blady, z rozwierzonym włosiem i rzekł ponuro:

— Giniemy! Niema ratunku!... Woda się dobywa w głębi okrętu. Wyrzuciliśmy wszystkie ciężary! Teraz chyba nieziemskie siły mogą nas ocalić!... Jeśli z takiego położenia potrafi wasz Bóg wyratować, to i ja powiem, że jest wielki, i gotów jestem przed nim się ukorzyć.

Gdy to mówił, wicher zakolysał statkiem z taką mocą, że Hermas zatoczył się jak pijany.

Wpadł dowódca okrętu i chwyciwszy Hermasa za ramię — zawołał z jakąś dziką rozpaczą:

— Niema ratunku!... Ludzie śmiertelnie znużeni, odmawiają posłuszeństwa. Każda chwila jest droga!... Trzeba ukarać śmiercią tych zbuntowanych szaleńców!...

Wybiegli pośpiesznie, a za nimi z rozwianym włosiem, blada lecz dziwnie promienna w swym dziewiczym majestacie, ze wzrokiem skupionym i jakby natchniona dążyła Lucja.

Przez chwilę zdawało się jej, że już nie należy do tego świata; że oto dzisiejszej nocy stanie przed sądem Pana, że należy jej w ostatniej chwili życia myśleć tylko o nawróceniu tych ludzi.

Chciała zginąć mężnie, aby widzieli, jak cichą i słodką jest śmierć dla tych, którzy wierzą święcie w pozagrobowe życie!...

Widziała przed sobą, jak we śnie, gromadę ludzi, zbitych w szarą, bezkształtną masę. Wyglądali jak trzoda owiec w jedną kupę spędzonych, bezradnych wobec klęski. Nagle wydało się jej, że jakiś głos wewnętrzny każe jej powołać tych ludzi do czynu.

— Brać się do pracy, a żywo! Bóg nas ocali!.. — zawołała głosem dźwięcznym, podniesionym, a tak pełnym jakiegoś wewnętrznego przeświadczenia, że wszystkich oczy zwróciły się naraz na nią pełne radosnego zadziwienia.

— Nie opuszczajcie rąk! Przetrwajcie burzę!.. Być może ład niedaleko!.. Wszyscy będą ocaleni!

— Szalona!.. — syknął dowódca przez zęby, ruszając ramionami.

—Boska!... — zawołał Hermas, z zachwytem obejmując wzrokiem wyniosłą i kształną postać Lucji, która na tle ciemnem odbijała, jak promień księżycowy.

— Odważna! Snać z mężnych rodul!... — krzyknął któryś z majtków. — Hej, druhowie! Czy to nie wstyd, żebyśmy lękliwsi byli od niewiasty?...

— Poco siły tracić po próżnicy! — mruknął inny ponuro. — Tak czy tak, musimy umierać!...

Ale zakrzyczano go ze wszech stron i nagle, jakby ze świeżemi siłami, zabrano się do pracy.

— Sternik utonął!... Fala go zniosła! — rozległ się krzyk i znowu chwilowy popłoch zapanował na statku.

— Benonie! W imię Boże obejmij ster! — zawołała Lucja donośnie, i jasnowłose chłopię zajął wnet miejsce starego doświadczonego marynarza.

Dowódca okrętu Achilles usunął się ciężko na jakąś wiązkę lin, rzuconych w kącie, i ukrywszy głowę w obu dłoniach, zdawał się głuchy na wszystko, co go otaczało.

On jeden pozostał bezczynny.

Przytomność umysłu i dziwny spokój Łucji oddziaływały w sposób niezwykły na całą załogę. Z gorączkowym pośpiechem wyczerpano wodę, łataro nadwerężoną część okrętu, każdy działał na swoją rękę, jednak w myśl jedną, która ich ożywiała, podniecała i dodawała siły.

— Nie zginiemy! Nie zginiemy! — powtarzali — dodając sobie wzajemnie otuchy i zagrzewając do pracy.

— Benon! Zuch chłopak! Ho! Ho!

— Jakby dwadzieścia lat był przy sterze!... — wołali niektórzy.

— Dobrze wybrała! To ci dziewczyna! No! no!

Dziwowali się a pracowali, nie czując umęczenia: jakby dłonie ich hartowne się stały jak stal. Cztery godziny przetrwali w tej walce nadludzkiej z rozkiełznanemi żywiołami. Gdy zorza świtać zaczęła na niebie, morze falowało spokojnie, jak pierś wielkim wysiłkiem znużona.

Wiatr przycichał zwolna. Naraz rozległ się krzyk radosny: Ziemia!

Wszyscy rzucili swą robotę i zaczęli się tłoczyć na pokładzie. Daleko na widnokręgu zarysował się pas ciemnosiny.

Łucji, która się przyglądała z niewzruszoną wytrwałością gorączkowej pracy, zrobiło się naraz słabo ze zbytku wzruszenia.

Oparła się o słup drewniany i przymknęła powieki.

Hermas, który nie spuszczał jej z oka, poskoczył ku niej i chciał wpót objąć.

Krzyknęła zlekka i odtrąciła go od siebie.

Stał przed nią teraz pokorny, z głową schyloną, jak niewolnik przed władcą.

— Bóg twój jest wielki, Łucjo! — szepnął zcicha. — Chcę uczcić go, bo on jest twoim Bogiem. Powiedz, jak mu się składa ofiary?

Lecz ona spojrzała nań surowo i odrzekła:

— Jego trzeba ukochać i wierzyć Mu bezgranicznie. Najmilszą zaś dlań ofiarą są serca czyste i prawe!

Hermas wargi zagryzł aż do krwi i zawołał porywczo:

— Więc jeśli ocalił nas wszystkich, to tylko dlatego, że wyście tu byli z nami! Dla innychby z pewnością ten wasz wielki nie miał zmiłowania!

— Mylisz się, Hermasie; z jednego nawróconego grzesznika większa jest radość w niebie niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. Lecz Bóg przede wszystkim wymaga pokory, a ty jej nie masz w sercu!...

— Tymczasem korzę się przed twoją pięknnością i dobrocią, Łucjo! Rozkaż mi zostać chrześcijaninem — zostanę nim.

— Korzyć się przed pięknnością istoty śmiertelnej — rzekła Łucja — jest grzechem w naszym chrześcijańskim pojęciu, tylko majestat Boży godzien jest uwielbienia.

Wtem na pokładzie rozbrzmiała pieśń donośna.

Pomimo straszliwego znużenia i nadludzkiej kilkogodzinnej pracy — majtkowie uczuli potrzebę wylania w ten sposób nadmiaru radości rozsadzającej im piersi.. Wydobyto zapasy i wina, racząc się niemi dosyta.

A gdy ucichły ochryple od krzyku i napoju głosy, zabrzmiała cicha z początku i niepewna, lecz dziwnie dźwięczna nuta psalmu. To Bencu, nowo mianowany sternik, zanucił tę obcą wszystkim

melodję. A dwa czyste głosy dziewczęce wtórowały mu, i popłynęła wdał tajemnicza, słodka pieśń!...

Gdy byli już blisko brzegu, spuścili łodzie, chcąc przewieźć część pozostałych rzeczy i umieścić w bezpiecznem miejscu.

— Wsiadaj co prędzej, Hermasie! — zawołał Sewerus. — Musimy jak najprędzej załatwić nasze sprawy.

— Przecież powinien któryś z nas pozostać dla pilnowania statku — odparł ten niechętnie.

— Jakto? Nie śpieszno ci do brzegu?... — zapytał towarzysz zdziwiony. — Majus, Pambo i Amonjusz zostają — sądzę, że to straż dostateczna! Przed wieczorem wrócimy po dziewczęta, aby je przewieźć, gdy się ściemni. Tymczasem trzeba się zakrzętnąć i co rychlej sprowadzić majstrów, aby uszkodzony statek naprawili. Przecież chodziło ci o to, abyś sam naszą zdobycz na owe uroczystości Maksencjusza dostarczył... — dodał Sewer gniewnie.

— Sewerusie! — zawołał Hermas z dziwnym ogniem w oku. — Zabij mię jeśli chcesz, ale dopóki żyw, nie oddam tym bydlętom dziewczyny.

— O kim mówisz, Hermasie?... Czyś rozum postradał? Potężnego Maksencjusza bydlęciem nazywasz? Opaniętaj się! Miałżebyś w ostatniej chwili wyrzec się przyobieranej nagrody?... Czy to po raz pierwszy piękne chrześcijanki ku ucieście dworaków przewozić ci się zdarza? Za trzy dni rozpoczną się uczty i ofiary bogom przeznaczone.

— Pluję na wszystko — odparł Hermas porywczo. — Obrzydły mi te bōżyszcza z tego samego kruszcza, co i naczynia kuchenne, odlane!...

— Czar widocznie rzuciła na ciebie ta czarnooka! — zawołał Sewerus oburzony. — Możesz do tego stopnia zgłupiał, iż gotówes uwierzyć doprawdy, że ten jej Bóg nas ocalił?...

— Gdyby nie to, że kapitan Achyllas spłł się jak ostatni niedołęga, byłby wyrozumiał odrazu, że jesteśmy o kilkaset wozów od brzegu. — Trzeba było na to tylko cokolwiek zastanowienia.

— Jednak tego zastanowienia nie miał żaden z nas, i ty również, Sewerusie, stałeś bezradny — mruknął Hermas penuro.

— Benona zabieram z sobą — ciągnął Sewerus, puszczając mimo uszu uwagę towarzysza. — Ten chłopak, chociaż okazał się bardzo pilnym i zręcznym, jednak zawadzać nam może...

— O, tak — rzekł Hermas z ożywieniem: — w tem się najzupełniej z tobą zgadzam. Wartoby nawet z nim się rozprawić w ten sposób, aby zniknął bez śladu.

— Bo to podobno chrześcijan w Aleksandrii i w całej okolicy jest moc niezliczona — dodał Sewerus — a oni wszyscy stanowią jakby jedną wielką rodzinę. Mógłby ich zawiadomić, iż trudnimy się łowieniem gołębic z ich gołębnika! Mówią, że pomiędzy nimi są czarodzieje! Jeszczeby się nam dziewczyny rozwiały jako mgła, zanim wymienimy je na purpurę i drogie kamienie...

— Sewerusie! — zawołał Hermas z mocą. — Bierz Julię — sprzedaj ją — daj bogom na ofiarę, jeśli ci się podoba. Ja Pucję chcę zostawić dla siebie!

Sewerus patrzył na niego w osłupieniu, poczem zaczął kląć, uragać mu i złorzeczyć, — Hermas jednak pozostał niewzruszony.

Po chwili łódź odbiła od brzegu, a Sewerus wygrażał jeszcze pięścią zdaleka, choć nikt z obecnych nie wiedział, o co właściwie poważnili się serdeczni druhowie.

Łucja i Julja patrzyły z niepokojem za oddalającą się łodzią, gdyż na niej był Benon, w którym teraz pokładały jedyną nadzieję. — Ukryły starannie daną im przez niego blaszkę, myśląc z trwogą, zali pomoc w porę nadejdzie?

Gdy podano posiłek południowy, Hermas zbliżył się do dziewcząt z wielkiem uszanowaniem i rzekł pokornie:

— Umiecie, widzę, pieśni nowe i piękne; nauczcie mię, proszę.

Spojrzały po sobie, jakby wahając się chwilę.

— Umiemy tylko smutne a rzewne, a te wam będą nie do smaku — rzekła Łucja.

— Ha! Zobaczymy. I mnie chwilami bywa niewesoło i myśli mroczne napastują. Burze życia wstrząsały mną nieraz, jako tym statkiem wiecher rozszałały... Matka moja podobno też chrześcijanką była, ale jej nie pamiętam: zamordowano i ją i ojca, a mnie małym chłopięciem wzięli źli ludzie, bili, katorali, poniewierali — dopóki nie stałem się jako rozwścieczony ciąglem drażnieniem zwierz dziki! Nienawidzę zarówno pogan jak i chrześcijan, nienawidzę wszystkich ludzi... Ty jedna, piękna Łucjo, wywarłaś na mnie wpływ dziwny od pierwszego wejrzenia. — Gdy patrzę na ciebie, wydaje mi się, że jakiś inny zupełnie człowiek pod skórą okrutnego Hermasa się budzi. Śpiewaj mi, Łucjo, lub mów do mnie, mów o swym Bogu, jeśli ci to przyjemność sprawia, bylebym mógł się napawać dźwiękiem twego głosu.

Łucja oczy miała spuszczone i ścisnęła tylko rękę Julji w milczeniu.

— Nienawidzisz mię! złorzeczysz w myśli!... Pewno prosisz swego Boga, aby piorun cisnął na moją głowę?... — wołał Hermas gwałtownie.

A Łucja podniosła swe wielkie, głębokie, spokojne oczy i utkwivszy je w jego rozplomienione źrenice — rzekła z mocą:

— Bóg chrześcijański każe za krzywdy odpłacać przebaczeniem. Ja prosić tylko mogę Najwyższego, aby zesłał na was łaskę opamiętania i żal za popełnione winy.

— Dziwni! zaiste dziwni ludzie! i dziwniejsza jeszcze wiara! — zawołał Hermas, pocierając czoło, jakby zdawało mu się, że śni tylko.

A dziewczęta, oplótszy się ramię, zaczęły śpiewać pieśń poważną i smętną.

Hermas słuchał, muskularne swe ręce oparłszy na kolanach: brwi miał ściągnięte, a po twarzy jego przełatywały jakby płomienie!

Nad wieczorem przybyła łódź, napel-niona obcymi ludźmi. Gwarno zrobiło się naraz na statku. Oglądano, stękano, opukiwano zewnętrzne ściany. Sewerusa nie było z nimi, co zadziwiło wielce Hermasa.

Pytał o niego, lecz nikt nie mógł dać mu wyjaśnienia.

Lucja i Julia przyglądały się tym ludziom, baczenie śledząc ruch każdy, azali który z nich nie okaże się ich sprzymierzeńcem.

Wszystcy byli zajęci teraz na pokładzie; dziewczęta zeszły do swej kajuty, a wśród za niemi, zwinny jak kot, wsunął się robotnik ogorzały, o mądrym i przenikliwym wejrzeniu. Udawał, iż coś poprawia u drzwi, a widząc, iż są sami, szepnął pośpiesznie:

— Benon zawiadomił biskupa!... Wiedzą o waszem przybyciu... Sewerus nie powróci rychło — spojono go, leży nieprzytomny i nie obudzi się do jutra. Hermas pojedzie z wami. Nie lękajcie się — gdyż on będzie jeden, a nas jest dziesięciu. Skrepujemy go, gdy czas przyjdzie. Benona chcieli zgładzić. Umknął prawie cudem. Dzisiejszej jeszcze nocy będziecie na dworze królowny egipskiej Katarzyny. Tam was szukać i ikt się nie osunie. Strazom pokażcie znak, dany przez Benona.

Umilkł, gdyż usłyszał zbliżające się kroki — i znikł im z oczu.

— Dzięki Niebu! — zawołała Julia radośnie — Łucjo! jesteście ocalone! —

I dziewczęta padły sobie w objęcia.

Szeroko słynęła sława piękności, mądrości i dobroci z wysokiego rodu królów egipskich pochodzącej Katarzyny. Dziwy opowiadano o jej wielkich cnotach i niezwykłej w księgach uczonych biegłości.

Na dworze jej w Aleksandrii roiła się służebnych i dworaków moc niezliczona. Wszyscy wychwalali ją pod niebiosa, tylko kapłani pogańscy mówili ze zgorznięciem, że owa cudnej urody królewna inną niż wszyscy wiarę wyznaje i ani jednego bożyszcza w swych wspaniałych pałacach nie posiada.

Maksencjusza, który niedawno do godności „augusta“ wyniesiony, przybył właśnie do miasta, drażniło wielce, że o dumnej królewnie wyrażano się jednogłośnie ze czcią wielką i uznaniem. Jakimś szczególnym urokiem snąć umiała przykuwać do siebie, gdyż do żadnej nie-

wiasty, których urodę wielbiono, nie lgnęły tak serca; przy Katarzynie gasły wszystkie inne, chociaż przepychem strojów i świetnością zaćmić się ją starały.

Maksencjusz rad z nowo odniesionego zwycięstwa nad nieprzyjacielskimi hufcami, postanowił wyprawić festyn niezwykły, połączony z wielką uroczystością pogańską, w mieście Aleksandrji.

Rozkazał, aby się zebrały tłumy ludu z całego kraju; tajemnie było ułożone, że najpiękniejsze dziewice mają być wprowadzone z różnych najodleglejszych stron, w nadziei iż ten orszak olśniewających urodą, a cześć bogom oddających niewiast wprowi w zachwyt całe miasto, i że przestaną nakoniec głosić wyjącznie pochwały dla pięknej Katarzyny.

Ulice, wiodące do świątyni, posypać miano pachnącem kwieciem tak, iżby zapach ich odurzający roznosił się daleko. Szędzono tyle bydła na ofiarę przeznaczonego, iż trudno było je pomieścić w obrębie miasta. Różnobarwne tłumy snuły się wszędzie w oczekiwaniu niezwykłych widowisk.

Śpiewacy stroili lutnie; harfy, cymbały, piszczałki — rozbrzmiewały dokoła. Żołnierze w skóry lub pancerze przystrojeni, pokazywali z dumą swe blizny, opowiadając dziwy o swych triumfach i świeżo odniesionem zwycięstwie. Każdy miał coś do powiedzenia o młodym wodzu Laurencjuszu, który odznaczył się męstwem i walecznością niesłychaną.

Jakiś gorączkowy a świąteczny nastrój panował w całym mieście.

Porfirjusz, naczelny wódz wojska, wydawał rozkazy, szykował szeregi, które miały okrzykami witać przejeżdżającego władcę. Młody Laurencjusz, przyboczny Porfirjusza, dopomagał mu z zapałem, gdyż serdecznie do swego naczelnika był przywiązany. Tylko w pałacu Katarzyny panowała niczem niezamącona cisza. Przejmowały ją wstrętem pogańskie obrządki, uroczystości szumne, tłumne, krzykliwe, bezładne.

Łucja i Julja znalazły u tej przeznaczonej królowny nie tylko schronienie, lecz prawdziwie siostrzaną opiekę. Podziwiała jej słodycz niesłychaną, umysł głęboki w połączeniu ze skromnością dziewczęcą

i prawdziwie chrześcijańską pokorą. I ona też uczuła życzliwość wielką dla swych młodych towarzyszek, które szczęśliwym trafem udało się jej z mocy złych ludzi wybawić. Miano tylko przeczekać tę uroczystość, która w całym mieście sprawiała zamęt niesłychany, i zaraz potem zająć się odesłaniem dziewcząt do rodziny, pod strażą ludzi pewnych i zaufanych.

Lucja i Julia, aczkolwiek z radością myślały o powrocie, — wyznawały szczerze, że im tęskno będzie za tą dobrą, słodką królewną, z którą rozstać się będą zmuszone.

Nadszedł dzień na bałwochwalcze ofiary. Palono bydło na stosach, a przykra woń spalonego mięsa dolatywała aż do pysznego ogrodu, otaczającego pałac Katarzyny. Tłum wydawał dzikie okrzyki. Ogłuszająca muzyka i śpiewy głośliły, że sam Maksencjusz do świątyni po-
dąża.

Katarzyna stała na marmurowym krużganku i patrzyła w dół, z oknem roz-

plomienionem, z dziwnem skupieniem na twarzy.

Snąć rozmyślała o czemś bardzo ważnem, gdyż nie zauważyła, jak jej lutnię podawała Julia, a Łucja, wpatrując się w jej twarz promieniejącą, zapytała zcicha:

— Azaliż dużo jeszcze czasu upłynie zanim świat cały pojmie Chrystusa i oceni? Katarzyna stała wciąż wzruszona jakąś myślą niezwykłą. Naraz jak gdyby echo słów Łucji dopiero teraz doszło jej ucha, zawołała:

— O, tak! Przyjdzie królestwo Boże na ziemi! Upadną wkrótce bałwany, które czcić każą tłumowi pod karą mąk i tortur! — Pójdę! Stanę przed nimi i w twarz im rzucę całą prawdę — przedstawię całą ohydę ich postępowania...

Dziewczęta patrzyły zachwycone, ale zarazem przerażone śmiałem postanowieniem Katarzyny.

— Pójdziemy z tobą, królewno, — zawołała Łucja, przypadając do jej kolan, a Julia chciała rękę jej ucałować, lecz ona ujęła ją w ramiona i rzekła słodko:

— Jam przecie siostra wasza w Chrystusie...

U wyjścia ze świątyni Serapisa tłoczyły się tłumy, rozkołysane jak fala, potrącające się, wygrażające, lub przerażone. Śnać zaszła rzecz niesłychana, gdyż Maksencjusz opuścił świątynię z okiem rozplomienionem i w niezwykłym podrażnieniu.

Nie gniewem jednak twarz mu pałała: było w niej jakieś olśnienie, jak gdyby mu się ukazało nadziemskie zjawisko.

Lud tłumaczył sobie rozmaicie to zachowanie się władcy. Stało się to przed chwilą zaledwie, a już opowiadania przybierały jakieś baieczne rozmiary. Nacznikowi świadkowie wreszcie przynieśli wieść, która popłynęła szeroko, podawana sobie z ust do ust przez lud zadziwiony.

Katarzyna, której noga nigdy dotąd nie postąpiła w pogańskiej świątyni, kazała się wieść przed potężnego Maksencjusza i objawiła, iż mu coś ważnego ma do powiedzenia.

A była tak olśniewająca urodą i majestatem, że władca patrzył zdumiony i wzroku od niej oderwać nie mógł.

Padaly słowa gorące z ust królowny; mówiła, jak bałamutnem jest to wszystko, w co wierzyć rozkazuje, zmuszając, aby posagi, stawiane ludziom śmiertelnym, jako bogów czcili!

Mówiła o Bogu prawdziwym, który ukarze go za to w przyszłym życiu, i o wyższości wiary chrześcijańskiej nad owem zabobonów pełnem bałwochwaltwem!...

Cicha i niechętna przez męża Faustyna, żona cezara, słuchała słów Katarzyny w niemem uwielbieniu.

Cisza zalegała wielka. Wszyscy czekali w skupieniu, co Maksencjusz odpowie...

Ale on jej pięknoscia i wymowa olśniony, zwrócił się do Porfirjusza, ulubionego swego wodza, i szepnął tylko:

— Przepyszna!... Wspaniała!... Boska!... Wszystko, co mi o niej mówiono, niczem jest w porównaniu z tem, co na własne oczy dziś oglądam!...

Porfirjusz nie wiedział sam, jak się ma zachować wobec tego, co mówił władca.

Wtem, stojący tuż obok Laurencjusz rzucił się ku niemu i chwytając go gwałtownie za rękę, zawołał:

— To one!... To one!... w orszaku królowny!... Co to jest? Co to znaczy?... W głowie mi się mąci!...

Porfirjusz nie rozumiał tego okrzyku, i groźnem zmierzył go spojrzeniem.

Dzielny wojak, do rygoru nawykły, cofnął się, lecz wzroku nie nogł oderwać od Julji i Łucji, które stały blade, wzruszone, drżące, oczy miały spuszczone, zdawało się, że nie widzą, co się wokoło nich dzieje...

Nikt jednak nie zauważył zachowania się Laurencjusza, gdyż wszystkich oczy były zwrócone na władcę. Zdawało się, że Maksencjusz, znany ze swej srogości względem chrześcijan, wpadnie w gniew wściekły, on jednak wpijał się tylko w Katarzynę chciwemi jak zwierz oczami, i rzekł zwolna:

— Nie miejsce tu na rozprawy; musimy przede wszystkim rozpoczęte obrzę-

dy dokończyć; potem zawezwę cię do siebie, i tam zobaczymy, kto kogo przekona!

Katarzyna zmierzyła go pogardliwie spojrzeniem, poczem schyliwszy głowę w milczeniu, oddaliła się za swoim orszakiem.

— Szlachetny Porfirjusz! Uczyń tak, ażebym ja był wysłany do pałacu królowy Katarzyny! — zawołał Laurencjusz wzruszony, gdy już wracali ze świątyni.

— Co?... I ty zdaje się straciłeś głowę — odrzekł stary wódz opryskliwie — Pocoś mi ryknął nad uchem w świątyni, jakbyś ujrzał jakie dziwo?

— Siostra moja i krewna tam były w orszaku! Pałam niecierpliwością ujrzania ich co prędzej. Co to się stało?... Czyżby ojciec mój Tuljusz już nie żył?... Kto mógł je opiece królowy powierzyć?...

Porfirjusz wzruszył ramionami.

Dzień ten był dla niego obfity w wypadki. Zaledwie powrócił do swego mieszkania, Faustyna kazała go przywołać

do siebie, co się zdarzało tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Poczęła mu przekładać i prosić, aby starał się gniew Maksencjusza łagodzić, w razie gdyby się na Katarzynie mścić zamierzał.

Wiadomo było wszystkim, że zasłużony Porfirjusz miał wielkie u dworu znaczenie. On jeden nie lękał się porywczych wybuchów kapryśnego władcy, i niekiedy mu się zdarzało nawet wpływ na niego wywierać.

Stało się tym razem, jako żądał młody wojak. Został bowiem wysłany tegoż dnia jeszcze do pałacu Katarzyny, aby objawić jej, że Maksencjusz mówić z nią pragnie.

Mocno biło serce Laurencjusza, gdy przestępował próg owej jakby zakłętej siedziby.

Jako poganin wierzył w zabobony, naraz, gdy wchodził do perystylu czyli podwórza, przyszło mu na myśl, że może Katarzyna jest czarodziejką i że jakaś tajemną mocą potrafiła Łucję i Julję przenieść do swego pałacu.

Gdy go wprowadzono do wielkiej na sposób staroegipski przybranej komnaty, ujrzał Katarzynę, która odrzuciwszy swe wspaniałe stroje, w skromnej białej szacie siedziała, otoczona towarzyszkami, i czytała im głośno, a one, wpatrzone w nią z zachwytem, słuchały w skupieniu.

Na widok Laurencjusza, Łucja i Julia wydały okrzyk radości i zdumienia. On zaś, skłoniwszy się królownie i wyraziwszy w pięknych i pełnych uszanowania słowach polecenie z jakim przybywał, oddał się całej radości odnalezienia drogich sercu istot.

Pytaniom i okrzykom zdziwienia nie było końca. Musiały mu opowiadać ze wszystkimi szczegółami swe dziwne przygody.

Katarzyna zauważyła, jak groźnie brwi zmarszczył, dowiedziawszy się, że powodem wszyskiego było przejęcie się dziewcząt w tajemnicy zasadami chrystjanizmu.

— O! gdybym ja był wtedy w domu
— zawołał nagle, mimowolnym ruchem

ściskając rękojeść miecza, nigdybym nie dopuścił, aby do tego przyszło.

— Najdziwniejszemi nieraz drogami Bóg sługi swoje do celów wiedzie — rzekła Katarzyna z nieznównaną słodyczą. — Serce twoje zacne jest i prawe, szlachetny Laurencjuszu, więc sądzę, że i ono skłonne byłoby do przyjęcia naszej wiary. Wszakże nawet wasz bożek ulubiony, Apollo, przez usta jednej z wróżek Sybilli powiada:

— Przyjdzie jeden na tę ziemię i bez grzechu stanie się człowiekiem, a bóstwem swoim skazy wrzodów niezleczonych naprawi; którego z zazdrości lud niewierny na drzewie wysoko zawiesi, jakby śmierci godnego!

I mówiła mu jeszcze długo o wzniosłych i pięknych prawdach nowej wiary. Przyczem Laurencjusz zauważył, że i wszystkich mędrców pogańskich księgi obcemi jej nie były.

Katarzyna zezwoliła łaskawie, aby bez opowiadania się strażom, a nawet wielkiemu ochmistrzowi, mógł wchodzić swobodnie do pałacu dla widzenia się z siostrą. Nie uszły uwagi Laurencjusza

niezwykła radość i ożywienie Julji, gdy go ujrzała niespodzianie. Dotąd nawykł patrzeć na towarzyszkę Łucji jako na drugą siostrę, dziś po raz pierwszy, wobec tego, iż mógł być utracić ją bezpowrotnie, zauważył, że sprawiłoby to pustkę ogromną w jego sercu, i że Julia stała mu się teraz miłszą i bliższą stokroć niż dawniej.

Maksencjusz rozparty na przepyszne wzniesienia, przybrany w purpurę i złoto, oczekiwał przybycia pięknej królowy. Niezrównana jej krasa wywarła na nim piorunujące wrażenie. O niej tylko mówił, myślał, jej obraz miał wciąż przed sobą.

A kiedy Katarzyna stanęła przed nim wyniosła i dumna, snąć zupełnie mu się w głowie zamroczyło. Słuchał niby z uwagą mądrych i pięknych słów, które płynęły z jej ust koralowych, lecz tylko dlatego, iż głos ten sprawiał na nim wrażenie przecudnej muzyki, a oczy, płonące świętym zapalem natchnienia, budziły w nim szaloną żądzę posiadania na

własność tej wspaniałej a tak niepodobnej do wszystkich, jakie widział dotąd, dziewicy.

I mówił jej rzeczy beładne, groził, prosił, zaklinał, obiecywał, iż będzie dla niej stawiał ołtarze, że czcić ją będzie jako boginię, jeśli żoną jego zostanie.

— Faustyna jest mi wstrętną — dodał wkońcu. — Z tobą jedną tylko chcę odtąd tron mój dzielić i sławę! Lecz wyrzec się musisz, o boska, tej potępionej, śmiesznej swej wiary...

A ona niewzruszona opowiadała o Bogu nieśmiertelnym, o Chrystusie, który rzekł przez proroka:

— „Zgubię mądrość mędrców, a rozumy rozumnych odrzucę!...”

— Nie zdarzyło ci się widać z mędrkami prawdziwymi obcować — zawołał Maksencjusz w oburzeniu — a oto sprowadzić ci każę takich, którzy cię o fałszywości twych wierzeń przekonają!

— Nikt nie jest zdolny tego uczynić! — odparła królowna z mocą. — Nie zlekne się, choćbyś mi kazał powtórzyć me słowa wobec całego świata i wszystkich mędrców tej ziemi!...

I odeszła pogodna, wyniosła — i nie-
ulekniona.

Po tej rozmowie, na dworze Maksencjusza zapanował zamęt nie do opisania. Władca był wściekły; chwilami gniew swój posuwał do okrucieństwa; dręczył tych nawet, którym zda się sprzyjał dotąd, wydając najstraszniejsze i potwornie niesprawiedliwe wyroki.

Rozeszła się wieść, iż przybędą wkrótce ze wszystkich stron kraju wezwani mędrcy i uczeni. Do pięćdziesięciu z nich wysłano gońców z rozkazem jak najszybszego przybycia.

Dzielny Porfirjusz chodził chmurny i oburzał się w głębi swego szlachetnego serca na niesłychaną samowolę i gwałty Maksencjusza. Cicha, łagodna Faustyna zalewała się łzami! Laurencjusz przebywał po kilka godzin w pałacu Katarzyny i były to najszcześniejsze dla niego chwile.

Tam jedynie teraz panowała cisza i spokój. Mówiono tylko o rzeczach

wzniosłych, o czynach zacnych, o poświęceniach bez granic...

— Dosyć już miałem widoków mordów, okrucieństw i zbrodni!... — mówił Laurencjusz.

Wszystko co było w nim szlachetnego, wzdrygało się na myśl, że sam nie raz był ślepem narzędziem w ręku nieokiełznanego w swych dzikich pomysłach władcy i pana. Słuchał w jakimś rozkosznem rozmarzeniu hymnów pobożnych, jakie śpiewała Lucia, grając na harfie. Wpatrywał się z coraz większą lubością w głębokie, szafirowe oczęta Julji, w których czytał, jak w otwartej księdze, szczere i niezmierne do siebie przywiązanie.

Aż dnia pewnego wezwano Katarzynę, aby wobec wszystkich uczorých broniła wiary Chrystusowej. Dziewczęta oczekiwały z niepokojem powrotu królowny. Wtem Laurencjusz wpadł nad wieczorem do pałacu przerażony, błądy — oczy jego pałały jeszcze grozą widzianych przed chwilą obrazów.

— Wszyscy zginą!... Wszyscy zginą!... Kamień na kamieniu nie pozostanie

w tem mieście! — wołał, włosy rwąc na głowie z oburzenia. — Rozpalają stosy! Wielcy uczeni i mędracy, zawezwani przed Maksencjusza, nie zdołali przekonać szlachetnej Katarzyny. Wszyscy poddali się prawdzie jej słów i czarowi jej wymowy — zostali skazani na stos!... Królowna nie wróci już do swoich pałaców — uwięziono ją przed chwilą! Zamordują królownę. Uciekajmy stąd co prędzej!... Zabieram was, i dziś jeszcze ukradkiem w nocy odpłyniemy w kraje dalekie, gdzie nas zemsta tego okrutnika nie dosięgnie! Porfirjuszowi zwierzę się tylko z mego postanowienia. Gotujcie się do drogi! a żywo!...

— Jakto — zawołała Łucja z uniesieniem. — Sądysz, że opuścimy królownę naszą w tem groźnem położeniu?...

— Nigdy! Przenigdy!... Nie możesz wymagać tego od nas, Laurencjuszu — mówiła Julia, zalewając się łzami.

— Raczej zginiemy z nią razem — dodała Łucja — i szczęśliwe będziemy, umierając za wiarę!...

Laurencjusz patrzył na nie w niemem osłupieniu. Tyle bohaterstwa w tych sła-

bych i wątłych istotach, na które przywykł patrzeć jak na potulne dzieci, wydawało mu się czemś niepojętem.

Całe miasto mówiło wciąż tylko o uwięzieniu królowny. Podawano sobie z ust do ust coraz straszniejsze wieści. Cudnej piękności ciało jej rozkazano siec żyłami wołowemi przez dwie godziny. Płynęła krew, lud płakał, a z dniem każdym, coraz więcej nawróconych przybawało na łono Kościoła.

Powiadano, że na dni dwanaście skazana jest królowna na męki głodowe, a tymczasem okrutny, a chciwy łask władcy Chursasadem doradził maszynę jakąś piekielną zbudować. Miały to być cztery koła z ostremi mieczami i nożami, aby na nich ciało Katarzyny rozciągnąć i rozszarpać w kawały.¹⁾

Lucja i Julja w trwodze śmiertelnej, w łzach i modlitwie spędzały dnie i noce. Nie dozwolono im, ani też służebnym towarzyszyć królownie do więzienia.

¹⁾ Żywoty Świętych, Ks. Skargi.

Był to rodzaj łaski gorszy dla nich od tortury. Obawiały się, aby Katarzyna nie posądziła ich o tchórzostwo, obojętność i odstępianie jej w tak wielkiej niedoli.

Laurencjusz tylko codziennie przynosił coraz gorsze i smutniejsze nowiny.

Jednego wieczoru nie przyszedł o zwykłej porze. Dziewczęta chodziły od okna do okna, pytając się wzajemnie wzrokiem pełnym niepokoju, co by to znaczyć mogło?...

Przez całą noc nie zmrużyły oka.

Nie mówiły już z sobą nic prawie, bo każde słowo gorszą jeszcze budziło w sercach żalność.

Aż naraz Julja zerwała się na posłaniu i zawołała głosem dziwnie wzruszonym:

— Lucjo... czuję, że się dzieje coś nadzwyczajnego!... Przysięgłabym, że widziałam Laurencjusza, któremu królowna rękę na głowę kładzie, a on krzyż święty całuje!... A przecież nie spałam ani chwili! Lucjo! Najdroższa!... Teraz wierzę, że Laurencjusz zostanie chrześcijaninem!... Boże!... Oświeć go!... Natchnij swą łaską, lecz wybaw od męczarni!...

Głowa Julji płonęła, oczy patrzyły gorączkowo.

Lucja usiadła przy niej i słodkimi słowy uspokajała, chociaż sama także czuła niewysłowioną trwogę w duszy..

W tej chwili, gdy Julja opowiadała towarzyszce swe dziwne widzenie, w podziemnem więzieniu aleksandryjskiem rozgrywała się wzruszająca scena.

Do ciemnicy, w której od dni dziesięciu przebywała Katarzyna, drzwi się otwarły cicho i stanęła w nich kobieta, otulona w ciemną oponę, jaką nosiły strażę. Za nią zarysowała się wyniosła postać, w której Katarzyna poznała naczelnego wodza wojsk, Porfirjusza, a nieopodal stanął nieśmiało znany jej dobrze Laurencjusz.

— Zaliż już przyszli po mnie i na śmierć mię wiedą? — pomyślała, aż nagle kobieta owa, odrzuciwszy płaszcz swój, padła w jej objęcia.

— Miłuję cię, o ty królowno umęczona! — wołała przez łzy, — i umiłowalam

Tego, dla którego cierpisz te okrutne prześladowania. Jam jest Faustyna, żona Maksencjusza, chcę ci być siostrą, chcę z tobą los twój podzielić.

W twardem życiu żołnierskiem skamieniałe zda się serce starego wodza Porfirjusza wzruszyło się do głębi na ten widok.

Łza zakręciła się w jego oku, wsparł dłoń na ramieniu Laurencjusza i głowę pochylił w milczeniu.

Błada, niby cień tylko owej wspaniałej i dumnej Katarzyny, stała przed nim cudna, jaśniejąca mimo to jakaś nadziemską jasnością, królewna.

— Jakżem szczęśliwa, że mi Bóg pozwolił widzieć cię nawróconą! — wyrzekła z radością niezmierną. — Teraz poznasz, że rozkoszą jest cierpieć dla Tego, który tyle dla nas wycierpiał na ziemi. Pozostało ci niewiele, zaledwie parę dni życia tylko, — dodała proroczem owładnięta natchnieniem — ale Bóg łaską cię swoją oświecił, abyś mogła przyszłą cieszyć się nagrodą.

I mówiła długo o wzgardzie świata, o marnościach doczesnych, do których

tak wielką ludzied wartość przywiązywać zwykli, wtem nagle u swych kolan ujrzała pochylonego wodza Porfirjusza i dzielnego Laurencjusza, który kraj jej szaty do ust przyciskał.

— My z tobą, królewno nasza! my z tobą na śmierć czy życie!... — wołali, drżąc ze wzruszenia.

— Chcemy przyjąć Chrzest święty! Precz pogańskie bogi!... Precz fałsz i obłuda!... Chcemy być żołnierzami Chrystusa!...

Wzruszenie udzieliło się strażom, szmer uwielbienia przebiegł wśród obecnych; żołnierze mówili głośno, że pójdą za przykładem swych wodzów.

Wtem przez drzwi wpół otwarte wsunęła się jakaś postać ponura i zgnębiona, od progu na klęczkach się posuwając, aż przed Katarzyną pochyliła się do ziemi.

— Złepcz mię, nędznego robaka, o, ty z najmeźniejszych najmeźniejsza, jam jest grzesznik wielki, teraz pokutę czyniący, chcę resztę życia w postach i modlitwach w dzikiej puszczy przepędzić.

Widziałem gdy cię biczowano, sądziłem, że twe katusze rozkosz mi sprawiać będą, gdyż żal miałem w sercu, żeś Łucję ukryła u siebie i podstępnie rozkazała wyrwać z mej mocy!...

Ale gdym patrzył na ów spokój niewzruszony, rozlany na twojej twarzy, powiedziałem sobie, że wielką i wszechpotężną jest ta wiara, która ci daje siły!

Przejrzałem i uwierzyłem w Boga jedynego.

Dziś jam pokutnik, który przywdział włosiennicę i w niej do końca życia pozostanie.

Byłem nikczemny i dziki i gdybym trzy razy żył, jeszcze za małoby mi było tego czasu, aby odpokutować swe grzechy. Imię moje Hermas. —

Zaczęto mówić coraz głośniejsze, że Maksencjusz oszalał...

Wypadki następowały po sobie z gwałtownością niesłychaną.

Pieczono, palono, katowano ludzi z obojętnością, na jaką tylko pogańskie wieki zdobyć się były w stanie. Maszyna

piekielna, którą dla zastraszenia, a następnie dla torturowania Katarzyny ustawiono, rozpadła się w kawały.

Wtedy Maksencjusz rzucał się, pienił i wołał, że radby świat cały chrześcijański mieć pod swemi stopami w postaci jednego człowieka, aby go zdeptać, zgniebić i prochy jego rozwiać bez śladu.

Wrażenie przygnębiające wywarły na najwięcej zatwardziałyh poganach udręczenia, na jakie skazał okrutny Maksencjusz zmienawidzoną przez siebie Faustyne za to, iż się ośmieliła wstawiać do niego za Katarzyną. Wiekiem od skrzyni pierś nieszczęsnej przyciśnięto i włóczono ją na hańbę i pośmiewisko, aż wreszcie nieprzytomną prawie z bólu wiedziono na ścięcie.

W przeciągu dni kilku przelano tyle krwi niewinnej, iż budziło to odrazę i niesmak nawet w nawykłych do dzikich widowisk barbarzyńcach.

Jeszcze większą grozą przejęte zostały tłumy, gdy zasłużony Porfirjusz wraz z dwustu pretorjanami został skazany na ścięcie. Szli śmiało na śmierć z głową podniesioną, wielbiąc Para nad Pany!

Laurencjusz znikł bez śladu. Nie zauważono tego narazie, gdyż lęk i groza opanowały wszystkie umysły, każdy myślał tylko o sobie.

Listopadowe niebo, ciężkimi chmurami zasłane, wydawało się równie smutne jak ziemia krwią przesiąknięta.

Dzikie rozpasanie dochodziło, zda się, do ostatecznych granic.

Spadały głowy jedna po drugiej, tępiły się miecze katowskie, nikt nie był pewien jutra.

I jeszcze raz okrutny Maksencjusz, w swym szale nienasycony, próbował Katarzynę do odstępstwa nakłonić.

Rozumiejąc, że jedyną potęgą na ziemi jest siła, sądził, że się tej wszechwładnej jego mocy ułęknie.

A ona błagała tylko Boga o rychłą śmierć...

Czuła, że władza, jaką posiadał Maksencjusz, niczem jest wobec tej, jaką wywierały przykłady śmierci szlachetnych i mężnych męczenników.

I szła teraz sama na męczeństwo, pogodna, jasna, promienna — a dając głowę pod miecz katowski, mówiła jeszcze:

— Dzięki Ci, Panie Jezu Chryste! za wszystkie Twe łaski! Wejrzyj. Boże mój, na lud ten, aby Cię poznał i wielbił na wieki!

Kiedy spadła głowa mężnej dziewczicy, rozdzierający krzyk dał się słyszeć. Julję zemdloną wyniósł Benon na rękę i znikł w tłumie — Łucja stała martwa, blada, jakby w bólu skamieniała...

Szlochały niewiasty, jęczeli starce i dzieci, kaci nawet chylili głowy w zawstydzeniu, tłum sarkał, złorzeczył tyranom, i głośno pogańskimi bogom urągał.

Miesiąc upłynął prawie od owych strasznych wypadków. W całym kraju panowała trwoga i przygnębienie, chrześcijanie gotowali się w ukryciu do obchodzenia pamiątki Narodzenia Chrystusa Pana.

W małej wiosce rybackiej, w dość znacznem od Aleksandrii oddaleniu, stała chatka ustronna.

W niej przy ognisku stary rybak o twarzy ogorzałej naprawiał starannie sieci. Młodzian jasnowłosy uwijał się po

izbie i co chwila niespokojnie spoglądał ku ǳwiom, jakby oczekując czyjegoś przybycia.

— Próżno się niepokoisz, Benonie — rzekł starzec — lepiej dopomóż mi oto przymocować sznury, bo na moje stare siły to już za ciężka praca.

Ktoś się poruszył na łożu, Benon palec do ust przyłożył.

— Cicho, dziadziu!... Cicho! Obawiam się, aby Julji nie obudzić! z nią trzeba się teraz jak z małym dzieckiem obchodzić!...

— Biedactwo!... Tyle się to nacierpiało — rzekł stary — nie dziw, że się jej rozum pomieszał! Toć i starszemu trudno dzisiaj wytrzymać na świecie!

— Laurencjusz przyprowadzi tu Łucję za chwilę — mówił Benon — dzisiejszy wieczór obiecała spędzić z nami, ostatni wieczór, gdyż jutro spełni się jej gorące pragnienie i uroczyście habít zakonny przywdzieje.

Zaledwie to wyrzekł, drzwi skrzywnęły i weszła Łucja, wsparta na ramieniu brata.

— Jak się ma Julja? — zawołał Laurencjusz z niepokojem, zaledwie przestąpili próg domu.

— Mój dobry Benonie, dziękuję żeś przyszedł, nie można jej zostawiać w samotności ani na jedną chwilę.

— Spi, spi wciąż — rzekł chłopak chyląc głowę — to i lepiej, bo może się wreszcie uspokoi.

Julja zerwała się nagle i obłąkanym wzrokiem wodziła dokoła.

— Krew! krew! Wszędzie krew! — wołała nieprzytomnie. — Morze lez! Morze krwi!... Zabili ją!... Świętą zabili! Cud się stał!

Widziałam, jak mleko białe, bieluchne, polało się z jej rany.

Faustyny niema — Porfirjusza niema!

Wszędzie krew!... krew!... I Łucję zabijają, Laurencjusza zabijają! — wszystkich pomordują!...

Matko!... matko!...

Wyprężyła się i wyciągnęła ręce przed siebie, jak gdyby ujrzała jakieś zjawisko.

— Juljo!... Moja ty najmilsza! skarbie mój — mówił Laurencjusz, obejmując ją ramieniem i gładząc jej jasne, rozplecione włosy. — Uspokój się, ptaszyno ty biedna!

Ale Julia patrzyła wciąż nieprzytomnie i drżała cała jak w febrze.

Łucja i Laurencjusz podtrzymywali ją i uspokajali jak dziecię strwożone i chore, aż wreszcie złożyła głowę na piersi Łucji i łkała cicho:

— Krew! krew! Wszędzie krew! — powtarzała jakby we śnie.

— Benonie! — mówił Laurencjusz głosem przyciszonym. — Czy statek nasz gotów do drogi?..

Musimy wyjechać jak można najśpieszniej! Tu każdy dzień naraża nas na niebezpieczeństwo. Wiem już, że mnie śledzą. Gdyby mnie schwytano, cóż się stanie z tem dzieckiem? Trzeba ją ratować!... Wyjedziemy daleko, gdzie nas nikt nie zna, tam gdzieś w zacisznem ustroniu znajdziemy schronienie. Sprowadzę Klaudję, może widok matki zbawiennie na nią oddziała?..

— A ja tu modlić się będę o wasze szczęście — szepnęła Łucja:

Jutro przywdzieję habit i będę pocieszała chorych i strapionych. Pozdrów ode mnie ojca naszego, gdy go jeszcze kiedy będziesz oglądał: niech mi przeba-

czy żem go zasmuciła mimowoli. Będę prosiła Najwyższego, aby mu zesłał chociaż w ostatnich chwilach życia pociechę nawrócenia się, abyśmy się z nim mogli połączyć w przyszłym życiu!...

Na dworze wiatr wył przeraźliwie, mała gromadka siedziała u wezglowia chorej, pogrążona w smutnych rozmyśleniach.

Stary rybak wzdychał zcicha, Laurencjusz, z rękoma splecionemi na kolanach, wyglądał jak posąg bóleści.

Łucja tylko miała wyraz twarzy poważny lecz spokojny i jakby natchniony.

W tej chwili, w ciemności nocy, u progu ubogiej lepianki zarysował się cień jakiś. Owinięty w grubą ciemną opończę, stał tam ten sam pokutnik Hermas, któregośmy widzieli po raz ostatni czołgającego się u nóg Katarzyny.

Szedł zwolna w pewnem oddaleniu, wówczas gdy Łucja z Laurencjuszem powracała z domu modlitwy i widział jak wchodziła do chaty rybaka.

Sledził ją od dni kilku, wiedział, że odwiedziła biskupa, powiedziano mu, iż nazajutrz szaty zakonne przywdzieje.

Opanowała go teraz chęć niepohamowana ujrzenia jej raz jeszcze, chciał, aby te rysy drogie wyryły się na wieki w pamięci, zanim odejdzie samotny w puszcę, jakby zmarły dla świata.

Wicher gwałtowny miotał jego płaszczem na wsze strony. W duszy jego toczyła się teraz walka zacięta. Pragnął widzieć Łucję, z całą gwałtownością swego nieposkromionego jeszcze charakteru, ale w głębi duszy szeptał mu głos jakiś: Odejdź! zostaw ją w spokoju!... Wyrzecz się tego grzesznego pragnienia.

I stał oto w rozterce, sprzecznymi myślami targany, wiedząc, iż ona jest tak blisko, a zarazem stracona dla niego na zawsze!...

Wszakże byłoby dziełem jednej chwili: pchnąć te drzwi, stanąć przed nią, paść na kolana, powiedzieć jej, że to ona zwróciła go z drogi występku, że jej zawdzięczać będzie zbawienie, jeśli je kiedykolwiek osiągnie w przyszłym życiu. Ach! Gdybyż usłyszeć słowo pociechy

z tych ust dziewiczych, słowo otuchy i pòkrzepienia!... Onaby mu nie odmówiła tej słodkiej pociechy w imię tego, co wszystkim skruszonym przebacza!...

Pokusa była silna, ale głos wewnętrzny, głos surowy mówił mu: — Odejdź! Wyrzecz się tej myśli!... Będzie to pierwsza próba, żali wytrwasz na drodze pokuty.

Mijały godziny długie jak wieczność.

A Łucja, siedząc u ogniska wpatrzona w ulatujące iskry, nie domyślała się, że nieopodal młody pokutnik cierpi czyścowskie katusze. Że myśli jego rozhukane jakby wichry pustyni biły się, szalały i w skolatanej głowie tworzyły zamęt nieopisany.

Ale Hermas zmógł siebie. Żelazną wolą opanował ostatnie pragnienie serca.

Z głową na piersi schyloną, szedł teraz w dal nieznana, dobrowolnie na wieczną samotność skazany...

Chwilę jeszcze migocące w okienku słabe światelko opromieniało mu drogę — niby gwiazda biała, aż zniknęło mu z oczu, zniknęło jak ona!... Na zawsze!...

Okręt, kierowany przez Benona, oddalał się szybko.

Unosił od tych brzegów dwoje ludzi, których związały losy na dolę i niedolę.

Już dni kilka trwała podróż, Laurencjusz troskliwą opieką otaczał Julję, patrzył z miłością i trwogą w te oczy jasne, przezrocze jak fale morza, które pruł teraz statek.

Oczy te jednak zdawały się nic nie widzieć, co się działo dokoła.

Otwarte szeroko, zda się, wciąż miały tylko przed sobą obrazy straszne, przejmujące grozą i trwogą.

— Krew!... krew!... wszędzie krew, wszędzie łzy!... — to były jedyne słowa, które wymawiała Julia od dnia męczeństwa królowny Katarzyny.

Ale Laurencjusz nie tracił nadziei.

Wierzył teraz w nieograniczone miłosierdzie Boże — wierzył, że On mu ją powróci...

Noc była jasna, gwiazdzista, pogodna.

Laurencjusz wyprowadził na pokład Julję, otulając ją jak dziecko w płaszcz szeroki.

Benon przyniósł lutnię i przy jej dźwiękach począł nucić psalm. Był to ten właśnie, który śpiewały z nim razem Lucja i Julja po szczęśliwie zakończonej burzy

Julja, która zdawała się być obojętną na wszystko, zwróciła nagle głowę w stronę, skąd głos pochodził, i wsłuchiwać się poczęła w dźwięk pieśni, jakby obudził on w jej duszy jakieś błogie wspomnienie.

— Śpiewaj dalej, Benonie!... Śpiewaj jeszcze!... — wołał Laurencjusz, ucieszony iż widzi pierwszy brzask budzącego się życia w oczach ukochanej.

Wtem Julja poczęła nucić zcicha tę samą pieśń.

Oczy miała utkwione w niebo i śledziła bacznie gwiazdy, jak gdyby po raz pierwszy widziała je w życiu.

Wtem, na ciemnem tle lazuru, wspinały meteor zarysował wielki krąg. Kilka sekund trwało to świetlne zjawisko.

Julja ręce skrzyżowała na piersiach, uśmiech niezmiiernej błogości rozchylił jej usta.

— Królowna Katarzyna! Tam!... tam!... Widzę ją!... Błogosławi mi!... Jakam ja

szczęśliwa!... Królewno nasza!... Królewno!!!

Laurencjusz, zaniepokojony gwałtownym wybuchem, ujął ją w ramiona.

Oczy miała przymknięte, oddychała ciężko.

Nagle wyprostowała się, przetarła czoło, jak gdyby budząc się z długiego snu, i wyszeptała trwożnie:

— Gdzie ja jestem?... Dokąd mnie wiozą?... Gdzie Łucja?...

A ujrawszy przy sobie Laurencjusza zawołała radośnie:

— Boże wielki!... Więc to prawda?... Ty żyjesz mój dobry!... mój miły!... Nie zabili cię — i tuliła się do jego ramienia, płacząc rzewnie.

— Nie, dziecko!... Nie, moja malutka!... Jesteśmy ocaleni!... Bóg sam chce, abyśmy byli szczęśliwi, gołąbku ty mój biały!...

— Dzięki niech będą Najwyższemu!

— wołał Benon, dzieląc wielką radość Laurencjusza.

Julja, chociaż osłabiona mocno, przychodziła szybko do zdrowia.

Powietrze morskie działało na nią ożywczo i kojąco zarazem.

Okręt wioził ich na wybrzeże Hiszpanji, gdzie pod opieką cezara Konstantyna mogli przebywać bezpiecznie, gdyż był on wrogiem zaciętym Maksencjusza, a wiary chrześcijańskiej sprzymierzeńcem.

Wkrótce tam podążyła za nimi Klaudia, szczęśliwa z odzyskania córki, dziękując Bogu, że jej najgorętsze spełniło się pragnienie. Była świadkiem, jak sam arcybiskup pobłogosławił związek i złączył dłonie młodej pary, i patrzyła odtąd z radością na szczęśliwe pożycie Laurencjusza i Julji. A kiedy okrutny Maksencjusz, wypowiedziawszy wojnę Konstantynowi, pobity został i pod Pons Milvius w Tybrze utonął, cały świat chrześcijański i wszyscy szlachetnie myślący obywatele potężnego państwa rzymskiego odetchnęli swobodniej, jak gdyby ciężar przygniatający ich barki nagle z woli Bożej stoczył się wraz z nim w piekielne otchłanie.

K o n i e c.

U.C. BERKELEY LIBRARIES



C096413480

